

Danielle Steel Specjalna przesyłka

Rozdział pierwszy

Czerwone ferrari wypadło z piskiem opon zza rogu i wpasowało się gładko między linie miejsca parkingowego. Jack Watson zawsze je tam zostawiał: przed swoim sklepem w Beverly Hills. „Julie”. Dokładnie przed dwudziestu laty nazwał go tak od imienia swojej dziewięcioletniej wówczas córeczki. Założył ten sklep ot tak, dla żartu i dla zabawy, postanowiwszy zrezygnować z produkcji filmów.

Wyprodukował siedem czy osiem niskobudżetowych obrazów, z których żaden nie był wybitny, a przedtem, skończywszy college, sześć lat pracował dorywczo jako aktor. Wielkiej kariery nie zrobił, ponieważ towarzyszące jej nadzieje i obietnice, jak zawsze w tym fachu prozaiczne i niewymyślne, prawie nigdy się nie spełniały i zbyt często przynosiły same rozczarowania. Szczęście uśmiechnęło się do niego dopiero wówczas, gdy dzięki niespodziewanej pomocy wuja, który zostawił mu w spadku trochę pieniędzy, zajął się handlem detalicznym. Bez najmniejszego wysiłku -tak się wydawało - założył sklep, którego klientką pragnęła zostać każda mieszkanka Los Angeles. Początkowo w zakupie towarów pomagała mu żona, ale niespełna dwa lata później przekonał się, że ma od niej lepszy gust. Niestety, ku jej zmartwieniu gustował nie tylko w sukniach, ale i w klientkach, które te suknie nosiły. Wkrótce wszystkie kobiety w mieście, aktorki i damy z wyższych sfer, modelki i

zwykle forsiaste panie domu, pragnęły pójść do „Julie” i... poznać Jacka Watsona. Był jednym z tych, którzy nie muszą się nawet starać. Kobiety ciągnęły do niego jak pszczoły do miodu. A on to uwielbiał. Uwielbiał też kobiety.

Dwa lata po otwarciu sklepu ku jego - i tylko jego - zdziwieniu porzuciła go żona. I musiał przyznać, że przez osiemnaście lat ani razu za nią nie zatęsknił. Poznał ją na planie jednego ze swoich filmów: przyszła na przesłuchanie do roli i przez następne dwa tygodnie oddawali się namiętej miłości w jego domu w Malibu. Ponieważ kochał się w niej do szaleństwa, przynajmniej początkowo, już po pół roku poprosił ją o rękę - było to jego pierwsze i jak dotąd ostatnie małżeństwo. Trwało piętnaście lat i dało mu dwoje dzieci, ale zaowocowało też rozgoryczeniem i jadem, co, jak uważał, jest nieuniknionym skutkiem każdego zalegalizowanego związku. W ciągu następnych osiemnastu lat tylko raz kusilo go, żeby spróbować ponownie, z kobietą zbyt inteligentną na to, żeby za niego wyjść. Była jedyną dziewczyną, której chciał dochować wierności, i dochował jej. Miał wtedy czterdzieści kilka lat, ona, wzięta artystka, miała trzydzieści dziewięć. Żyli z sobą dwa lata i kiedy zginęła w wypadku samochodowym w drodze do Palm Springs, gdzie umówili się na spotkanie, myślał, że nigdy nie dojdzie do siebie. Pierwszy raz w życiu zaznał prawdziwego bólu. Była dla niego spełnieniem wszystkich marzeń i nawet teraz, w rzadkich chwilach powagi, mawiał, że żadnej kobiety nie kochał tak bardzo jak jej. Nie żartował. Dorianne Matthieu była zabawna i nonszalancka, zmysłowa, piękna i na swój sposób oburzająco bezczelna. Nie słuchała go, twierdziła, że poślubić go może tylko ostatnia idiotka, ale ani przez moment nie wątpił, że go kochała. On zaś ją uwielbiał. Zabrała go do Paryża na spotkanie z przyjaciółmi, podróżowali razem po Europie, Azji, Afryce i Ameryce Południowej. Zawsze wydawało mu się, że spędzone z nią chwile

8

to chwile niezwykle. Aż nagle umarła, pozostawiając po sobie dźwięczącą wspomnieniami pustkę i bezgraniczne poczucie straty, które omal go nie zabiło.

Od tamtej pory, żeby wypełnić noce i dni, miał mnóstwo kobiet. W ciągu kilkunastu lat, jakie minęły od śmierci Dorianne, nigdy nie był sam, przynajmniej w sensie fizycznym, ale nigdy też ani nie pokochał innej kobiety, ani pokochać żadnej nie chciał. Uważał, że miłość

jest zbyt bolesna. Skończył pięćdziesiąt dziewięć lat i miał wszystko, czego pragnął: firmę, która znakomicie prosperowała i bezustannie tłukła pieniądze.

Przed śmiercią Dori stworzył sklep w Palm Springs, pięć lat później jeszcze jeden, w Nowym Jorku. Od dwóch lat zastanawiał się nad otwarciem sklepu w San Francisco, ale nie był pewien, czy w swoim wieku ma jeszcze ochotę na kłopoty związane z rozrostem firmy. Może gdyby pomógł mu syn, Paul, lecz jak dotąd nie udało mu się nakłonić go do porzucenia kariery filmowej. Trzydziestodwuletni Paul był wziętym producentem. Powiodło mu się o wiele lepiej niż ojcu i naprawdę kochał swój zawód. Ale Jack znał niebezpieczeństwa czyhające w tej pełnej rozczarowań branży, dlatego też dałby wszystko, żeby tylko przyciągnąć syna do firmy. Może któregoś dnia. Ale na pewno nie teraz. Paul nie chciał nawet o tym słyszeć.

Syn kochał swoją pracę i swoją żonę. Byli małżeństwem od dwóch lat i, jak twierdził, brakowało im w życiu tylko jednego: dziecka. Jack nie był pewien, jak bardzo Paulowi na tym zależy, lecz nie ulegało wątpliwości, że Jan, jego żona, pragnie tego bezgranicznie. Pracowała w galerii sztuki i Jack odnosił wrażenie, że myśl o dziecku po prostu ją prześladowuje. Uważał, że jest trochę za słodka, ale sprawiała miłe wrażenie i Paul był z nią bardzo szczęśliwy. Była też piękna, podobnie jak jej matka, Amanda Robbins, wciąż olśniewająca, choć od dawna już nie występująca aktorka. Amanda, wysoka, szczupła blondynka, wyglądała cudownie, chociaż skończyła już pięćdziesiąt lat. Przed dwudziestu sześciu laty zrezygnowała z oszałamiającej kariery filmowej, żeby poślubić bardzo statecznego, szacownego i, według Jacka, piekielnie nudnego bankiera nazwiskiem Matthew Kingston. Mieli dwie śliczne córki, wielki dom w Bel Air i obracali się w najlepszym towarzystwie.

Amanda należała do nielicznych mieszkańek Los Angeles, które omijały sklep Jacka, a w tych rzadkich sytuacjach, gdy ich drogi się krzyżowały, z rozbawieniem spostrzegał, że go nie cierpi. Wyglądało na to, że nienawidzi wszystkiego, co sobą reprezentował. Bynajmniej nie zdziwiłoby go, gdyby się dowiedział, że za wszelką cenę starała się wybić córce z głowy małżeństwo z Paulem Watsonem. Oboje z mężem uważali, że branża filmowa to nic dobrego, i byli pewni, że Paul okaże się mężczyzną równie frywolnym jak jego ojciec. Ale wcale się takim nie okazał. Był bowiem poważnym młodym człowiekiem i udowodnił, że jako mąż jest odpowiedzialny i godny zaufania. W końcu został przyjęty na łono rodziny, choć jego ojca wciąż traktowano z chłodną rezerwą. Jack miał w Los Angeles ustaloną reputację. Przystojny i bywały, słynął z tego, że sypiał z każdą napotkaną gwiazdeczką i modelką, nie odczuwając z tego powodu najmniejszych wyrzutów sumienia. Dla swoich kochanek zawsze był miły, nawet aż za miły. Inteligentny, hojny i lubiany, uchodził za duszę towarzystwa. Kobiety, z którymi się spotykał, uwielbiały go, a bywały wśród nich na tyle niemądre, by myśleć, że zdołają go „złapać”, zatrzymać przy sobie na dłużej. Nie, Jack Watson był na to za sprytny. Pilnował, żeby zniknęły z jego życia, nim zdążą zagościć w nim na dłużej, nim zaczną zostawiać ubranie w jego szafie. Zawsze był z nimi boleśnie szczery, nigdy niczego nie obiecywał i nie dawał najmniejszych nadziei. Dostarczał im rozrywek, zabierając do miejsc, o jakich czytały lub marzyły, zapraszał na kolacje do najlepszych restauracji i nim zdały sobie sprawę, co się dzieje, porzucał je dla innej. Pozostawiał po sobie przyjemne, acz krótkotrwałe i pełne niedosytu wspomnienie o romansie z przystojnym, pociągającym mężczyzną.

10

Trudno się było na niego gniewać, a już na pewno gniewać się długo. Wszystko w Jacku było nieodparcie czarujące, nawet sposób, w jaki zrywał z kobietami. Od czasu do czasu umawiał się z mężatkami, ale zawsze prawił im komplementy na temat małżonków, których z nim zdradzały. Jack Watson był sympatycznym, rozrywkowym facetem, wspaniałym kochankiem i nieuleczalnym playboyem i nigdy, ani przez ułamek sekundy nie udawał, że jest kimś innym. Miał pięćdziesiąt dziewięć lat, ale wyglądał o kilkanaście lat młodziej. Kiedy

pozwalał mu na to czas, chodził na siłownię oraz często pływał w oceanie. Wciąż miał dom w Malibu i kochał kobiety prawie tak bardzo jak swoje czerwone ferrari. Jediną rzeczą, na której naprawdę mu zależało i którą zawsze traktował z największą powagą, były jego dzieci, Julie i Paul, wieczna światłość jego życia. Ich matka była tylko mglistym wspomnieniem, do którego wracał z wdzięcznością tym większą, że miała wystarczająco dużo zdrowego rozsądku, żeby od niego odejść. Od osiemnastu lat robił, co chciał, nawet wtedy, kiedy był z Dori. Był zepsuty, miał pieniądze, prowadził słynną firmę, kobiety nie mogły mu się oprzeć, a on dobrze o tym wiedział. Dziwne to, ale przy tym wszystkim za grosz nie był arogantem. Pociągający, zabawny i niemal zawsze szczęśliwy, uwielbiał miło spędzać czas. Kobiety często opisywały go słowem „cudowny”. Lubily go - z wzajemnością.

- Dzień dobry, Jack. - Kierowniczka sklepu uśmiechnęła się do niego, gdy spieszył w stronę prywatnej windy. Jego gabinet, urządzone w stali i czarnej skórze, mieścił się na trzecim piętrze. Zaprojektowała go słynna włoska projektantka wnętrz, jeszcze jedna kobieta, z którą miał romans. Chciała zostawić dla niego męża architekta i troje dzieci, ale przekonał ją, że życie z Jackiem Watsonem doprowadziłoby ją do szaleństwa. I zanim ich przygoda dobiegła końca, całkowicie przyznała mu rację. Już sam sposób, w jaki poruszał się po swoim małym światku, był zarówno ekscytujący, jak i zatrważający.

n

Wiedział, że na górze będzie czekała na niego kawa, a potem lekki lunch. Zerknął na zegarek. Przynajmniej raz się spóźnił, i to aż pół godziny. Zrobił to celowo, ponieważ chciał popływać w oceanie; styczeń był ciepły, chociaż o wodzie powiedziec się tego nie dało. Uwielbiał pływać, kochał swój dom na plaży, kochał swoją „Julie”. I mimo licznych przygód z kobietami surowo przestrzegał dyscypliny pracy. To, że prowadził jedną z najlepiej prosperujących sieci sklepów w branży, nie było bynajmniej dziełem przypadku. Minionymi laty wielokrotnie proponowano mu wejście na giełdę, ale wciąż nie mógł się na to zdecydować. Lubił sprawować całkowitą kontrolę nad firmą, chciał być jej jedynym właścicielem. Nie musiał się z nikim konsultować ani nic nikomu wyjaśniać, przed nikim nie odpowiadał, nikt go też niczym nie zdręczał. „Julie” była jego i tylko jego dzieckiem. Na biurku czekał na niego starannie ułożony plik wiadomości, lista popołudniowych spotkań oraz próbki materiałów z Paryża. Były prześliczne. To Dori wprowadziła go w cudowny świat francuskich tkanin... francuskiej kuchni... francuskiego wina... i Francuzek jako takich. Do tych pierwszych wciąż miał wielką słabość i znaczna część sprzedawanych w sklepie produktów pochodziła z importu. Obiecywali towar w najlepszym gatunku i zawsze słowa dotrzymywali.

Ledwo zdążył usiąść, gdy zadzwonił dzwonek. Nie odrywając wzroku od próbek, wcisnął guzik interkomu.

- Cześć - rzucił swobodnie głosem, który wprawiał kobiety w zachwyt. Wszystkie z wyjątkiem Gladdie, jego sekretarki. Zbyt dobrze go znała, by dać się na to złapać. Pracowała u niego od pięciu lat i wiedziała o nim dosłownie wszystko. Wiedziała też, że jedyną grupą kobiet nietykalnych i świętych są dla Jacka jego pracownicy. Była to jedna z kilku życiowych reguł, których nigdy nie łamał. - Kogo tam mamy?

- Paula. Chcesz z nim rozmawiać, czy powiedziec mu, że jesteś zajęty? Kwadrans po dziesiątej masz spotkanie, dostawca będzie tu lada chwila.

J*

- Niech zaczeka. - Umówił się z producentem damskich torebek z Mediolanu, ekspertem od wyrobów ze skóry krokodyla i jaszczurki. - Jak przyjdzie, zabaw go kilka linut. Najpierw chce porozmawiać z Paulem. - Jeśli tylko było to możliwe, na pierwszym miejscu zawsze stawiał dzieci. Uśmiechnął się, podnosząc słuchawkę. Paul to wspaniały chłopak, zawsze taki był. Jack przepadał za nim. - Się masz. Co słyhać?

- Pomyślałem sobie, że zadzwonię i spytam, czy po ciebie podskoczyć, czy wolisz przyjechać sam. - Choć cichy i spokojny z natury - w przeciwieństwie do ojca - tego dnia głos miał wyjątkowo poważny.

- Przyjechać? Dokąd? - Nic nie kojarzył. Nie pamiętał, żeby się z nim umawiał, choć zwykle, przynajmniej jeśli chodziło o dzieci, pamięć go nie zawodziła.

- Przestań, tato - odrzekł lekko rozdrażniony i chyba trochę zestresowany Paul. Odpowiedź ojca najwyraźniej go nie rozbawiła. - Nie żartuj, to poważna sprawa.

- Ale ja wcale nie żartuję. - Jack odłożył próbki i spojrzał na dokumenty na biurku, szukając tam wskazówki, która wyjaśniłaby słowa syna. - Dokąd mamy jechać? - I nagle, zawstydzony i zmieszany, wszystko sobie przypomniał. - O Chryste... - Pogrzeb jego teścia. Jak, u licha, mógł o tym zapomnieć? Niczego sobie nie zapisywał i na pewno nie powiedział o tym Gladdie, w przeciwnym razie przypomniałaby mu o pogrzebie poprzedniego wieczoru i dzisiaj rano.

- Zapomniałeś, co? - wytknął mu Paul oskarżycielskim tonem głosu. Było oczywiste, że nie pozwoli wcisnąć sobie żadnego kitu. - Nie mogę w to uwierzyć...

- Nie zapominałem, po prostu o tym nie myślałem.

- Bzdura, zapominałeś. Nabożeństwo jest o dwunastej, potem wydają uroczysty lunch w domu. Lunch możesz sobie odpuścić, ale byłoby miło, gdybyś przyszedł. - Jego siostra Julie też obiecała przyjechać.

- Ilu gości zaprosili? - spytał Jack, zastanawiając się gorączkowo, jak zmienić harmonogram popołudniowych

13

spotkań. Nie było to proste, ale Paulowi bardzo zależało. Będzie musiał spróbować przekładać spotkania.

- Na lunch? Nie wiem... Znają mnóstwo ludzi, więc pewnie dwustu, może trzystu.

Na ślub syna przyszło ponad pięćset osób. Jack był oszołomiony. Ludzie zjechali się z całego kraju, głównie ze względu na Kingstonów.

- W takim razie nawet nie zauważą, jeśli mnie tam nie będzie - uciał trzeźwo. - Dzięki, ale nie musisz mnie podrzucać. Spotkamy się na miejscu. Tak czy inaczej, powinieneś chyba towarzyszyć Jan, jej siostrze i matce. Ja będę trzymał się na uboczu.

- Postaraj się, żeby Amanda cię zauważyła - odrzekł Paul. - Jan bardzo by się zdenerwowała, gdyby jej matka pomyślała, że nie przyszedłeś na pogrzeb.

- Gdybym nie przyszedł, byłaby znacznie szczęśliwsza - odparł ze śmiechem Jack, nie ukrywając, że dzielą ich lekkie animozje. Kilka razy zatańczył z nią na weselu syna i, nie wypowiadając ani słowa, Amanda Kingston dała mu wyraźnie do zrozumienia, że go nie cierpi. Jak wszyscy mieszkańcy miasta ciągle czytała o nim w gazetach, a porzuciwszy karierę aktorską, natychmiast zaczęła podzielać nader trzeźwy pogląd męża, że przedmiotem wzmianek w gazetach można być tylko trzykrotnie w życiu: z okazji narodzin, ślubu i śmierci. Natomiast o Jacku pisano nieustannie: a to reporterzy wypatrzyli go z kolejną znaną aktorką, a to ze wschodzącą gwiazdeczką, a to dlatego, że wydawał w „Julie” huczne przyjęcie. Sklep był równie znany jak on, słynął z imprez dla projektantów i klientów. Ludzie zabijali się o zaproszenia - wszyscy z wyjątkiem Kingstonów, to oczywiste. Wiedząc, że i tak nie przyjdą, Jack przestał ich w ogóle zapraszać.

- Dobra, ale nie spóźnij się, tato. Gdybyś tylko mógł, pewnie spóźniłbyś się na swój własny pogrzeb.

- Wielkie dzięki, synu. Mam nadzieję, że prędko do tego nie dojdzie - odrzekł, myśląc o nagłej śmierci Matthew

14

Kingstona. Zmarł przed czterema dniami na atak serca, na korcie tenisowym, choć był cztery lata młodszy od niego; Amanda niedawno skończyła pięćdziesiątkę. Ludzie, z którymi grał,

robili, co w ludzkiej mocy, żeby go reanimować, ale na próżno. Oplakiwała go rodzina, oplakiwali go finansiści i wszyscy znajomi. Ale Jack nigdy go nie lubił. Zawsze uważał, że to nadęty, konserwatywny nudziarz.

- W takim razie do zobaczenia, tato. Jadę po Jan, nocowała u matki.

- Potrzebuje czegoś? Może jakiegoś kapelusza? Albo sukni? Każę dziewczynom coś wybrać, mógłbyś wpaść tu po drodze.

- Nie, nie trzeba, dzięki. - Paul uśmiechnął się, słysząc jego głos. Ojciec potrafił zaleźć za skórę, ale ogólnie rzecz biorąc, porządny był z niego facet i Paul bardzo go kochał. - Myślę, że Amanda przygotowała im wszystko, co trzeba. Strasznie przeżywa śmierć Matta, ale jest niewiarygodnie zorganizowana, nawet w takich chwilach. To zadziwiająca kobieta.

- Królowa Śniegu - mruknął Jack i natychmiast tego pożałował; słowa wymknęły mu się, zanim zdążył ugryźć się w język.

- To okrutne mówić tak o kobiecie, która niedawno straciła męża.

- Przepraszam, wymknęło mi się. - Niemniej ujął to bardzo trafnie. Zawsze sprawiała wrażenie osoby idealnie spokojnej i opanowanej, kobiety absolutnie doskonałej. Ilekroć ją widywał, miał nieprzepatwą ochotę ten ideał zbrukać i zerwać z niej ubranie - nawet teraz myśl ta wydała mu się zabawna. Zadumany odłożył słuchawkę. To dziwne, bo niezbyt często myślał o Amandzie.

Było mu przykro z powodu straty, jaką poniosła, ponieważ aż za dobrze pamiętał, jak się czuł po śmierci Dori, ale teściowa Paula miała w sobie coś tak chłodnego i wyniosłego, że nie potrafił się z nią utożsamić. Ta jej doskonałość... Ta jej doskonałość była wprost nie do zniesienia. To niesamo-

15

wite, ale wciąż wyglądała jak Amanda Robbins, ta sama Amanda Robbins, która przed dwudziestoma sześcioma laty porzuciła srebrny ekran dla Matthew Kingstona. Wzięli ślub, wspaniały ślub w hollywoodzkim stylu, na który zaproszono całą śmietankę towarzyską miasta, i przez wiele lat ludzie zastanawiali się i zakładali o to, czy znudzona życiem małżeńskim Amanda wróci do branży filmowej. Nie wróciła. Zachowała urodę, zachowała lodowate piękno, lecz kariery zawodowej nie podjęła. Domyślano się też - nie bez podstaw - że Matthew Kingston nigdy by jej na to nie pozwolił. Zachowywał się tak, jakby był jej właścicielem.

Jack otworzył szafę w garderobie i z zadowoleniem stwierdził, że wisi w niej ciemny garnitur. Nie należał do najlepszych w kolekcji, ale przynajmniej był stosowny do okazji, za to krawaty, jakie trzymał tam na wypadek nieprzewidzianych okoliczności, były albo czerwone, albo jaskrawoniebieskie, albo żółte. Szybko wszedł do sekretariatu.

- Gładzie, dlaczego nie przypomniałaś mi o pogrzebie? - Łypnął na nią spode łba, ale nie był zły, o czym dobrze wiedziała. Należał do rzadkiego gatunku ludzi, którzy potrafią przyznać się do błędu, między innymi dlatego bardzo lubiła u niego pracować. I chociaż miał reputację człowieka wybuchowego i nieodpowiedzialnego, znała go znacznie lepiej niż inni. Jako chlebowdawca był troskliwy, hojny i sumienny i przyjemnie się z nim współpracowało.

- Myślałam, że jakoś to załatwiłeś... Aha, zapomniałeś, co? - spytała z uśmiechem. Speszony kiwnął głową.

- Freud mi się kłania. Nie cierpię chodzić na pogrzeby ludzi młodszych ode mnie. Gład, zrób mi przysługę i skocz do „Hermesa” po ciemny krawat, dobra? Nie za ponury, ale i nie za jaskrawy, żebym nie wprawił Paula w zażenowanie. Do krawatów z gołymi babkami nawet nie podchodź.

Roześmiała się i chwyciła portmonetkę w chwili, gdy do sekretariatu wszedł wytwórca damskich torebek z asystentem. Zanosilo się na bardzo krótkie spotkanie.

16

Do jedenastej Jack zdążył zamówić sto torebek. Tuż przedtem wróciła Gladdie z ciemnoszarym krawatem w biały geometryczny wzorek. Pasował idealnie.

- Dobra robota - pochwalił ją z wdzięcznością, nakładając krawat na szyję i wiążąc go nienagannie bez spoglądania w lustro. Miał na sobie ciemnoszary garnitur i białą koszulę, a na nogach francuskie półbuty ręcznej roboty. Włosy koloru lnu, ciepłe brązowe oczy, regularne rysy twarzy -prezentował się wystrzałowo.

- Czy wyglądam dostojnie?

- Nie wiem, czy to najodpowiedniejsze słowo... Ale tak, wyglądasz dobrze. - Uśmiechnęła się, odporna na jego wdzięk. Zawsze uważał, że to niezmiernie sympatyczna cecha jej charakteru. Przebywanie z Gladdie koło go i uspokajało. Miała gdzieś jego urodę, reputację i to, że jest niepoprawnym kobieciarzem, dbała tylko o jego interesy. -Wyglądasz wspaniale, Jack, naprawdę. Paul będzie z ciebie dumny.

- Mam nadzieję. Może jego czarująca teściowa powstrzyma się nawet od wezwania brygady antyterrorystycznej, kiedy mnie zobaczy. Boże, jak ja nienawidzę pogrzebów! - Już teraz ogarniało go to nieprzyjemne uczucie, krępowało niczym pośmiertny całun i wciąż przypominało mu o Dori. Chryste, jakie to było straszne... Ten szok, ten paraliżujący ból. Potem pełne udręki próby uświadomienia sobie, że odeszła na zawsze. Minęły lata, zanim się z tym pogodził, choć usiłował wypełnić próżnię tysiącami kobiet. Ale nigdy nie spotkał takiej jak ona. Była taka ciepła, taka piękna, taka zmysłowa, taka figlarna i pociągająca. Była wspaniała, więc gdy kilka minut przed dwunastą zjeżdżał windą w ciemnym, żałobnym garniturze, myślał właśnie o niej i kompletnie go to przybiło. Od jej śmierci upłynęło dwanaście lat, a on wciąż za nią tęsknił.

Wychodząc ze sklepu i wsiadając do czerwonego ferrari, nawet nie zauważył obserwujących go z podziwem kobiet. Samochód odbił od krawężnika, ryknął potężnym silnikiem, HftllU

IM. t.. STRUGA

Filio dio Uoroślých - 32

momentalnie przyspieszył i pięć minut później mknął już bulwarem Santa Monica w kierunku kościoła episkopalnego pod wezwaniem Wszystkich Świętych, gdzie odbywało się nabożeństwo. Dziesiątą po dwunastej: na ulicy panował ruch większy, niż można się było spodziewać. Jack miał nieodparte wrażenie, że w to ciepłe styczniowe popołudnie kto żyw wsiadł do samochodu, żeby dokądś pojechać. Spóźniwszy się dwadzieścia minut, cichutko przycupnął w ostatniej ławie.

Nie przypuszczał, że przyjdzie tyle osób. Mogło ich być z siedemset, może nawet osiemset, aż wydawało się to nieprawdopodobne. Próbował dostrzec swoją córkę Julie, ale wchłonął ją tłum. Nie widział nawet Paula, który siedział w pierwszej ławie między żoną i jej siostrą, nie widział nawet okna. Widział tylko jedno, tylko o jednym mógł myśleć: o niewzruszonej i nieuchronnej obecności mahoniowej trumny, masywnej i surowej, ozdobionej mosiężnymi uchwytnymi i przykrytej dywanem z mchu przetykanego maleńkimi białymi orchideami. Na swój posępny sposób były piękne, tak samo jak inne storczyki w kościele. Dostrzegał je niemal wszędzie i bez chwili wahania uznał, że to dzieło Amandy. Wyczuwał w tym jej rękę, tę samą dbałość o szczegóły, jaką wykazała podczas ślubu ich dzieci.

Jednak szybko o niej zapomniał i uświadomiwszy sobie, że i on prędzej czy później umrze, do końca nabożeństwa przesiedział pogrążony w myślach. Przemawiał przyjaciel Kingstona i obaj zięciowie. Paul mówił krótko i treściwie, ale bardzo wzruszająco. Chwaląc go po mszy, Jack miał łzy w oczach.

- Ładnie to powiedziałeś, synu - wychrypiał. - Kiedy przyjdzie pora, możesz przemówić i na moim pogrzebie. -Próbował obrócić to w żart, ale zniesmaczony Paul pokręcił głową i objął go ramieniem.

- Nie pochlebiaj sobie - odrzekł - nie mógłbym powiedzieć o tobie dobrego słowa. Ani ja, ani nikt inny, więc dajmy spokój z mową pogrzebową.

18

- Dzięki, będę o tym pamiętał. Może powinienem zrezygnować z tenisa.

- Tato... - Paul nachmurzył czoło i przeszył go ostrzegawczym spojrzeniem.

Zbliżała się ku nim Amanda, idąc spokojnie przez tłum w stronę miejsca, gdzie miała żegnać wychodzących z kościoła gości. I zanim Jack zdołał się ruszyć, stwierdził, że patrzy prosto na nią. Była zdumiewająco piękna i mimo upływu lat wciąż wyglądała jak gwiazda filmowa. Miała na sobie wielki czarny kapelusz z welonem oraz czarny, bardzo elegancki i bez wątplenia francuski kostium.

- Dzień dobry, Jack - powiedziała spokojnie. Była pozornie bardzo opanowana, ale w jej wielkich, niebieskich oczach dostrzegł tyle bólu, że zrobiło mu się jej żal.

- Bardzo ci współczuję, Amando. - Chociaż jej nie lubił, bez trudu zauważył, jak wielkie spustoszenie poczyniła w niej śmierć męża. Nic więcej powiedzieć nie mógł, więc uciekła wzrokiem w bok, lekko skłoniła głowę i poszła dalej, natomiast Paul ruszył w stronę żony, która stała z siostrą.

Jack został jeszcze chwilę i stwierdziwszy, że nikogo więcej tam nie zna, postanowił chyłkiem wyjść, nie zwracając głowy synowi. I bez tego Paul miał ręce pełne roboty. Pół godziny później był już z powrotem w biurze, ale całe popołudnie przesiedział zadumany i milczący, myśląc o nich, o rodzinie, która straciła tak ważnego dla siebie człowieka, człowieka, który ją scalał i jednoczył. Nawet jeśli za nim nie przepadał, musiał go szanować i współczuć jego nagle osamotnionym bliskim. I całe popołudnie, niezależnie od tego, co robił, prześladowały go wspomnienia o Dori. Wyjął nawet jej zdjęcie, co czynił bardzo rzadko, choć trzymał je l na dnie szuflady biurka na chwile takie jak ta. I patrząc, jak 'uśmiecha się do niego z plaży w Saint-Tropez, czuł się smutniejszy i bardziej samotny niż kiedykolwiek przedtem.

Gladdie zaglądała do niego kilka razy, ale szybko zrozumiała, że szef potrzebuje samotności. Kazał jej nawet

19

odwołać dwa ostatnie spotkania. Jednak mimo wyraźnego przygnębienia, w ciemnym garniturze i krawacie, który mu kupiła, wciąż wyglądał wspaniale. Siedział i myślał, nie wiedząc, że w tej samej chwili Amanda Kingston mówi właśnie o nim.

- To miło, że twój ojciec przyszedł - powiedziała po wyjściu ostatnich gości. Dzień ciągnął się dla nich w nieskończoność i mimo niewzruszonego opanowania Amanda robiła wrażenie wyczerpanej.

- Było mu bardzo przykro z powodu Matthew - odrzekł Paul, współczująco dotykając jej ramienia. Kiwnęła głową i spojrzała na swoje córki, Jan i Louise.

Śmierć ojca zdruzgotała je do tego stopnia, że nawet się z sobą nie pokłóciły. Choć przyszły na świat w odstępie ledwie roku i kilku miesięcy, różniły się jak woda i ogień i już od wczesnego dzieciństwa darły z sobą koty dwadzieścia cztery godziny na dobę. Mimo to zakopały topór wojenny - przynajmniej tego dnia - żeby pocieszyć matkę. Paul zostawił je same i cicho wyszedł do kuchni, żeby zrobić sobie kawy. Wciąż krzatali się tam kelnerzy z agencji usługowej, pakując naczynia, kieliszki i szklanki po z górą trzystu gościach, którzy przybyli złożyć wyrazy szacunku Kingstonom.

- Nie mogę uwierzyć, że już go nie ma - szepnęła Amanda, stojąc tyłem do dziewcząt i spoglądając na idealnie wypielęgnowany ogród.

- Ja też nie - odrzekła Jan. Po jej policzku spłynęła łza.

Louise głośno westchnęła. Zawsze uważała, że ojciec był dla niej surowszy niż dla Jan, że więcej od niej wymagał. Wpadł we wściekłość, kiedy postanowiła zrezygnować ze studiów na wydziale prawa i wyjść za mąż zaraz po ukończeniu college'u. Małżeństwo okazało się

bardzo trwale i już pięć lat później Louise była matką trojga dzieci. Jednak ojciec miał coś do powiedzenia i na ten temat. Jego zdaniem urodziła ich za dużo, natomiast ani trochę nie przeszkadzał mu fakt, że Jan nie zrobiła kariery i że wyszła za mąż za

20

i \

człowieka z branży rozrywkowej, którego ojciec był tylko marnym kupcem z Rodeo Drive, nikim więcej. Louise nie lubiła Paula i wcale tego nie ukrywała. Jej mąż pracował w kancelarii adwokackiej Loeb & Loeb i pasował do Kingstonów o wiele bardziej niż Paul Watson.

Tak więc podczas gdy Jan całe popołudnie płakała, Louise mogła myśleć tylko o tym, jak bardzo ojciec ją krytykował, jak trudnym był człowiekiem i jak często zastanawiała się, czy w ogóle ją kocha. Chciałaby o tym porozmawiać, ale dobrze wiedziała, że ani matka, ani siostra by jej nie zrozumiały. Matka nie cierpiała, kiedy Louise wyrażała się o ojcu niepochlebnie. Widocznie uważała, że należy już do grona świętych.

- Chcę, żebyście zawsze pamiętały o tym, jaki był cudowny. - Odwróciła się do nich z oczami pełnymi łez. Włosy miała ściągnięte w gładki kok. Zdawały sobie sprawę, że matka była od nich piękniejsza. Promieniowała niezwykłą wprost urodą, czego Louise w niej nienawidziła. Po prostu nie sposób było jej dorównać, choć zawsze oczekiwała od nich absolutnej doskonałości. Louise nigdy tak naprawdę nie rozumiała ludzkiej strony jej natury, jej wiecznej niepewności i bezbronności ukrytej za niewzruszoną fasadą opanowania i spokoju. Jan rozumiała matkę lepiej, co rodziło konflikty między siostrami. Louise oskarżała Jan o to, że jest ulubienicą rodziców, natomiast Jan uważała, że oskarżenia są niesprawiedliwe i bezpodstawne.

- Chcę, żebyście wiedzieli, jak bardzo was kochał. - Amanda urwała i cicho zaszlochała. Nie mogła uwierzyć, że Matthew odszedł, nie mogła uwierzyć, że już nigdy nie weźmie jej w ramiona. Przeżywała najokropniejszy z koszmarów. Mąż był dla niej jedyną ostoją i podporą, nigdy nawet nie próbowała wyobrazić sobie życia bez niego.

- Mamo... - Jan objęła łkającą matkę niczym małe dziecko, tymczasem Louise wyszła cicho do kuchni, gdzie zastała Paula. Siedział przy stole i pił kawę.

- No i jak się czuje? - spytał zatroskany. i

21

Zbolała, lecz jak zwykle lekko zirytowana Louise wzruszyła ramionami. Jej dzieci pojechały do domu z opiekunką, mąż wrócił do kancelarii. Chcąc nie chcąc, mogła rozmawiać tylko z Paulem.

- Jak wrak - odrzekła. - Była od niego uzależniona. Mówił jej, kiedy ma wstać, co ma robić, a czego nie robić, z kim się przyjaźnić. Nie wiem, dlaczego mu na to pozwalała. To okropne.

- Może właśnie tego potrzebowała. - Paul spojrzał na nią z zainteresowaniem. Zawsze było w niej tyle złości i urazy, że wielokrotnie zastanawiał się, czy Louise jest szczęśliwa w małżeństwie. Jak wszystkie rodziny mieli swoje sekrety i plany, jak wszystkimi rodzinami nimi też miały ukryte prądy. Ale zawsze intrygowało go to, co siostry mówiły o swojej matce. Każda z nich widziała ją inaczej, ale kobieta, którą znały, tak bardzo różniła się od tej, którą znał świat, od kobiety chłodnej i opanowanej. Znały matkę jako osobę całkowicie zdominowaną i w głębi ducha zalęknioną. Ciekawiło go, czy właśnie dlatego Amanda porzuciła karierę aktorską. Nie chciał tego Matthew, to fakt, ale może istniał jeszcze jakiś inny powód? Może za bardzo się bała? - Otrząś-nie się - dodał, nie wiedząc, co powiedzieć. - Louise naląła sobie kieliszek wina. Widział, że bardzo cierpi. - Jan się nią zaopiekuje - powiedział nieopatrznie, co tylko zirytowało Louise.

- Nie wątpię. Podlizywała się jej już jako dziecko. Dziwi mnie, że nie chcecie się tu przeprowadzić, bardzo byście jej zaimponowali. Musi uregulować sprawy majątkowe, na pewno będzie potrzebowała rady. Jestem przekonana, że ty i Jan z radością jej pomożecie.

- Spokojnie, odpręż się, Lou. - Tak nazywała ją siostra i rozjuszona Louise spiorunowała go wzrokiem. Oczy miała zadziwiająco podobne do oczu matki, ale rysy twarzy odziedziczyła po ojcu. Owszem, była atrakcyjna, ale nic poza tym. Jan podobała mu się o wiele bardziej. - Nikt nie chce cię urazić.

22

- Na to jest już za późno - odparła, nalewając sobie drugi kieliszek wina. - Wyżywali się na mnie przez wiele lat. Może teraz, gdy zabrakło ojca, mama wreszcie wydorosłeje. Może wszyscy wydorosłejemy. - Odstawiła kieliszek i wyszła do ogrodu. Paul nie ruszył się z miejsca.

Amanda z córką siedziały w gabinecie i zobaczyły ją przez okno.

- Znowu się na mnie wścieka - mruknęła Jan. - Zawsze ma mi coś za złe.

- Tak bym chciała, żebyście przestały się kłócić - odrzekła ze smutkiem Amanda, spoglądając na młodszą córkę. - Myślałam, że jak dorośniecie, wszystko będzie inaczej, że zostaniecie przyjaciółkami, zwłaszcza kiedy powychodzicie za mąż i będziecie miały dzieci. - Marzyła o tym, odkąd były małe, lecz jak tylko to powiedziała, w oczach Jan dostrzegła ból.

- Przecież wiesz... Dobrze wiesz, że...

- Że co? - Matka robiła wrażenie tak speszzonej, tak smutnej, że Jan pękało serce.

- Że ja nie mam dzieci. - Coś w jej głosie przykuło uwagę Amandy.

- No i? Nie chcesz ich mieć? - spytała zaszokowana, jakby już sama myśl, że córka nie chce mieć dzieci, była najcięższą zdradą.

- Chcę. - Jan kiwnęła głową i spojrzała na siostrę za oknem. W ciągu pięciu lat Lou zachodziła w ciążę aż trzy razy, i to bez najmniejszych trudności, kiedy tylko chciała, i tym razem to ona jej zazdrościła. - Oczywiście, że chcę. Próbujemy od roku, ale jak dotąd na próżno.

- To jeszcze nic nie znaczy. - Amanda posłała jej uśmiech. - Czasami trzeba trochę poczekać. Bądź cierpliwa.

- Ty nie musiałaś czekać ani chwili, dwa lata po waszym ślubie byliśmy już na świecie. - Westchnęła. Kiedy matka poklepała ją po rękę i kiedy Jan podniosła wzrok, to, co Amanda zobaczyła w jej oczach, złamało jej serce. Czaił się w nich nie tylko smutek, ale i strach przemieszany z gory-

23

czą. - Prosiłam Paula, żeby poszedł do lekarza, ale on nie chce. Mówi, że niepotrzebnie się martwię, że przesadzam.

- A ty? Rozmawiałaś z lekarzem? Wykrył jakiś... problem? - Amanda sprawiała wrażenie szczerze zatroskanej.

- Nie, choć uważa, że warto by sprawdzić to dokładniej. Dał mi adres specjalisty, ale Paul się wściekł, kiedy mu o tym wspomniałam. Powiedział, że jego siostra ma dzieci, że Lou ma dzieci i że nie widzi powodu, dla którego z nami miałyby być inaczej. Ale to nie zawsze jest takie proste.

Amandę ogarnął niepokój. Czyżby o czymś nie wiedziała? Czyżby córka przeszła w dzieciństwie jakąś straszliwą chorobę? Czyżby popełniła jakiś nierozważny czyn? Może miała skrobankę? Nie, nie śmiała o to pytać. Lepiej niech załatwi to lekarz.

- W takim razie może posłuchaj męża i przestań się tym zamartwiać, przynajmniej na jakiś czas.

- Mamo, ale ja o niczym innym nie mogę myśleć - wyznała Jan, nie zważając na łzy spływające z policzków na sukienkę. - Tak bardzo pragnę dziecka... tak bardzo się boję, że nie będę go miała.

- Będiesz, córeczko, będziesz - zapewniała ją udręczona Amanda. Widok nieszczęśliwej córki całkowicie ją dobijał, zwłaszcza teraz, kiedy Jan straciła ojca. - Jeśli nic z tego nie wyjdzie, zawsze możecie adoptować...

- Paul mówi, że nigdy tego nie zrobi, chce mieć swoje własne dzieci.

Amanda musiała ugryźć się w język, by nie odrzec, że w takim razie Paul jest człowiekiem nie tylko trudnym i wyjątkowo zawziętym, ale i egoistycznym.

- Macie mnóstwo czasu, żeby to sobie przemyśleć. Spróbuj się odprężyć. Gwarantuję, że nawet nie zauważysz, kiedy zajdziesz w ciążę.

Jan kiwnęła głową, ale wyraz jej oczu wyraźnie wskazywał na to, że matce nie wierzy.

Zamartwiała się tym od roku, a ostatnio niepokój coraz gwałtowniej ustępował miejsca panice. Z drugiej strony nawiązała z matką bliższy kontakt, a to już zawsze coś.

24

- A ty, mamó? Jak sobie poradzisz bez taty? Amanda potrząsnęła głową. To bolesne pytanie znowu wycisnęło z jej oczu łzy. Załkała.

- Nie potrafię sobie tego wyobrazić, Jan. Nikt mi go nie zastąpi. Nigdy. Nie mogłabym tego znieść. Spędziłam z nim dwadzieścia sześć lat, ponad połowę swojego życia. Nie jestem w stanie myśleć, co teraz zrobię... jak się będę co rano budziła...

Jan objęła ją, mocno przytuliła i pozwoliła jej się wypłakać, żalując, że nie może obiecać, iż wkrótce wszystko wróci do normy. Ona też nie wyobrażała sobie, co matka pocznie bez ojca. Był siłą życiową rodziny, chronił żonę przed światem, mówił jej, co robić, i choć ledwie o siedem lat starszy od niej, był dla Amandy jak ojciec.

- Po prostu nie mogę bez niego żyć... - Jan wiedziała, że to prawda.

Siedziały tak i rozmawiały o nim jeszcze godzinę, aż doczekały się powrotu Paula. Zapłakana Lou, która obserwowała je spod oka, uciekła bez pożegnania, a Paul miał w domu robotę. Dochodziła szósta, prędzej czy później musieli wyjść, bez względu na to, jak bardzo było jej ciężko. Musiała sama stawić czoło życiu.

Stojąc na schodach i machając dzieciom, kiedy odjeżdżały, wyglądała tak żałośnie, że gdy tylko skręcili za róg, Jan znowu wybuchnęła płaczem.

- Boże, Paul, ona bez niego umrze. - Nie mogła powstrzymać łez, myśląc o zmarłym ojcu, o siostrze, która jej nienawidziła, o zbolątej matce i o dziecku, którego prawdopodobnie nigdy nie będzie miała. Była tak przybita, że siedząc za kierownicą, Paul musiał trzymać ją za rękę i całą drogę pocieszać.

- Niedługo dojdzie do siebie - mówił - zobaczysz. Tylko na nią popatrz, wciąż jest młoda i piękna. Do diabła, za pół roku do jej drzwi będzie dobijała się połowa facetów z Los Angeles, zapraszając ją na randkę. Kto wie, może nawet wróci do filmu. Z jej urodą to całkiem możliwe.

25

- Nigdy by tego nie zrobiła, nawet gdyby chciała, ponieważ wie, że tatuś by sobie tego nie życzył. Chciał mieć ją tylko dla siebie, a ponieważ bardzo go kochała, pogodziła się z jego wolą. - Jeżeli to prawda, pomyślał Paul, Matthew Kingston był pewnie najbardziej egoistycznym człowiekiem, jakiego nosiła ziemia, jednak nie mógł powiedzieć tego na głos, bo Jan by go zabiła. - Poza tym jak możesz sugerować, że mama umówi się z kimś na randkę? To obrzydliwe.

- Wprost przeciwnie, to bardzo prawdopodobne - odrzekł spokojnie. - Jan, mama ma pięćdziesiąt lat. To twój ojciec umarł, nie ona. Nie możesz oczekiwać, że do śmierci będzie sama. - Powiedział to z lekkim uśmiechem i kiedy Jan na niego zerknęła, od razu wpadła we wściekłość.

- Na pewno się z nikim nie umówi - warknęła. - Ona nie jest twoim ojcem, na miłość boską. Miała cudowne małżeństwo i bardzo kochała swojego męża.

- W takim razie pewnie znowu zechce wyjść za mąż. Zbrodnią byłoby tego nie zrobić.

- Nie mogę uwierzyć, że to mówisz - sapnęła Jan, wrywając dłoń z jego dłoni i przesywając go wzrokiem. - Naprawdę myślisz, że mama zacznie umawiać się z mężczyznami? Jesteś obrzydliwy, nie potrafisz niczego uszanować. W ogóle jej nie znasz.

- Pewnie masz rację, kochanie - łagodził - ale znam się na ludziach.

Zamilkła, odwróciła głowę, spojrzała w okno, wściekła na niego za to, co powiedział, i do samego domu nie odezwała się słowem. Bez chwili wahania przysięgłaby na Biblię, że matka pozostanie wierna pamięci męża do końca życia.

Rozdział drugi

W czerwcu Amanda Kingston zabrała córki do Biltmore w Santa Barbara. Paul był w Nowym Jorku, gdzie dogadywał ostatnie szczegóły kontraktu filmowego, a mąż Louise, Jerry, brał udział w konferencji prawniczej w Denver. Zdawało się, że jest to idealna okazja, żeby spędzić z sobą trochę czasu. Ale gdy po przyjeździe do hotelu usiadły, żeby porozmawiać, zaraz uświadomiły sobie, w jak złym stanie jest ich matka. Ciągle nosiła się na czarno, włosy miała mocno ściągnięte do tyłu, co przydawało jej surowości, nie uznawała makijażu, a kiedy Jan spytała ją o samopoczucie, Amanda zanosła się niepohamowanym płaczem.

Był to jeden z tych rzadkich przypadków, kiedy dziewczęta zapomniały o zapiekłych animozjach i zjednoczyły się w trosce o dobro matki. A w niedzielę rano, kiedy jeszcze spała, zeszły razem na śniadanie.

- Powinna pójść do lekarza - oznajmiła Louise przy plackach z czarną borówką. - Ona mnie przeraża, jest zbyt przygnębiona. Niech jej przepisze prozac, valium, nie wiem co...

- Tylko by się jej pogorszyło. Ona musi wychodzić z domu, musi spotykać się z przyjaciółmi. W zeszłym tygodniu wpadłam na panią Auberman. Powiedziała mi, że nie widziała mamy od dnia pogrzebu, a od tamtej pory upłynęło pięć miesięcy. Mama nie może wiecznie siedzieć w domu i płakać.

27

- Skąd wiesz? - rzuciła Louise, patrząc siostrze w oczy i zastanawiając się, jak zawsze, czy w ogóle mają z sobą coś wspólnego. - Przecież tato by tego chciał, może nie? Gdyby tylko mógł zostawić w tej kwestii jakieś instrukcje, kazałby pogrzebać ją razem z sobą.

- To odrażające. - Rozsierdzona Jan spiorunowała ją wzrokiem. - Dobrze wiesz, że nie cierpiał, kiedy czuła się nieszczęśliwa.

- A ty dobrze wiesz, iż nie ścierpiałbyś myśli, że mogłaby robić cokolwiek innego poza obserwowaniem nas podczas lekcji baletu czy graniem w brydża z żonami jego współników.

Moim zdaniem mama jest podświadomie przekonana, że chciałby widzieć ją załamana i niepokieszona, czyli dokładnie taką, jaką jest teraz. Uważam, że powinna pójść do psychiatrii - zakończyła bez ogródek.

- A może zabrałybyśmy ją na wakacje? - Jan, która bez trudu mogła wyrwać się z galerii, uznała, że to całkiem miły pomysł, ale Louise nie miałyby co zrobić z dziećmi. - No to we wrześniu, kiedy będą w szkole. Pojechałybyśmy do Paryża, co?

- Czemu nie? - odparła Louise, ale kiedy zaproponowała to matce przy lunchu, ta natychmiast pokręciła głową i powiedziała, że nie może.

- Teraz to wykluczone - rzekła stanowczo. - Mam do załatwienia mnóstwo spraw spadkowych. Nie chcę, żeby wiecznie to nade mną wisiało.

Jednak wszystkie trzy wiedziały, że to tylko wymówka. Amanda po prostu nie chciała wrócić do świata żywych bez Matthew.

- Mamo, niechaj zajmą się tym prawnicy - skontrowała rzeczowo Lou. - Zresztą robią to tak czy inaczej. Wyjazd dobrze ci zrobi.

Amanda długo się wahała, po czym znowu pokręciła głową, a jej oczy zwilgotniały.

- Nie chcę - odrzekła szczerze. - Miałabym wyrzuty sumienia.

28

- Z jakiego powodu? Że wydałabyś trochę pieniędzy? Przecież stać cię na wycieczkę do Paryża. - Było ją stać na wiele takich wycieczek, o czym doskonale wiedziały. Nie o to chodziło. Sedno problemu tkwiło znacznie głębiej.

- Nie, to nie to. Po prostu... czuję, że nie mam prawa robić czegoś takiego bez Matthew. Bawić się? Cieszyć się życiem? Dlaczego? - Zaczęła szlochać, ale nie, musiała dokończyć, ponieważ córki uważnie ją obserwowały. - Dlaczego ja wciąż żyję, a on nie? To niesprawiedliwe. - Gnębiło ją poczucie winy typowe dla kogoś, kto stracił bliską osobę. Ani Louise, ani Jan nigdy nie słyszały, żeby o tym wspominała.

- Mamo, to się po prostu stało - odrzekła łagodnie Jan. - Po prostu się stało. Nie jesteś temu winna. Ani ty, ani tatuś, ani nikt inny. Mieliśmy strasznego, potwornego pecha, mimo to musisz żyć dalej. Dla siebie samej. Dla nas... Pomyśl o tym. Jeśli nie chcesz jechać do Paryża, pojedziemy na kilka dni do Nowego Jorku albo do San Francisco. Ale musisz coś zrobić. Nie możesz zrezygnować z życia. Tatuś na pewno by tego nie chciał.

Dały z siebie wszystko, mimo to już z samej rozmowy w drodze powrotnej bez trudu wywnioskowały, że matka nie jest jeszcze na to przygotowana. Przeżywała żalobę po mężu tak głęboko, że obca jej była wszelka myśl o przyjemności.

- No i co z matką? - spytał Paul po przylocie z Nowego Jorku w niedzielę wieczorem, kiedy Jan wiozła go samochodem z lotniska.

- Nic. Jest kompletnie rozbita. Lou uważa, że powinna brać prozac. Sama nie wiem, co o tym myśleć. Mama zachowuje się tak, jakby chciała pójść za tatusiem do grobu.

- Może właśnie tego by pragnął. I może ona o tym wie.

- Mówisz jak moja siostra. - Jan spojrzała w okno, po czym znowu przeniosła wzrok na męża.

- Chcę cię o coś spytać. - Powiedziała to tak poważnie, że aż się uśmiechnął. Był szczęśliwy, widząc ją znowu. Bardzo się za nią stęsknił.

29

- Wal. Chcesz, żebym ustawił jej randkę z moim starym? Nie ma sprawy, załatwione. Z przyjemnością ją zaprosi.

Pomysł był tak absurdalny, że nawet Jan się roześmiała, ale już po chwili oczy jej spoważniały i Paul natychmiast wyczuł, że chodzi o coś ważnego.

- Nie to miałam na myśli - powiedziała nerwowo, nie wiedząc, jak przejść do rzeczy, jednocześnie rozpaczliwie pragnąc go przekonać.

- No wyduś to wreszcie. Czekam.

- Chciałabym, żebyśmy oboje poszli do lekarza. Do specjalisty. Rozmawialiśmy na ten temat pół roku temu i od tamtej pory nic się nie dzieje. - Była poważna i przerażona, mimo to Paul nie wykazał należytego zrozumienia.

- Chryste, znowu to samo. Ty chyba nigdy nie przestaniesz, co? Od pół roku haruję nad największym kontraktem filmowym w swojej karierze, a ty potrafisz myśleć wyłącznie o dziecku. Nic dziwnego, że nic z tego nie wychodzi. Więcej czasu spędzam w samolocie niż w domu. Skąd możesz wiedzieć, że coś z nami nie gra?

Odebrała to jako odmowę. Zawsze miał jakieś wymówki, zawsze zwał winę na coś innego, często nawet wiarygodnego, co jednak w niczym nie zmieniało faktu, że jak dotąd w ciążę nie zaszła, choć próbowali intensywniej, niż skłonny był przyznać.

- Po prostu chcę wiedzieć, czy wszystko jest w porządku. Może nic nam nie jest, może to tylko moja wina. Chcę poznać prawdę, żebyśmy mogli stawić jej czoło. To wszystko, czy proszę o tak wiele? - Oczy jej zwilgotniały, a on spojrzał na nią i ciężko westchnął.

- Idź sama, dobrze? Nim zaliczysz wszystkie badania, zajdziesz w ciążę, zobaczysz.

Ale Jan już tak nie myślała. Próbowali od półtora roku i nawet jej ginekolog zaczął się martwić, nalegając na szczegó-' łowsze badania. Nie powiedziała mężowi, że była u specjalisty już przed trzema tygodniami i badania nic złego nie wykazały, co znaczyło, że teraz powinien przebadać się Paul.

30

- A ty? - spytała. - Pójdiesz po mnie?

- Może. - To wszystko, na co raczył się zgodzić. Potem włączył radio i podkreślił je trochę za głośno. Jan spojrzęła ze smutkiem w okno. Sprawa zaczynała wyglądać beznadziejnie, zwłaszcza wobec takiej postawy męża.

W sierpniu specjalista ostatecznie potwierdził, że jest całkowicie zdrowa, spekulując, że albo sperma męża nie odpowiada pod jakimś względem jej komórkom jajowym, albo rozwiązania problemu, jeżeli w ogóle jakiś problem istniał, należało szukać u Paula. Ale kiedy Jan podjęła temat ponownie, Paul się zirytował. Miał już tego dość. Moment był jak najmniej odpowiedni, wielki kontrakt diabli wzięli, niedobrze mu się robiło na myśl o seksie pod dyktando harmonogramu, a dwa tygodnie później Jan dostała histerii, bo odkryła, że mimo starań znowu nie zaszła w ciążę.

- Opuść to sobie na jakiś czas! - wrzasnął pewnego wieczoru, kiedy poprosiła, żeby się z nią kochał, ponieważ jest odpowiedni moment. A potem poszedł na kielicha ze swoim ojcem. Jack miał kolejną flama, jakąś popularną aktorkę, i znowu rozpisywały się o nim gazety. Bardzo chciał, żeby syn został jego współnikiem, ale dla Paula absolutnie nie wchodziło to w rachubę. Miał wrażenie, że wszyscy czegoś od niego chcą.

We wrześniu Louise i Jan ponownie próbowały namówić Amandę na wyjazd, ale na próżno. Matka schudła ponad dziewięć kilo. Była stanowczo za szczupłą, jeszcze bardziej przybita i nie zanosilo się na poprawę. W grudniu Jan i Louise wpadły w panikę.

- Musimy coś zrobić - gorączkowała się przez telefon Jan. Zadzwoiła do siostry dwa tygodnie po Święcie Dziękczynienia, które wypadło upiornie. Matka przepłakała całe popołudnie i była w tak głębokiej depresji, że córki się załamały. - Dłużej tego nie zniosę - powiedziała.

- Może powinniśmy dać jej spokój - rzuciła filozoficznie Louise. - Może chce w ten sposób spędzić resztę życia. Kimże jesteśmy, żeby za nią decydować?

31

- Jesteśmy jej dziećmi i nie możemy jej na to pozwolić. W każdym razie ja jej na to nie pozwolę.

- No to coś wymyśl, bo mnie nie posłucha. Nigdy mnie nie słuchała. To ty jesteś jej ulubienicą. Chodzisz do niej codziennie i zaprawiasz prochami jej sok pomarańczowy. Uważam, że mama ma prawo żyć, jak chce.

- Na miłość boską, przecież ona umiera! - odparła zrozpaczona Jan. - Nie widzisz, co się z nią dzieje? Ona nie chce żyć. Równie dobrze mogła umrzeć z tatusem.

- Nie wiem, Jan. To dorosła kobieta, a ja nie jestem psychiatrą. I szczerze mówiąc, niedobrze mi się robi, kiedy widzę, jak się nad sobą użala. Nie chcę jej oglądać, nie chcę jej słyszeć. Pławi się w poczuciu winy, ponieważ ona żyje, a ojciec umarł. Niech się pławi. Może czerpie z tego jakąś perwersyjną przyjemność.

- Nie pozwolę jej na to - powtórzyła z uporem Jan.

- Nie przywrócisz jej chęci życia. Ona sama musi tego chcieć, a nie chce. Spójrz prawdzie w oczy. Pierwszy raz w życiu jest panią samej siebie i może właśnie tak chce spędzić resztę życia. Przynajmniej teraz nie musi słuchać ojca.

- Robisz z niego potwora - żaliła się Jan.

- Bo czasami nim był. Dla mnie.

Jak zwykle nie mogły się porozumieć.

Tydzień przed świętami Paul i Jan dostali zaproszenie na bożonarodzeniowe przyjęcie w sklepie Jacka. Tego roku Jan nie miała nastroju do zabawy. Paul nadal nie chciał iść do lekarza, co ją dobijało, poza tym martwiła się o matkę. Ale Paul powiedział, że ojciec się obrazi, jeśli nie wpadną choćby na chwilę.

- Może byś poszedł beze mnie? - spytała rankiem w dniu przyjęcia. Po prostu nie miała ochoty iść. - Obiecałam matce, że po południu do niej wpadnę, a kiedy ją zobaczę, na pewno

poczuję się jeszcze gorzej. - Amanda umierała, powoli, acz ewidentnie, co doprowadzało Jan do szaleństwa. Nie wiedziała, jak ją powstrzymać, była kompletnie bezradna.

32

- A może ją zaprosisz? - rzucił obojętnie przed wyjściem do pracy. Spojrzała na niego z irytacją w oczach.

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Od pół roku powtarzam ci, że jest przybita, że gwałtownie chudnie, że z nikim się nie widuje. Na miłość boską, ona tam siedzi i czeka na śmierć! Naprawdę myślisz, że poszłaby na to zwariowane przyjęcie organizowane przez twojego ojca? Ty chyba śnisz.

- Może dobrze by jej to zrobiło. Przynajmniej ją poproś. - Powiedział to z uśmiechem i Jan miała ochotę czymś w niego cisnąć. Po prostu niczego nie rozumiał.

- Nie znasz mojej matki.

- Mówię ci, zaproś ją.

- Oszalałeś. Równie dobrze mogłabym prosić, żeby rozebrała się do naga i przebiegła ulicami Bel Air.

- Przynajmniej sąsiedzi mieliby radochę. - Mimo głębokiej depresji Amanda wciąż wyglądała wspaniale. Paul wpadł nawet na szalony pomysł, żeby obsadzić ją w swoim następnym filmie, ale bał się spytać żony o zdanie. I bez tego wiedział, co by mu odpowiedziała. - Tak czy inaczej powiedz jej, że ojciec byłby zachwycony, mogąc ją u siebie gościć. Sklep zyskałby na szacowności - dodał zjadliwie, całując ją na pożegnanie, na co niechętnie pozwoliła. Była bardzo przygnębiona tym, że Paul nie chciał pójść do lekarza. Zaczęła ją męczyć myśl, że już nigdy nie będą mieli dzieci. Była właściwie nie mniej przygnębiona niż matka, ale próbowała tego po sobie nie okazywać.

Lecz kiedy tego popołudnia zobaczyła matkę, kompletnie się załamała. Matka była wychudzona, zmęczona i blada, jakby żegnała się z życiem. Choć skończyła dopiero pięćdziesiąt lat, czuła, że pora umierać. Jan zasypywała ją propozycjami, przymilała się, błagała, groziła, że jeśli nie weźmie się w garść, wprowadzą się do niej razem z Louise i wywloką z domu siłą.

- Macie na głowie pilniejsze sprawy niż zamartwianie się o mnie. Co słychać u Paula? Jak tam jego nowy film?

33

- Zawsze zmieniała temat, unikając poważnej rozmowy, ale pod wieczór Jan była tak zdenerwowana, że wpadła w złość i wcale tego nie ukrywała.

- Wiesz, doprowadzasz mnie do szału. Masz dobre życie, piękny dom, dwie kochające córki i, miast być za to wszystko wdzięczna losowi, siedzisz tu, użalasz się nad sobą i oplakujesz tatusia. Czy już nas nie kochasz, mamó? Nie możesz choć raz pomyśleć o innych? Nie widzisz, jak bardzo się o ciebie martwimy? Chryste, przecież ostatnio mogę myśleć tylko o tobie i o tym, że nie będę miała dzieci.

- I nagle, zupełnie tego nie chcąc, rozplakała się. Amanda objęła ją, przytuliła, przeprosiła za ból i troski, jakich im przysporzyła. Wkrótce płakały już obie, lecz słowa Jan po raz pierwszy podziały na nią oczyszczające i matka jakby trochę się ożywiła. - Już się nawet nie malujesz. Przestałaś się ładnie ubierać. I masz okropne włosy. - Szczerść przyniosła Jan prawdziwą ulgę.

Amanda roześmiała się przez łzy i spojrzała w lustro. Nie zobaczyła tam niczego przyjemnego: lustro pokazywało piękną kobietę, smutną, bladą i zaniedbaną. I nagle Jan postanowiła zastosować taktykę Paula: opowiedziała jej o przyjęciu w sklepie Jacka Watsona.

- Miałabym tam pójść?! Do sklepu?! - Zgodnie z przewidywaniami Amanda była przerażona propozycją. - To czyste szaleństwo.

- Tak samo jak to, co robisz z sobą od roku. Nie daj się prosić, mamó, zrób to dla mnie. Nikogo nie będziesz tam znała. Po prostu nałóż sukienkę, umaluj się i pojedziemy razem. Paul będzie bardzo szczęśliwy.

- Któregoś wieczoru pójdę z wami na kolację. Na pewno się ucieszy. Zaproszę was do „Spago”.

- Chcę, żebyś poszła ze mną dzisiaj, zaraz. Nie musisz zostawać długo, wystarczy pięć minut. Spróbuj, zrób ten wysiłek. Dla mnie... Dla Lou.... Dla tatusia. Tatuś nie chciałby oglądać cię w takim stanie. - Wstrzymała oddech, obserwując matkę. Była absolutnie przekonana, że nie zdoła

34

jej namówić, tymczasem Amanda znieruchomiała, patrząc niepewnie na córkę.

- Naprawdę myślisz, że ojciec chciałby, żebym tam poszła? - spytała po dłuższej chwili.

Jan powoli kiwnęła głową. To zdumiewające, jak wiele wciąż dla niej znaczył.

- Tak, mamó. - Pragnęła, żeby matka uwierzyła w to kłamstwo.

Amanda niespiesznie odwróciła się i weszła do sypialni. Tuż za nią podążyła zadziwiona Jan. Nie śmiała jej o nic pytać, jednak Amanda pomaszzerowała prosto do garderoby, skąd dobiegł szelest przeglądanych sukien. Minęło co najmniej pięć minut, zanim wróciła z żalobną garsonką w ręku.

- Co o niej myślisz? - spytała.

Jan wytrzeszczyła oczy, nie wierząc, że zdołała tego dokonać. A jednak! W końcu ją przekonała, zdołała wyciągnąć ją z domu, z rodzinnego sarkofagu! To było naprawdę zdumiewające.

- Jest chyba trochę za poważna, nie sądzisz? - Poszła za matką do garderoby, bojąc się ją zniechęcić; nie miała innego wyjścia, garsonka była naprawdę przygnębiająca. - A co powiesz o tej? - Wskazała pąsową, którą Amanda uwielbiała, ale ponieważ podobała się również ojcu, matka natychmiast pokręciła głową. Zamiast pąsowej wybrała piękną suknię z granatowej wełny. Przedtem była zbyt obcisła, ale teraz- leżała jak ulał i odmładzała Amandę znacznie bardziej niż pąsowa. Była bardzo twarzowa i elegancka i kiedy Amanda przymierzyła ją przed lustrem, spodobała się sama sobie - wyglądała jak gwiazda filmowa. Nałożyła lekkie granatowe pantofelki na wysokich obcasach, szafirowe kolczyki, uczesała włosy w gładki kok, z którego zasłynęła na srebrnym ekranie, i zrobiła delikatny, niemal niewidoczny makijaż. - Może ładniej będzie, jak mocniej podkreślisz usta? Co ty na to?

Amanda przyjrzała się krytycznie swemu odbiciu w lustrze i kiwnęła głową.

35

o, a teraz? - spytała nerwowo. - Wyglądam jak Amanda Kingston czy jak smętna wywłoka, w jaką ostatnio się przedzierzgnęłam? - W jej oczach błyszczały łzy.

- Wyglądasz jak... jak moja mama - odrzekła Jan, której też zwilgotniały oczy. Była wdzięczna losowi, Mojrom czy Parkom za to, że zdołały ją w końcu przekonać. - Boże, tak bardzo cię kocham... - szepnęła, mocno obejmując matkę.

Amanda delikatnie wydmuchała nos w chustkę, wprawną ręką poprawiła szminkę, do granatowej torebki włożyła kilka niezbędnych drobiazgów i spojrzała z podziwem na córkę. Jan miała na sobie suknię z czerwonej wełny, za którą przepadała i którą nakładała w każde Boże Narodzenie. Stojąc obok siebie, wyglądały niemal jak siostry.

- Dobra z ciebie dziewczyna, Jan, i bardzo cię kocham -szepnęła, gdy ruszyły w stronę drzwi. Wciąż nie mogła uwierzyć, że dała się w to wszystko wciągnąć, ale teraz nie chciała już się wycofać. - Ale długo tam nie zostaniemy, dobrze? - spytała nerwowo, wyjmując kurtkę z norek z szafy w przedpokoju. Nie nosiła jej od pogrzebu męża, ale czym prędzej tę myśl odpędziła. Robiła to dla córki. - Najwyżej kilka minut.

- Odwiozę cię do domu, kiedy tylko zechcesz, obiecuję.

- No to dobrze. - Idąc za Jan do wyjścia, zerknęła za siebie, jakby chciała pożegnać się z kimś, kogo tam zostawiła. Młoda i bezbronna, przystanęła na chwilę w progu, po czym cicho zamknęła za sobą drzwi.

Rozdział trzeci

-j*.1,

Przygotowania do przyjęcia w „Julie” trwały od wczesnego ranka. Nad drzwiami wisiały girlandy, we wszystkich oknach wieńce. Sklep zamknięto punktualnie o czwartej, a wcześniej ustawiono piękną, srebrzyście przystrojoną choinkę. Jack ucieszył się na jej widok.

- Wiem, że choinki są już niemodne, ale ja je po prostu uwielbiam. A ta jest cudna.

Sklep skrzył się i jarzył. Urządzono w nim trzy barki, w kuchni chłodziły się skrzynki francuskiego szampana. Jack wynajął czterech muzyków, którzy mieli grać nie do tańca, lecz dla ożywienia atmosfery. Spodziewano się dwustu gości. Było to jedno z ekskluzywnych przyjęć dla najlepszych klientów i dla licznych znakomitości. Jack wiedział, że przyjdą. Na większość imprez w mieście nie chodzili, ale u niego pojawiali się zawsze. Uwielbiali i jego, i przyjęcia w „Julie”.

- No i jak? - spytał, rozejrzawszy się po sklepie ostatni raz. Chciał skoczyć na górę, gdzie czekał na niego garnitur od Armaniego kupiony specjalnie na tę okazję.

- Moim zdaniem świetnie, Jack, naprawdę znakomicie - odrzekła Gladdie, podziwiając szczegóły wystroju wnętrza. Lubiła jego przyjęcia, zawsze były kapitalne.

- Trzymaj rękę na pulsie, idę się przebrać - powiedział, znikając w windzie.

37

Dwadzieścia minut później wrócił. Wyglądał tak, jakby przed chwilą zszedł z okładki „GQ”. Miał na sobie granatowy garnitur - broń Boże nic pompatycznego - i nosił go niczym wytrawny model.

- Bardzo elegancki - rzuciła półszeptem Gladdie, gdy zjechał na dół. - Wyglądasz szalowo. Masz dzisiaj randkę? - spytała z zainteresowaniem. Ostatnią gwiazdeczkę zaliczył przed kilkoma tygodniami i wiedziała, że aktualnie urabia znaną modelkę.

- Co najmniej tuzin - odrzekł ze śmiechem. - Niestety, Starr wyjechała dziś rano do Paryża. Ale kazała mi zaprosić swoją siostrę.

- Cóż za wspaniałomyślność! - rzuciła wesoło Gladdie. - Albo głupota.

- Myślę, że ma w Paryżu przyjaciela. - Uśmiechnął się zadowolony z życia. Lubił, kiedy sprawy układały się po jego myśli, właśnie tak jak teraz.

- Dzieci przyjdą? - spytała Gladdie, nalewając sobie kieliszek szampana.

W progu pojawili się pierwsi goście. Przed chwilą weszła Elizabeth Tylor z Michaeliem Jacksonem, a tuż za nimi Barbara Streisand z przyjacielem.

- Powiedziały, że się postarają - odparł z roztargnieniem Jack i odszedł, żeby powitać przybyłych.

Pół godziny później w sklepie było gwarno i tłoczno. Muzyka podsyciała wesoły nastrój, znakomitości przychodziły i wychodziły, a czyhający na ulicy fotoreporterzy pstrykali zdjęcia. Jack nie wpuścił ich do środka. Chciał, żeby goście czuli się swobodnie i cieszyli zabawą, wolni od strachu przed prasą, bulwarówkami i paparazzi.

Dochodziła prawie siódma, kiedy przed sklep zajechała Amandą z córką. Jan oddała kluczyki parkingowemu i poprowadziła matkę do drzwi. Przez całą drogę martwiła się, czy matka nagle nie wpadnie w panikę, nie zmieni zdania i nie wróci do domu - niewiele brakowało, aby wróciła, gdy rzucili się na nie wszędybysłscy paparazzi. Lecz Jan wciągnęła

38

ją błyskawicznie do sklepu, a kiedy się tam znalazły, lekko oszołomiona Amandą nie mogła przez chwilę złapać tchu. W sklepie było tak świątecznie i gwarno. Wszędzie rozpoznawała znajome twarze. Dwie aktorki, z którymi kiedyś grała, zachwycone widokiem Amandy, zarzuciły ją pytaniami. Opowiedziała o Matthew i wyznała, że jest to jej pierwsze wyjście od

jego śmierci. Stojąca w pobliżu Jan obserwowała z dumą, jak matka idzie przywitać się z jej szwagierką Julie. I właśnie wtedy dostrzegł je Jack, który rozmawiał ze starym przyjacielem w drugim końcu sklepu. Spojrzał w tamtą stronę i wytrzeszczył oczy.

- Nie do wiary... - wymamrotał pod nosem. Szybko przeprosił przyjaciela i podszedł do Jan. - Czy byłbym niegrzeczny, mówiąc, że osłupiałem? - szepnął, zerkając na Amandę.

Jan roześmiała się i odszepnęła:

- Na pewno nie tak jak ja. Od roku próbowałam wyciągnąć ją z domu. Wyszła pierwszy raz od śmierci taty i przypuszczam, że nie była na takim przyjęciu, odkąd wycofała się z filmu.

- W takim razie jestem zaszczycony - odrzekł szczerze. Cierpliwie zaczekał, aż Amandą skończy rozmawiać, podszedł do niej i podziękował, że zechciała przyjść. - Od tej pory „Julie” nie będzie już tym samym sklepem - dodał z uśmiechem. - W końcu spłynęło na nas wyróżnienie, na które, moim zdaniem, zawsze zasługiwaliśmy, a którym tylko ty mogłaś nas obdarować. - Drażnił się z nią, ale niewinnie.

- Wątpię, Jack. Miło cię widzieć. Wspaniałe przyjęcie. Spotkałam mnóstwo starych znajomych.

- Na pewno z radością cię powitali. Musisz częściej do nas zaglądać. Urządzimy przyjęcie, ilekroć zechcesz przyjść na zakupy. - Miał znakomity nastrój i Amandą przyjęła kieliszek szampana od przechodzącego kelnera. Jack zauważył, że lekko zadrżała jej przy tym ręka, lecz poza tym absolutnie nic nie wskazywało na to, że jest zdenerwowana. Była prawdziwą kobietą, rasową do szpiku kości, piękną

39

i dystygowaną, w przeciwieństwie do swoich starych towarzyszek ze srebrnego ekranu. - Wyglądasz niesamowicie, Amando - powiedział z nadzieją, że nie zabrmi to zbyt nachalnie, choć nawet w tym skłębionym tłumie trudno było nie zauważyć jej urody. Pośród wyszywanych cekinami toalet i wieczorowych atlasów jej granatowa, dobrze dopasowana sukienka i szafirowe kolczyki odznaczały się wyrafinowaną elegancją. - Jak się miewasz? - spytał grzecznie. Wahala się tylko chwilę.

- Tak sobie - odrzekła szczerze ze smutnym uśmiechem na ustach. - To był bardzo ciężki rok. Jakoś przetrwałam i patrząc wstecz, dochodzę do wniosku, że miałam dużo szczęścia. - Nie było w tym ani trochę ironii.

- Kiedyś też przez to przechodziłem - odrzekł w zadumie, gdyż nagle pomyślał o Dori. W obecności Amandy zdarzyło mu się to już drugi raz, bardziej ze względu na smutne okoliczności niż na fizyczne podobieństwo, zresztą może to tylko ulotne wrażenie.

- Myślałam, że jesteś rozwodnikiem - odrzekła skonfundowana Amanda, nie zważając na ludzi, którzy dyskretnie wskazywali ją palcami. Spójrz tam, to Amanda Robbins... Gra w jakimś filmie? Nie widziałam jej od lat... Wygląda cudownie... Myślisz, że strzeliła sobie lifting? Mimo to wygląda kapitalnie... W sklepie kipiało, jednak Amanda zdawała się tego nie zauważać. Miała niezwykłą osobowość i klasę.

- Owszem - odrzekł cicho i wyjaśnił, skąd ta uwaga; stojąc obok siebie, on w ciemnym garniturze, ona w eleganckiej sukience, wyglądali jak para. - Rzecz w tym, że trzynaście lat temu umarła moja bliska przyjaciółka. To niezupełnie to samo, przez co ty musiałaś przejść, ale jej śmierć bardzo mnie dotknęła. Dori była dla mnie kimś wyjątkowym.

- Tak mi przykro... - powiedziała łagodnie, patrząc na niego oczyma, które niczym zapalki rozpałyły w nim jakieś dziwne, przerażające uczucie. Za chłodną fasadą opanowania

40

kryła się silna i nadzmysłowo pociągająca kobieta. Choć przeżyła koszmarne rok, zdawała się pełniejsza życia niż wówczas, gdy była z Matthew. Ale nim zdążył powiedzieć coś więcej, wezwano go w sprawie drobnego problemu z listą gości. Przed drzwiami czekały dwie znane gwiazdy filmowe, które nie zostały zaproszone. Gdy kazał bramkarzom je wpuścić, odciągnęła go Gladdie, a potem przysłała Jan, żeby sprawdzić, co z matką.

- No i jak, mam? Wszystko dobrze? - Miała nadzieję, że Amanda nie chce jeszcze wyjść. Uważała, że trochę rozrywki dobrze jej zrobi, poza tym przyjęcie było naprawdę fantastyczne.

- Tak, kochanie. Dziękuję, że mnie tu przyprowadziłaś. Wielu osób nie widziałam od lat, a Jack jest dla mnie bardzo miły. - Zabrzmiało to niemal jak przeprosiny za wszystko, co wygadywała o nim od trzech lat, ale Jack rzeczywiście wydał jej się o wiele szacowniejszy niż przedtem, no i na własnym terenie czuł się bardzo swobodnie. Nigdy by się do tego nie przyznała, ale niewiele brakowało, żeby się jej spodobał. - Kiedy przyjdzie Paul?

- Mam nadzieję, że lada chwila, ma jakieś spotkanie.

Wkrótce potem Gladdie wezwała Jan do telefonu. Dzwonił Paul. Spotkanie okropnie się przedłużało, ale obiecał przyjechać, jak tylko się skończy.

- Nigdy nie zgadniesz, kto tutaj jest - powiedziała z nutką figlarniej wesołości w głosie. Roześmiała się. Od wielu tygodni nie była w tak doskonałym nastroju i bardzo go to ucieszyło. Od jakiegoś czasu napięcie, jakie istniało nigdy nimi, przeradzało się w coraz głębszy stres.

- Znając mojego ojca... Mógł zaprosić każdego. No kto? Tom Cruise? Madonna?

- Lepiej. - Uśmiechnęła się do słuchawki. - Amanda Robbins.

- Naprawdę zdołałaś wyciągnąć ją z domu? Dobra robota, skarbie, jestem z ciebie dumny. No i jak sobie radzi? i*

41

- Chyba wszystkich tu zna, wygląda wspaniale. Uczeszała się, umalowała i hokus-pokus, wróciła do nas wielka gwiazda filmowa! Zazdroszczę jej urody.

- Nie zapominaj, że bijesz ją na głowę.

- Kocham cię - szepnęła wzruszona, że to powiedział, nieważne, czy szczerze.

- Tylko jeśli wygląda tak wspaniale, broń Boże nie dopuszczaj do niej mojego ojca. Tego kłopotu nam nie potrzeba. Amanda już nigdy by się do mnie nie odezwała, ty też nie. Jan wybuchnęła śmiechem.

- To nam chyba nie grozi, ale fakt, Jack jest dla niej bardzo miły. Strasznie tu tłoczno, jest bardzo zajęty. Ciągłe przychodzą jakieś znakomitości...

- Pewnie same baby. Biedny człowiek, zedrą z niego garnitur, zjedzą go żywcem. Niektórzy z nas mają bardzo ciężkie życie. Ot, choćby mój tatuś. Kochanie, przyjadę, jak tylko będę mógł. Czekał na mnie. Zadzwoń przed wyjściem z biura.

- Do zobaczenia.

Była to najmilsza rozmowa, jaką odbyli z sobą w ciągu kilku ostatnich tygodni, a kiedy odszukała wzrokiem matkę, stwierdziła, że znowu rozmawia z Jackiem, i postanowiła im nie przeszkadzać. Nie byłoby tak źle, gdyby w końcu zopryjażnili się i przestali na siebie bocyć. Przyglądając się im z daleka, widziała, że matka się uśmiecha, a Jack jest bardzo poważny.

Opowiadał jej o swoich wyjazdach służbowych do Europy i o tym, jak bardzo nie podobał mu się Mediolan, od którego wolał Paryż, wymieniali też doświadczenia na temat londyńskiego „Claridge'a”. Odchodząc, żeby pogawędzić ze znajomą, Jan stwierdziła, że wyglądają jak para przyjaciół. Godzinę później znowu zadzwonił Paul, ale tym razem słychać było, że jest zmęczony i zdenerwowany. Spotkanie się nie udało, a kiedy zbiegł na dół, okazało się, że odholowano jego samochód. Do „Julie” mogłoby więc dotrzeć tylko taksówką,

42

ale wolałby zabrać Jan na kolację, gdyby zechciała po niego przyjechać. Uważał, że na przyjęcie jest już za późno.

- Ale co z mamą? Przecież nie mogę jej tu zostawić - odrzekła zmartwiona.

- Niech ojciec wsadzi ją do taksówki. Albo nawet do limuzyny. Jeśli go znam, przynajmniej dwie czekają przed sklepem. Zamawia je dla gości na wszelki wypadek. Wystarczy, jak go poprosisz.

- Dobrze, spróbuję. Ale jeśli jej odbije, natychmiast do ciebie zadzwonię. Nie wiem, może będę musiała odwiedzić ją do domu. Jeżeli nie, przyjadę za dziesięć minut.

- Przyjedź - powtórzył stanowczo. - Miałem parszywe popołudnie i chcę cię zobaczyć. Miła, spokojna kolacja z mężem była perspektywą bardzo kuszącą i Jan miała nadzieję, że matka da się Jackowi wsadzić do taksówki albo limuzyny.

Kiedy znalazła ich w rogu sali i kiedy wyjaśniła, o co chodzi, Amanda wpadła w panikę. Ale tylko na chwilę, bo zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, do akcji wkroczył Jack.

- Paul ma rację, Jan. Przed sklepem czekają dwa samochody. Kiedy tylko mama zechce wrócić do domu, natychmiast każe ją odwiedzić. Co ty na to, Amando?

Amanda była wciąż przerażona myślą, że Jan może ją opuścić, lecz jednocześnie nie chciała być dla córki ciężarem.

- Ja... Świetnie... Ale nie musisz tego robić, Jack. Mogę wziąć taksówkę, mieszkam w Bel Air, niedaleko stąd. Wezwę taksówkę i...

- Nie - przerwał jej kategorycznie - pojedziesz limuzyną. Nie powinnaś jeździć taksówką o tej porze.

Amanda roześmiała się na tę stanowczość i usłużność, ale zgodziła się skorzystać z limuzyny. Zaczęła przebąkiwać coś o tym, że musi już wyjść, ale robił wrażenie tak bardzo rozczerowanego i speszonego, że uległa i postanowiła zostać nieco dłużej. Zresztą znakomicie się bawiła. Matthew nie cierpiał przyjęć i rzadko na nie chodzili.

43

Jan wyczuwała ją na do widzenia i pojechała po Paula, natomiast Jack czuwał nad Amandą niczym troskliwy ojciec nad córką, dopilnowując, żeby zawsze miała pełny kieliszek, tacę z przystawkami w zasięgu ręki, żeby rozmawiała z przyjaciółmi i czuła się swobodnie.

Zaszokowana Amandą skonstatowała, że nagle zrobiło się wół do dziewiątej ?• że wychodzi z przyjęcia jako jedna z ostatnich.

- Jestem zażenowana... Wygląda na to, że będziesz musiał wyrzucić mnie za drzwi - powiedziała przepaszająco, wyciągając rękę, żeby się z nim pożegnać. On jednak uparł się, żeby odwiedzić ją osobiście.

- Nie bądź niemądra. To żaden kłopot. Jesteśmy rodziną, poza tym miło jest pogawędzić po tylu latach milczenia. Zrobię to z prawdziwą przyjemnością.

Nie, nie było mowy, żeby zgodził się puścić ją do domu samą, poza tym zostawił Gladdie wszystkie niezbędne wskazówki na wypadek swojej nieobecności. Przyjęcie już się skończyło i przyjaciele, z którymi umówił się na kolację, wyszli bez niego. Powiedział im, że niewykluczone, iż dołączy do nich później, dodając, że to raczej wątpliwe. No i nie miał żadnych innych zobowiązań.

Kiedy jechali samochodem Rodeo Drive, spytał ją obojętnie, czy miałyby ochotę coś zjeść, ot, choćby tylko hamburgera albo sałatkę, przecież to dobra okazja do pogawędki o dzieciach. Zawahała się, myśląc, że powinna wracać do domu, z drugiej strony nie musiała się przed nikim tłumaczyć. Poza tym trochę zgłodniała. Tak, Jack miał rację. Bardzo martwiła się o Jan i Paula i była ciekawa, czy on też zauważył, że ostatnio wkradło się między nich dziwne napięcie. Może właśnie dlatego chciał zjeść z nią kolację. Wychodząc z takiego założenia, oznajmiła, że to dobry pomysł, i z wdzięcznością przystała na jego propozycję.

Kazał szoferowi zawieźć się do „Ivy” na Północnej Robert-son. Ponieważ doskonale znano tam i jego, i jego upodobania, natychmiast zaprowadzono ich do stolika w zacisznym kąciiku sali. Był tam również George Christy z grupą przyja-

44

ciół - pomachał Jackowi na powitanie, a kiedy zobaczył, że towarzyszy mu Amandą Robbins, wytrzeszczył ze zdumienia oczy.

Zamówili makaron i sałatkę, a Jack swobodnie kontynuował przerwana w sklepie rozmowę.

Mówił o przeróżnych rzeczach, o malarstwie, o sztuce, podróżach, literaturze i o teatrze, miał

szeroką wiedzę i był miłym rozmówcą, tak że Amandą szybko uświadomiła sobie, że nie jest pospolitym flirciarzem, za jakiego go uważała. W końcu, kiedy podano jedzenie, podniósł temat dzieci.

- Myślisz, że dobrze się między nimi układa? - Robił wrażenie zatroskanego, ale zupełnie swobodnego. Wyglądało na to, że mogą z sobą rozmawiać dosłownie na każdy temat.

- Nie wiem - odrzekła szczerze. - Od jakiegoś czasu bardzo się o nich martwię i chyba niewiele zdołałam pomóc córce. Przez cały rok byłam tak zamknięta i pochłonięta sobą, że zawiodłam ją jako matka, tak przynajmniej myślę.

- Nonsens - zaprzeczył łagodnie. - Potrzebowałam tego czasu dla siebie, nie możesz zawsze służyć pomocą innym. Jestem pewien, że Jan to rozumie. To wspaniała dziewczyna... Mam tylko nadzieję, że Paul dobrze ją traktuje. Nie robi wrażenia zbyt szczęśliwej.

Amandą westchnęła. Z jednej strony chciała dotrzymać tajemnicy, z drugiej zaś pragnęła podzielić się wiadomościami z ojcem Paula. Mogli im pomóc, nadarzała się ku temu znakomita okazja.

- Jack, nie chciałabym być niedyskretna, ale myślę, że Jan bardzo denerwuje się tym, że nie może zająć w ciąży.

- Tak myślałem - odrzekł, patrząc na nią w zadumie. - Próbowali na poważnie? Nie rozmawialiśmy o tym z Paulem.

- Z tego, co wiem, próbują od dwóch lat. To może być bardzo przygnębiające...

- Albo ekscytujące, zależy, jak na to patrzeć - wtrącił z niewymuszoną wesołością i Amandą roześmiała się wbrew sobie. Szybko spowaźnieli. •&'*

45

- Nie wyglądają na specjalnie podekscytowanych, chociaż fakt, Jan była dzisiaj w znakomitym nastroju, dawno jej takiej nie widziałam.

- Może dzięki temu, że ty się lepiej poczułaś - podsunął delikatnie. Skinęła głową.

- Może. Kiedy rozmawialiśmy na ten temat ostatni raz, powiedziała mi, że na początku roku prosiła Paula, żeby poszedł do specjalisty. Podobno odmówił.

- W takim razie sprawa jest poważna. To niezbyt dobre nowiny. Myślisz, że w końcu poszedł?

- Nie sądzę, ale wiem, że ona poszła.

- No i?

- Nie znam szczegółów - wyznała - ale w ciąży nie jest. Tak przynajmniej przypuszczam.

- Gdyby była, na pewno już byśmy o tym wiedzieli. To naprawdę dokuczliwy kłopot.

Nieczuły imbecyl ze mnie, bo od czasu do czasu dogryzałem mu, że nie ma jeszcze potomka, a teraz widzę, że nie powinienem był tego robić. Zastanawiam się, czy mógłbym z nim na ten temat porozmawiać... - dodał w zadumie.

- Myślę, że Paul bardzo przejmuje się swoją pracą - orzekła bezstronnie Amanda. Przez trzy lata zdążyła go polubić, tak samo jak Jack polubił jej córkę. Oboje byli miłymi ludźmi.

- Paul przejmuje się wszystkim - odparł Jack, marszcząc czoło. - Taką już ma naturę, właśnie dlatego jest tak dobry w tym, co robi. Kiedyś zostanie grubą rybą w przemyśle filmowym. W przeciwieństwie do swego ojca, który wyprodukował kilka najpotworniejszych gniotów, jakie świat widział. Gorsze są tylko te, w których grałem. W biznesie z ciuchami jestem o niebo lepszy.

- Skromność przez ciebie przemawia, Jack - odrzekła ze śmiechem Amanda i pochwaliła jego sklep. - Jest piękny. Któregoś popołudnia będę musiała przyjść tam na zakupy. - Sklep naprawdę jej się podobał, podobnie jak Jack, co odkryła z niesłychanym zdumieniem. Był inteligentny,

46

interesujący i zabawny. Wieczór minął bardzo szybko. Kiedy wychodzili z restauracji, obiecał, że postara się skłonić Paula, żeby poszedł do specjalisty razem z Jan.

- Pewnie mu się nie spodoba, że z nim o tym rozmawiam, ale spróbuję.

- Będę ci bardzo wdzięczna - odrzekła, gdy wsiadali do limuzyny.

- Dam ci znać, jak poszło. Myślę, że jeśli dobrze rozegramy wszystkie karty, w przyszłym roku o tej porze możemy zostać dziadkami. Właśnie... Tuż po Bożym Narodzeniu kończę sześćdziesiąt lat, a wnuków jak nie przybywa, tak nie przybywa. Człowiekowi takiemu jak ja może to całkowicie zniszczyć reputację.

Potrafił obrócić wszystko w żart, co bardzo jej się podobało. Nie mogła powstrzymać śmiechu, a kiedy spoważnieli, opowiedział jej o Dori, o tym, ile dla niego znaczyła, i o tym, że od tamtej pory nie ma ochoty na stały związek.

- To zbyt bolesne - wyznał szczerze. - Nie chcę, żeby znowu zależało mi na kimś tak bardzo jak na niej, oczywiście z wyjątkiem dzieci. Kiedy z mojego życia odchodzi kolejna kobieta, macham jej na do widzenia i szybko o niej zapominam. Nie chcę oplakiwać jej przez dwa lata i do końca życia wspominać z żalem.

- Może jeszcze nie spotkałeś odpowiedniej osoby - odrzekła cicho, myśląc o Matthew. Nie wyobrażała sobie, żeby znowu mogła pokochać, i szczerze mu to wyznała.

- Ty to co innego. Przez dwadzieścia sześć lat byłeś mężatką, nie balowałaś jak ja. Ja się tylko dobrze bawiłem, nie pragnąłem i nie pragnę niczego więcej. Ale ty... Kiedy się spokojnie rozejrzysz, powinnaś się z kimś związać, Amando. Naturalnie, jeśli tego zechcesz - dodał łagodnie. - Długo cię tu nie było, kto wie, może uznasz, że bardzo ci to odpowiada.

- Wątpię - odrzekła szczerze. - Nie wyobrażam sobie nawet, że mogłabym zacząć się z kimś umawiać. Minęło tyle lat... Myślę, że to już przeszłość. •

47

- Nigdy nie wiadomo, co się zdarzy ani kogo spotkasz na swojej drodze. Życie obsypuje nas darami w najmniej spodziewanych momentach, ale też, równie niespodziewanie, potrafi poczęstować nas tęgim kopem. Daje nam jedno albo drugie. Ale nigdy nie to, czego się najbardziej spodziewamy.

Było w tym sporo prawdy, więc kiwnęła z uśmiechem głową i spojrzała na niego pytająco.

- A matka Paula? Jaką była kobietą? - Rozmawiała z nią przelotnie na weselu Jan, ale tyle się wówczas działo, tylu mieli gości, o tylu sprawach musiała pamiętać, że zupełnie jej nie kojarzyła.

- Barbara? - Wyglądało na to, że pytanie go zdziwiło. - Była prawdziwym potworem.

Szczerze mówiąc, to właśnie ona wyleczyła mnie z chęci do małżeństwa i jestem pewien, że gdyby ją o to spytać, powiedziała by o mnie to samo. Z tym że ona była na tyle głupia, żeby ponownie wyjść za mąż. Na szczęście prawie już o niej zapomniałem. Rzuciła mnie dziewiętnaście lat temu. W przyszłym roku zamierzam zorganizować uroczyste obchody dwudziestej rocznicy całkowitej niezależności. - Oboje wybuchnęli śmiechem.

- Jacku Watsonie, jesteś straszny, nie masz dla ludzi ani krztyny szacunku. Założę się, że gdybyś trafił na odpowiednią kobietę, ożeniłbyś się raz-dwa. Po prostu tracisz czas na uganianie się za spódniczkami.

- A ty skąd o tym wiesz? - spytał, udając niewiniątko, ale nie nabrałby nikogo, a już na pewno nie Amandę.

- Czytuję gazety - odrzekła filuternie.

- Tak czy inaczej, zapewniam cię, że gdybym spotkał panią albo pannę Odpowiednią, natychmiast skoczyłbym z dachu najwyższego budynku w mieście. Jedną nauczkę już dostałem. Jestem z tobą szczerzy, Amando. To nie dla mnie.

- Ja również, choć z innych powodów. Ale co tam, to niebezpieczeństwo na razie mi nie grozi - odrzekła z cichym westchnieniem, gdy zmierzali do drzwi jej domu. Odwróciła się, żeby mu podziękować. - Cudownie się bawiłam, Jack.

Dziękuję za troskliwą opiekę, za kolację i za rozmowę o dzieciach.

Był lekko zaskoczony, kiedy to powiedziała, ale uśmiechnął się i skinął głową.

- Zadzwoń po rozmowie z Paulem - powtórzył, a ona ponownie mu podziękowała. Otworzył drzwi i zamknął je, kiedy za nimi zniknęła.

Włączając światło, słyszała pomruk silnika odjeżdżającej limuzyny i ze zdumieniem uświadomiła sobie, jak bardzo się co do Jacka myliła. Owszem, był kobieciarzem, wcale nie robił z tego tajemnicy, ale był też... kimś więcej. Miał w sobie coś czarującego, jak zbłąkany młodzieniec o spojrzeniu, które sprawia, że każda dziewczyna pragnie go przytulić.

Niewiele brakowało i w jej głowie rozdzwoniłyby się dzwonki alarmowe. Mężczyźni pokroju Jacka Watsona są niebezpieczni nawet dla pięćdziesięcioletniej wdowy, mimo to wiedziała, że nie musi się go obawiać. Cekał na niego długi sznur młodziutkich szansonetek, poza tym tak naprawdę łączyły ich tylko dzieci.

Tymczasem Jack wracał na Rodeo Drive, żeby sprawdzić, czy „Julie” śpi spokojnie. Oparł się o zagłówek, opadły mu powieki. Oczyma duszy widział tylko Amandę.

Rozdział czwarty

Jan nie odzywała się do niej przez kilka dni, a tydzień po przyjęciu zatelefonował Jack. Miał jej coś do powiedzenia i zaprosił ją do sklepu, na lunch w swoim gabinecie. Zgodziła się bez wahania. Doskonale wiedziała, iż jedynym powodem tego, że zadzwonił, jest sprawa dzieci.

Kiedy przyjechała, czekał przed sklepem. Zaprowadził ją na górę, gdzie w sali konferencyjnej, przy stole nakrytym bieluteńkim, sztywno wykrochmalonym obrusem, podano mały, elegancki lunch: sałatkę z homarów, kawior i szampana.

- Codziennie tak jadasz? - zagadnęła uszczypliwie, na co odparł, że tylko wtedy, kiedy chce komuś zaimponować. - W takim razie muszę przyznać, że ci się udało. Ja codziennie jadam jogurt.

- Wygląda na to, że dieta skutkuje. Masz wspaniałą figurę, Amando.

Zaczerwieniła się na te słowa, ale zaraz przeszli na temat dzieci. Powiedział, że podczas lunchu z Paulem podniósł wiadomy temat i że starał się zrobić to najdelikatniej, jak potrafił. Otóż spytał syna, dlaczego jeszcze nie mają dzieci. Paul był bardzo skryty i powiedział mu prawie dokładnie to samo, co Amanda. Przyznał też, że nie chce iść do specjalisty. Uważał, że to żenujące, że czułby się tak, jakby podawano w wątpliwość jego męskość. Ale po dłuższej rozmowie

50

zgodził się w końcu coś w tej sprawie zrobić i obiecał, że zaraz po świętach, kiedy lekarz wróci z urlopu, pójdzie do niego razem z Jan.

- Tak więc można chyba uznać, że nasza misja została uwieńczona sukcesem - zreasumował.

- A przynajmniej jej pierwsza faza. Operacja „Wnuk” rozpoczęta.

Amanda była pod wrażeniem. Jack zaimponował jej osiągniętymi rezultatami i tym, że w ogóle chciał podjąć się tak trudnego zadania. Usiadła wygodniej i uśmiechnęła się do niego, szczerze zadziwiona.

- Jesteś wspaniały. Nie mogę w to uwierzyć. Biedna Jan błagała go od roku, mimo to nie chciał się zgodzić.

- Pewnie się przestraszył, i tyle. Powiedziałem mu, że jeśli nie pójdzie, to go wydziedziczę. - Zadowolony z jej reakcji, posłał Amandzie serdeczny uśmiech. Widział, że jest mu wdzięczna.

- Poważnie, Jack, bardzo ci dziękuję. Ta biedaczka tak bardzo pragnie dziecka.

- Jak myślisz, co będzie, jeśli okaże się, że nie mogą go mieć? - Był wyraźnie zatroskany, tak samo jak ona, odkąd Jan wyznała jej, że Paul jest przeciwny adopcji.

- Cóż, będą musieli stawić temu czoło krok po kroku. Jeśli Jan nie zajdzie w ciążę, zawsze mogą pomyśleć o adopcji, ale trudno uwierzyć, żeby w tych czasach i przy metodach, jakie

dzisiaj stosują w leczeniu bezpłodności, nikt nie potrafił im pomóc. Jestem pewna, że przy odrobinie cierpliwości sprawa będzie miała pomyślny finał.

- Dzisiaj wszystko jest tak cholernie skomplikowane, prawda? W moich czasach chłopak miał kupę szczęścia, jeśli po półrocznym podrywie mógł zaprosić dziewczynę do kina samochodowego i wciągnąć ją na tylne siedzenie wozu tatusia. A jeśli nie daj Boże choćby uścisnęli sobie przy tym ręce, od razu zachodziła w ciążę. Dzisiaj wszyscy leczą się na bezpłodność i rodzą dzieci z probówki, przez co randki nie sprawiają już tyle radości. Amanda nie potrafiła powstrzymać śmiechu. To prawda,

*••»

nawet już będąc z Mattem, często bała się zająć w ciążę. Miała nadzieję, że Jan i Paulowi się poszczęści i że będą mieli upragnione dziecko.

- Jak tylko dowiem się czegoś więcej, natychmiast dam ci znać - obiecał Jack.

- A ja tobie.

Potem zaproponował jej spacer po sklepie. Nie mogła oprzeć się pokusie i przymierzyła kilka sukni, tak że w końcu zostawił ją pod opieką kierownika i najlepszych sprzedawców. Do gabinetu wróciła dwie godziny później.

- Dobrze się bawiłaś? - spytał, wstając zza biurka, kiedy weszła. Była szczęśliwa i zrelaksowana, jakby zakupy w „Julie” sprawiły jej dużo radości.

- To prawdziwa rozpusta, kupowałam wszystko, co tylko wpadło mi w oko, łącznie z sześcioma kostiumami kąpielowymi na przyszły sezon. - Kupiła też kilka pięknych szlafroków, nową sukienkę i czarną, naprawdę wystrzałową torebkę ze skóry krokodyla. - Kupowałam wszystko, co wpadło mi w oko - powtórzyła nieco zażenowana. - Nigdy w życiu nie byłam tak rozrzutna, ale muszę przyznać, że robiłam to z wielką przyjemnością - wyznała ze śmiechem.

Była piękna. Przyłapał się na tym, że się na nią gapi, że zastanawia się, jak wyciągnąć ją na kolację.

- Lubisz tajską kuchnię? - spytał ni w pięć, ni w dziesięć.

- Dlaczego pytasz? Serwujecie w sklepie posiłki? Czyżbym opuściła jakiś dział? Bar z przekąskami? - Śmiała się, wyglądała tak zmysłowo, tak młodo i radośnie.

- Tak, pokażę ci, gdzie jest - odrzekł z największą powagą. - Z tym że urządziliśmy go w innym sklepie i będziesz musiała pojechać tam ze mną samochodem.

- Ty łgarzu, ty potworny łgarzu. Próbujesz uprowadzić mnie dla okupu, już ja swoje wiem.

- Świetny pomysł - odrzekł wesoło. - Jakie mam na to szansę?

- Dzisiaj? Teraz? - Było wpół do szóstej, ale sklep zamykano dopiero o dziewiątej, żeby klienci zdążyli zrobić

52

święteczne zakupy. - Nakarmiłeś mnie w południe, nie musisz mnie karmić i wieczorem. Mam inny pomysł. Wpadnij do mnie, zrobię kolację. Nic nadzwyczajnego, znajdę coś w lodówce. Jestem twoją dłużniczką: nakłoniłeś Paula na wizytę u lekarza.

- Z wielką chęcią. - Przyjął zaproszenie natychmiast i obiecał wpaść o siódmej, żeby jej pomóc. Jak tylko wyszła, podniósł słuchawkę telefonu i odwołał randkę, na którą umówił się wiele tygodni wcześniej. Powiedział, że ma grypę, lecz dziewczyna tylko się roześmiała. W sumie nie zależało jej na spotkaniu, ale znała Jacka lepiej, niż przypuszczał.

- Lepiej powiedz, jak jej na imię - zażartowała zgryźliwie.

- Skąd wiesz, że chodzi o kobietę?

- Bo nie jesteś gejem, a grypy nie miałaś, odkąd skończyłeś dwa lata. W każdym razie nie chrypisz, wprost przeciwnie. Powodzenia, kimkolwiek ta dziewczyna jest. - I tak się z kimś spotykała, więc podziękował jej za wyrozumiałość.

Przed drzwiami Amandy stanął punktualnie o siódmej. Miała na sobie szare, luźne spodnie, bladobłękitny sweter i sznur pereł. Wyglądała jak młoda dziedziczka - dziedziczka w kuchennym fartuszk.

- Bardzo tu po domowemu - orzekł, stawiając na stole butelkę przedniego wina, którą z sobą przyniósł.

- Mam nadzieję - odparła ze śmiechem. - Po dwudziestu sześciu latach małżeństwa...

- Wiesz, nigdy dotąd tak o tobie nie myślałem, to znaczy jak o pani domu - wyznał, idąc za nią do kuchni, gdzie podziękowała mu za wino; było znakomite, bardzo starego rocznika. - Zawsze myślałem o tobie jak o gwiazdce filmowej. Trudno zapomnieć, kim byłaś. Nawet wyglądasz tak samo jak kiedyś. Szczerze mówiąc, zawsze myślałem o tobie jak o Amandzie Robbins, nie jak o Amandzie Kingston.

- Matt tego nie cierpiał - odrzekła z prostotą. - Wiele osób tak kiedyś mówiło. '?'

53

Zaciekawiła go.

- I właśnie dlatego nie wróciłaś?

- Prawdopodobnie. Zresztą Matt nigdy by na to nie pozwolił. Rozmawialiśmy o tym przed ślubem. Moja kariera trwała krótko, ale byłam gotowa z niej zrezygnować dla... czegoś lepszego. Dla mężczyzny, którego kochałam. Dla rodziny.

- No i? Warto było? Byłaś szczęśliwa? - spytał, uważnie ją obserwując.

- Uwielbiałam przebywać z Mattem i z dziećmi, wiodłam dobre życie. - Pograżyła się w zadumie. - Trudno uwierzyć, że już się skończyło. Że wszystko tak szybko rozpadło się w gruzy. Ot, wyszedł z domu z rakietą tenisową w rękę i ledwie dwie godziny później umarł. Ciężko się z tym pogodzić.

Jack kiwnął głową.

- Może zabrzmi to głupio, ale przynajmniej nie cierpiał.

- To prawda, za to my cierpieliśmy. Nie byłam na to przygotowana, wyglądał tak młodo.

Nigdy nie rozmawialiśmy o tym, co się stanie, jeśli jedno z nas umrze, nigdy nie mieliśmy czasu, żeby choćby o tym pomyśleć, żeby się pożegnać, żeby... - Oczy jej zwilgotniały, ale gdy się odwróciła, Jack stał już za nią. Położył ręce na jej ramionach i szepnął:

- Już dobrze, już dobrze, ja wiem... Pamiętam, jak przeżywałem śmierć Dori. Miała wypadek samochodowy, kiedy do mnie jechała. Czołowe zderzenie. Nawet nie wiedziała, że umiera. Ale ja wiedziałem. Czuję się tak, jakby ta cholerna ciężarówka staranowała mnie, nie ją. I przez długi czas żałowałem, że tak nie było. Ciągle pragnąłem umrzeć za Dori, ciągle wyrzucałem sobie, że ja żyję, a ona... Dręczyło mnie potworne poczucie winy.

- Mnie też. - Spojrzała na niego. Miała łagodne, ciepło-brązowe oczy i włosy w kolorze piasku przyprószone siwizną. Była zadziwiająco atrakcyjna. - Przez ostatni rok pragnęłam umrzeć za Matta. Ale od paru tygodni cieszę się, że żyję. Znowu mogę być z dziećmi, co daje mi mnóstwo radości,

54

znowu mogę zajmować się drobnostkami... To zabawne: mała zmiana, a tak wielka różnica.

Jack kiwnął głową i nałożył fartuch, żeby nie ubrudzić sobie spodni i czarnego golfa.

- No dobra. Dość poważnych rozmów, szanowna pani. Co robimy na kolację? Chcesz, żebym coś porządkował, utarł albo zmełł, czy wolałabyś raczej patrzeć, jak powoli urzynam się w kuchni? Mnie tam wszystko jedno.

Spojrzał na nią - i znowu się roześmiała. Czowała się przy nim tak swobodnie.

- Lepiej usiądź i odpocznij sobie. Prawie wszystko gotowe. - Nalała mu kieliszek wina, zakrzętnęła się w kuchni i już pół godziny później jedli stek z pieczonymi ziemniakami i sałatką. Była dobrą kucharką. Siedząc przy kuchennym stole, przegadali kilka godzin, a potem przeszli do salonu, gdzie stały zdjęcia w oprawkach. Zerknął na nie. Tworzyli miłą

rodzinę, chociaż zawsze uważał, że Matt jest trochę za sztywny. Za to Amanda wyglądała prześlicznie.

- Szkoda, że ty i twoje córki jesteście takie brzydkie.

- Ty też masz udane dzieci.

Komplement za komplement - Jack parsknął śmiechem.

- Tak się po prostu składa, że jesteśmy niezwykle urodziwymi ludźmi. Ludźmi pięknymi, jak wszyscy w Los Angeles. Brzydkich usuwa się do innych miast czy stanów, przerzuca się ich nawet o północy za granicę. Otacza się brzydali, zgarnia do kupy i puff! znikają niczym koszmarny sen, nikt już ich później nie ogląda. Tak kończą szkaradni. - Lubił żartować, lubił się droczyć. Nic dziwnego, że miał takie powodzenie u kobiet.

- Nie męczy cię to? - spytała poważnie, gdy usiedli. Czuli, że może spytać go o wszystko.

Byli już przyjaciółmi. - Mam na myśli te wszystkie kobiety. Przebywanie przez cały czas z

obcymi ludźmi musi być okropnie męczące. Nie wyobrażam sobie siebie w podobnej sytuacji

- zaczynanie wszystkiego od nowa, zadawanie tych samych nudnych pytań...

55

Westchnął i podniósł rękę.

- Dość, wystarczy! Burzysz mój styl życia. Jeśli zacznę go kwestionować, nie będę w stanie prowadzić się jak dotąd. A to po prostu jeden ze sposobów na unikanie stałych związków. Od czasów Dori tego mi właśnie potrzeba.

- Wolałabym chyba pooglądać telewizję albo poczytać książkę - wyznała ze śmiechem Amanda.

- Kto wie, może do tego sprowadza się różnica między kobietami i mężczyznami. Do tej chwili, gdybym miał wybierać między książką, telewizją i kobietą, wybrałbym kobietę, ale jeśli każesz mi to poważnie przemyśleć, niewykluczone, że rano kupię sobie nowy telewizor.

- Jesteś beznadziejny.

- Owszem. Kiedyś stanowiło to część mojego czaru, ale widzę, że szybko staje się ciężarem. Chyba powinniśmy zmienić temat.

Rozmawiali więc o innych rzeczach, o dawnych czasach, o swoich rodzinach, marzeniach, ambicjach, karierach i znowu o dzieciach. Niepostrzeżenie mijały godziny. Wyszedł dopiero po północy. I już przed dziewiątą rano zadzwonił, żeby podziękować jej za kolację. Amanda jeszcze spała.

- Obudziłem cię? - spytał zdziwiony. Wyglądała na jedną z tych, co to wstają z kurami, i tak zazwyczaj było, ale zasiedziała się do późna, próbując czytać. Lecz głównie myślała o Jacku.

- Nie, ależ skąd, już wstałam - zełgała, spoglądając z przerażeniem na zegarek. Miała wizytę u dentystki - chciała oczyścić sobie zęby - i już wiedziała, że musi ją odwołać.

- Kłamiesz - odrzekł z szerokim uśmiechem. - Obudziłem cię, spałaś jak suseł. Oto jak żyją leniwi bogacze. Ja siedzę za biurkiem od wpół do dziewiątej. - Musiał załatwić kilka telefonów do Europy, gdzie było o dziewięć godzin później, lecz myśl o Amandzie nie dawała mu spokoju i pod wpływem chwili postanowił do niej zadzwonić. I teraz, słysząc jej głos, nieoczekiwanie się zdenerwował. - Umówisz się ze mną na kolację? - spytał bez wstępów.

56

Otworzyła szeroko oczy, zastanawiając się, czy dobrze go usłyszała.

- Dzisiaj? - Nie miała nic w planie, na świąteczną kolację zaproszono ją na dzień jutrzejszy. - Ja... Nie zmęczysz się mną?

- To chyba niemożliwe, poza tym mamy dużo do nadrobienia, prawda?

- Dużo do nadrobienia? Co masz na myśli? - Wyciągnęła się na plecach, mając przed oczami jego twarz.

- Nasze życie, twoje i moje. To, co między nami, coś, co ciągnęło się sto dziesięć lat. Ponieważ może to trochę potrwać, uznałem, że powinniśmy wreszcie przystąpić do rzeczy, zwłaszcza że wczoraj zrobiliśmy niezły początek.

- A więc tak to robisz? - spytała z uśmiechem. - Tak stosujesz ten swój czar? Sto dziesięć lat... Jak tyś na to wpadł? No dobrze, skoro tak do tego podchodzisz, chyba musimy się jednak spotkać. Miałaś na myśli coś konkretnego?

- Może poszlibyśmy do „L'Orangerie”? Wpadnę po ciebie o wpół do ósmej.

- Cudownie, będę gotowa. - Ale odłożywszy słuchawkę, natychmiast wpadła w panikę. Usiadła na łóżku i długo patrzyła na sypialnię, którą dzieliła z mężem przez dwadzieścia sześć lat. Co ona wyprawia, na miłość boską? Odgrywa dziewczynę dnia Jacka Watsona? Dnia, a może nawet tylko godziny? Cóż to za głupota? Wstała i postanowiła odwołać kolację. Zadzwoiła, ale Gladdie poinformowała ją, że Jack wyszedł na spotkanie. Tak, mogła zostawić wiadomość, lecz uznała, że byłoby to niegrzeczne, więc zapewniła ją, że to nic ważnego.

Zresztą sam zatelefonował do niej koło południa.

- Czy coś się stało? - spytał zatroskany. - Dobrze się czujesz? - Jakby naprawdę go to obchodziło. Amanda zdenerwowała się jeszcze bardziej.

- Tak, dobrze... Po prostu... Och, Jack, sama nie wiem, czuję się tak głupio. Nie chcę być maskotką miesiąca.

57

Jestem mężatką, to znaczy byłam... Właściwie to wciąż się za mężatkę uważam i dlatego nie wiem, co ja, do diabła, z tobą wyczyniam, w jaką grę z tobą gram. Nie mogę się zmusić do zdjęcia obrączki ślubnej, a tu nagle co wieczór umawiam się z tobą na kolację i nie mam zielonego pojęcia, do czego to wszystko zmierza. - Umilkła wyczerpana.

On z kolei mówił spokojnie, choć spokojny bynajmniej nie był.

- Ani ja, Amando. Ale jeśli miałoby ci to polepszyć humor, kupię sobie obrączkę i przynajmniej w tej kwestii będziemy kwita. Ludzie pomyślą, że oboje zdradzamy naszych współmałżonków. Wiem jedno: od wielu lat z nikim nie czułem się tak dobrze jak z tobą. Nic więcej nie potrafię powiedzieć. Nagle stwierdziłem, że życie, jakie wiodłem od dwudziestu lat, przypomina kiepski żart z ostatniej strony okładki „Playboya”. Jestem tym zażenowany, chcę z tym skończyć i, niech mi Bóg dopomoże, pragnę stać się kimś, z kogo będziesz dumna, ponieważ mnie rozpira tak wielka duma z tego, że jestem z tobą, iż po prostu z trudem daję sobie z tym radę.

- Jack, nie jestem gotowa do nowego związku - odparła żałośnie. - Nie chcę się z nikim umawiać, od śmierci Matta minął dopiero rok. Nie wiem, co ja z tobą robię, ale... ale ja też uwielbiam nasze rozmowy i... i nie chcę z nich zrezygnować, chociaż może byłoby lepiej, gdybyśmy przestali się spotykać. Myślisz, że robimy coś złego? Że powinniśmy odwołać dzisiejszą kolację? - Była tak zmartwiona i smutna, że pragnął tylko objąć ją i mocno przytulić.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił łagodnie. - Nie zrobimy nic, czego byś nie chciała. Po prostu porozmawiamy o dzieciach i odpoczniemy. Przecież to do niczego nie zobowiązuje. - Dużo go to kosztowało, ale nie chciał jej przestraszyć, a tym bardziej stracić, zanim ją jeszcze na dobre zdobył. Nagle zaczęło mu na tym wszystkim bardzo zależeć. W tym samym momencie zaświtała mu inna myśl. - Posłuchaj, a może pójdziemy gdzieś, gdzie nikt nas nie

58

zna. - „L'Orangerie” należała do najlepszych restauracji w Los Angeles i nie uniknęliby tam spotkania ze znajomymi.

- Co byś powiedziała na jakieś małe bistro, może nawet pizzerię?

- Świetnie. I przepraszam, że robię z siebie taką kretynkę. Po prostu nie spodziewałam się, że zostaniemy przyjaciółmi czy... kimkolwiek jesteśmy - dokończyła z nerwowym śmiechem.

- Wpadnę po ciebie. Jeśli chcesz, możesz nałożyć dzinsy.

- Bomba.

Wzięła go za słowo i kiedy przyjechał, miała na sobie wypłowiałe, superobcisłe dzinsy podkreślające kształt jej fantastycznych nóg oraz różowy, obszerny i bardzo wygodny sweter z angory. Bardzo pragnął powiedzieć jej, że wspaniale wygląda, ale nie chciał jej wystraszyć. Pojechali do La Cienega i zatrzymali się przed małą restauracją, w której nigdy dotąd nie byli. Wchodząc do środka, rozmawiali z ożywieniem, lecz raptem Amanda chwyciła go kurczowo za ramię i odwróciła się z wyrazem przerażenia na twarzy.

- Co się dzieje? - Gdyby była mężatką, dałby głowę, że w rogu sali zobaczyła męża z inną kobietą, tymczasem widział tam tylko dwoje młodych ludzi przy stoliku. Amanda wypadła na dwór. Serce waliło jej jak młotem. - Kto to jest?

- Moja córka Louise z mężem.

- O Boże... Chyba nic się nie stało, czy nie wolno nam zjeść razem kolacji? Przecież oboje jesteśmy ubrani.

- Próbował obrócić wszystko w żart, lecz natychmiast stwierdził, że jeszcze trochę i Amanda stamtąd ucieknie, a nie chciał, żeby do tego doszło. Wrócili do samochodu, gdzie byli całkowicie bezpieczni.

- Ona by tego nie zrozumiała.

- Na miłość boską, przecież to dorosła kobieta. Czego się one spodziewają? Że do końca życia nie wyjdiesz z domu? Jako teść Jan jestem zupełnie nieszkodliwy. - Znowu przybrał minę niewiniątka, ale tym razem Amanda go wyśmiała.

- . ' ! ! : " ; ; ; " " " : . " • 59 • • ; ' " " " / • ' • ' • ! • • : " • • " : ; ; " " " " "

- Akurat. Doskonale wiesz, na co cię stać. Moje dzieci wiedzą, jaki z ciebie flirciarz.

>/ - Miło to słyszeć. Mam nadzieję, że Jan tak nie uważa... Choć ma po temu wszelkie podstawy. Od jakiegoś czasu rzeczywiście prowadzę się nie najlepiej. Ale zawsze mogę się poprawić. To by się nie liczyło?

- Nie. A już na pewno nie dzisiaj. Chyba powinnam wrócić do domu.

- Wiesz co? Pojedziemy do Johnny'ego Rocketa. - Uśmiechnęła się na tę propozycję. Do Johnny'ego przychodziły same nastolatki. Jadły hamburgery i piły mleczne koktajle, jak w latach pięćdziesiątych.

Ale kiedy tam przyjechali, kiedy usiedli w kącie sali i zjedli pikantne hot-dogi z frytkami, zapijając je mlecznym koktajlem, humor poprawił się jej na tyle, że nim zamówili kawę, już się z siebie naśmiewała.

- Czy wyglądałam jak kompletna idiotka, kiedy stamtąd uciekałam? - Przypominała nastolatkę, która popełniła wielką gafę i po prostu nie może uwierzyć, że mogła coś takiego zrobić.

- Nie. Wyglądałaś jak mężatka z kochankiem, która zobaczyła męża.

- I właśnie tak się czułam - wyznała z westchnieniem, podnosząc wzrok. - Jack, ja się do tego nie nadaję. Naprawdę. Myślę, że powinieneś wrócić do swoich statystek. Wierz mi, będzie ci z nimi lepiej niż ze mną.

- Pozwól, że to ja o tym zdecyduję. - I nagle spytał, jakie ma plany na święta.

- Jak co roku w Wigilię przychodzą do mnie dzieci, a w pierwszy dzień świąt wybieramy się do Louise. Dlaczego pytasz? A ty? Co zwykle robisz?

- Dużo śpiam... To znaczy normalnie śpię, chrapię, nie ma w tym niczego podejrzanego. Dla ludzi z mojej branży Boże Narodzenie jest prawdziwym koszmarem. W Wigilię zamykamy dopiero o północy, żeby obsłużyć klientów, głównie mężów, którzy znajdują czas na zakupy dopiero

60

o dziewiątej wieczorem. Rok w rok to samo. Jakby pogubili kalendarze i znaleźli je o szóstej wieczorem w Wigilię... O Chryste, przecież dziś jest Boże Narodzenie! Zwykle biorę ostatnią

zmianę, potem zamykam sklep, jadę do domu i śpię przez dwa dni. Mnie to odpowiada, ale zastanawiałem się, czy nie pojechałabyś ze mną na narty w pierwszy dzień świąt. No wiesz, oddzielne pokoje, i tak dalej. Jak para dobrych przyjaciół, nic więcej.

- Chyba nie powinnam. Co będzie, jeśli ktoś mnie tam zobaczy? Jeszcze nie minął rok...

- A kiedy minie? - Naprawdę nie pamiętał.

- Czwartego stycznia - odrzekła poważnie. - Poza tym kiepsko jeżdżę na nartach.

- To tylko luźna propozycja. Pomyślałem sobie, że zmiana otoczenia i trochę świeżego powietrza dobrze ci zrobi. Moglibyśmy pojechać do Lake Tahoe albo zatrzymać się w San Francisco.

- Może kiedyś - odrzekła enigmatycznie.

Kiwnął głową. Przeszarżował. Było jeszcze za wcześnie.

- W porządku. Może któregoś dnia wpadłabyś do sklepu? Będę tam cały tydzień, zapraszam cię na kawior.

Uśmiechnęła się lekko. Chociaż miał złą reputację i chociaż nie chciała się w nic angażować, bardzo go polubiła. Zdawało się, że doskonale rozumie jej odczucia. Był człowiekiem ciepłym i troskliwym, co zaskoczyło ją do tego stopnia, że na chwilę opuściła gardę. Robił wrażenie znacznie młodszego niż Matt, był pełen życia i taki szczęśliwy, że może z nią przebywać, iż wbrew sobie doszła do wniosku, że ona też uwielbia jego towarzystwo.

Rozmawiali o tym w drodze do domu. Wyznał, że bardzo się co do niej mylił, że odkrył to dopiero wówczas, kiedy lepiej ją poznał. Była kobietą wesołą, ciepłą, serdeczną i bezbronną. Wszystko, co mówiła i robiła, kazało mu ją chronić.

- Wytrzymasz to, jeśli na jakiś czas, kto wie, może już na zawsze, zostaniemy tylko przyjaciółmi? - spytała go otwarcie. -

61

Nie wiem, czy kiedykolwiek zechcę zaangażować się w stały związek. Po prostu nie jestem pewna, czy będę w stanie.

- Nikt cię nie prosi, żebyś podejmowała taką decyzję - odparł trzeźwo.

Uspokoila się, przestała mieć wyrzuty sumienia. Wszedł na chwilę, wypili w kuchni miętową herbatę, rozpalili pod kominkiem i długo rozmawiali o różnych ważnych sprawach.

Wyszedł o drugiej nad ranem, a ona nawet nie spostrzegła, kiedy upłynęła noc. Gdy byli razem, godziny mijały niezauważenie.

Cały następny dzień Jack spędził w sklepie, a Amanda robiła ostatnie przygotowania do świąt. Kiedy zadzwonił, ubierała choinkę.

- Co robisz? - spytał zmęczony. Harował od dwunastu godzin i leciał z nóg.

- Ubieram choinkę. - Miała smutny głos. Nastawiła płytę z kolędami, które przybiły ją jeszcze bardziej. Były to jej pierwsze święta bez Matta. Pierwsze święta, które spędzała jako wdowa.

- Chcesz, żebym do ciebie wpadł? Wychodzę za pół godziny, to po drodze. Bardzo chciałbym cię zobaczyć.

- Chyba nie powinniśmy... - odrzekła szczerze. Potrzebowała więcej czasu, wciąż opłakiwała Matta, a Boże Narodzenie to były takie rodzinne święta. Jacka ogarnęła rozpaczliwa samotność. Zastanawiał się, czy Amanda kiedykolwiek zdoła uwolnić się od Matta, czy kiedykolwiek zburzy otaczający ją mur i wpuści do środka innego mężczyznę. Tak, wpuściła go do przedsionka swojego serca, ale wciąż się bała, żeby je przed nim otworzyć.

Niewykluczone, że nigdy tego nie zrobi.

Wracając, powoli przejechał przed jej domem. Na choince za oknem migotały lampki.

Amandy nie było. Siedziała w sypialni i płakała, ponieważ nagle ogarnęło ją przerażenie, że zakochała się w Jacku, czego tak bardzo chciała uniknąć. Uważała, że to niesprawiedliwe wobec Matta, bo nade wszystko pragnęła dochować mu wierności. Po dwudziestu

62

sześciu latach małżeństwa winna mu była wierność, tymczasem nawiązała romans z pierwszym mężczyzną, jaki się trafił, cóż z tego, że czarującym? A jeśli okaże się, że dla Jacka jest po prostu kolejną kochanką? Znaczyłoby to, że sprzedała się za nic. Nie ulegało wątpliwości, że i ze względu na Matta, i ze względu na samą siebie nie może do tego dopuścić.

Jack zadzwonił do niej po powrocie do domu, ale nie podniosła słuchawki. Instynktownie wiedziała, że to on, lecz nie chciała z nim rozmawiać. Postanowiła to skończyć, zanim się jeszcze zaczęło.

Zgasiła światło i nie wyłączając płyty, położyła się do łóżka. W domu pobrzmiwały delikatne dźwięki „Cichej nocy”, a ona oplakiwała dwóch mężczyzn: tego, którego tak długo kochała, i tego, którego nie dane jej będzie poznać. Nie wiedziała, co bolało ją bardziej i którego z nich bardziej jej brakowało.

Rozdział piąty

W ciągu kilku następných dni Jack dzwonił do niej kilka razy. Wyczuwał, co się z nią dzieje, i wiedział, jak trudno jej przetrwać święta. Dori zginęła w listopadzie i pił nieprzerwanie przez cały świąteczny tydzień.

Zrobił mądrze, zostawiając Amandę sam na sam z myślami i odczuciami, ale w Wigilię rano wysłał jej przez posłańca podarek, mały osiemnastowieczny szkic anioła, który podziwiała w jego sklepie. Był bardzo piękny. Do szkicu dołączył krótki liścik, w którym wyrażał nadzieję, że anioł ten będzie stał przy niej i w Boże Narodzenie, i zawsze potem. Podpisał się tylko imieniem. Bardzo się wzruszyła, kiedy otworzyła przesyłkę, i już chwilę później do niego zadzwoniła. Głos miała chłodniejszy niż przedtem, za to o wiele spokojniejszy. Najwyraźniej powoli się z sobą godziła. I chociaż ucieszył się z jej telefonu, zachował dużą ostrożność, żeby nie wystraszyć jej zbędnym słowem. Zresztą był teraz niezwykle zajęty sprawami sklepu. Mieli małe problemy, drobną kradzież, prawie śmiertelny atak serca i całą armię zgubionych dzieci. Jak to przed świętami. Zawieruszyli gdzieś wyszywaną złotymi cekinami suknię słynnej gwiazdy filmowej, potem cudem ją odnaleźli, a w dziale kosmetycznym dwie znane aktorki pobiły się o mężczyznę. Okres ten zawsze obfitował w ekscytujące wydarzenia.

- Mam nadzieję, że będziesz dobrze bawiła się z dziećmi, chociaż wiem, jak ciężko ci bez Matta. Zwłaszcza dzisiaj.

64

- Zawsze kroił indyka - powiedziała ze smutkiem. Nagle wydała mu się mała i bezbronna, nagle zapragnął ją objąć.

- Niech Paul to zrobi - odrzekł łagodnie. - Nauczyłem go wszystkiego, co umiem. Mam na myśli indyka, nie kobiety. - Spytała go z uśmiechem, czy wie coś nowego o Paulu.

Powiedział, że w tygodniu między Wigilią i Nowym Rokiem syn wybiera się do specjalisty. - Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

- Ja też - odrzekła i nagle zapragnęła zaprosić go na świąteczną kolację, ale dzieci zastanawiałyby się, skąd się tu wziął, zresztą i tak nie mógł wyjść ze sklepu, więc jaki to miało sens? Nie, nie zamierzała angażować się w stały związek. Już podjęła decyzję i siedząc przy biurku w swoim gabinecie, Jack wyraźnie słyszał to w jej głosie. Tak, nie ulegało wątpliwości, że się od niego dystansuje. Przyszło mu do głowy, żeby zjeść z kimś wigilię, ale pierwszy raz w życiu zupełnie nie miał na to ochoty. Zarezerwował miejsce w Lake Tahoe i jechał tam zaraz po świętach. Sam.

- Wesółych świąt, Amando - powiedział i odłożywszy słuchawkę, długo siedział zadumany. Myślał o niej. Nigdy dotąd kogoś takiego nie spotkał.

A kręcąc się po sklepie i pomagając wszędzie tam, gdzie go potrzebowano, wyobrażał sobie, jak jedzą indyka. Wyobrażał sobie dzieci, choinkę, swojego syna, jej córki i nagle uświadomił sobie, jakim bezsensem było jego dotychczasowe życie. Przez ostatnie dziesięć lat uganiał się

za biuścikami i apetycznymi tyłeczkami w obcisłych dzinsach i co mu to dało? Nic. Absolutnie nic.

- Chyba nie bardzo się na te święta cieszysz, co? - spytała go Gladdie przed wyjściem ze sklepu; dał jej w prezencie piękną kaszmirową kurtkę i olbrzymią premię. - Coś nie tak?-'- Coś z dziećmi? - Martwiła się o niego, wiedziała, że ostatnio z nikim się nie widuje. Wiedziała też, że kilka razy dzwonił do teściowej Paula, i bała się, że Amanda zachorowała albo że młodzi mają jakieś kłopoty. Ale Jack milczał jak grób. i ,

65

- Nie, wszystko w porządku - zełgał. Z wyjątkiem tego, że spieprzyłem sobie życie: jedyna dziewczyna, którą kochałem, zginęła przed trzynastu laty, a najwspanialsza kobieta, jaką od tamtej pory spotkałem, chce iść do grobu za mężem. Betka, Gladdie, po prostu betka. Wesołych świąt. - Jestem zmęczony, i tyle. Boże Narodzenie to w naszej branży prawdziwa makabra.

- Co roku powtarzam sobie, że tego nie przeżyjemy, ale zawsze jakoś się nam udaje - odrzekła. Pod względem finansowym nie mieli lepszego roku.

- A ty? Co dzisiaj robisz? - spytał, gdy nakładała nową kurtkę. Była lawendowobłękita, mięciutka i bardzo się jej podobała.

- Śpię z mężem. Dosłownie. Od półtora miesiąca chodzę nieprzytomna i pewnie będę tak chodzić jeszcze przez tydzień.

- Powinnaś wziąć kilka dni wolnego. Należy ci się.

- Może kiedy wyjedziesz. - Wiedział, że tego nie zrobi. Gladdie nigdy nie brała urlopu. Była jedynym człowiekiem, jakiego znał, który harował bardziej niż on.

Jak co roku skończył pracę dobrze po północy i kiedy o pierwszej nad ranem zamykał sklep, towarzyszył mu tylko nocny stróż.

- Wesołych świąt, panie Watson.

- Dziękuję, Harry, wzajemnie. - Pomachał mu na do widzenia i wsiadł do ferrari. Ale kiedy przyjechał do domu, był zbyt zmęczony, żeby zasnąć. Obejrzał telewizję, a gdy chciał do kogoś zadzwonić, zegarek wskazywał już trzecią. I naraz z jakiegoś dziwnego powodu pomyślał, że dni rozpuszty bezpowrotnie minęły. Że nie skuszą go nawet najdłuższe nogi, największy biust i najładniejsza skóra. Po prostu przestało go to interesować.

- Boże, ja chyba umieram... - mruknął i roześmiał się w głos, idąc do łóżka. Może to tylko przez szósty krzyżyk, nie przez Amandę. Im starszy, tym głupszy. W jego przypadku prawidłowość potwierdzała się w stu procentach.

66

Spał do południa, a kiedy do niej zadzwonił, okazało się, że już wyszła. Była u córki, z rodziną, pewnie jedli następnego indyka. Pojechał do północnej dzielnicy Los Angeles, kupił trochę chińszczyzny na wynos, potem usiadł na nie pościelonym łóżku i jadł, oglądając jakiś mecz. Zadzwonił do kilku dziewczyn - chciał zaprosić którąś na kolację - ale żadnej nie zastał, co przyjął z wielką ulgą.

Wiedział, że Amanda będzie wieczorem w domu, mimo to nie zadzwonił. No bo co by jej powiedział? Spytałby, czy już przestała opłakiwać męża? Ciągłe ją zadręczał i nagle poczuł się jak ostatni dureń. Całą noc przewracał się z boku na bok i myślał o niej. Rano nie wytrzymał, po prostu nie mógł tego dłużej znieść. Po południu wyjeżdżał na narty, ale kiedy podniosła słuchawkę, spytał, czy mógłby wpaść na kawę.

Była zdziwiona, trochę zaniepokojona, mimo to wyraziła zgodę. Niewykluczone, że chciał porozmawiać z nią o Paulu albo o Jan, choć nie sądziła, żeby dzwonił akurat w tym celu. A kiedy, otworzywszy drzwi, zobaczyła jego twarz, od razu domyśliła się, że jego wizyta nie ma niczego wspólnego z dziećmi.

- Jesteś zmęczony - skonstatowała zatroskana.

- Owszem. Nie mogę spać, szósty krzyżyk mnie dobija -zdiagnozował z krzywym uśmiechem. - Chyba tracę zdrowy rozsądek.
- Jak to? - Zaprowadziła go do swojej wygodnej kuchni. Kawa już czekała. Podała mu filiżankę i usiadła. Spojrzał na nią i nie owijając niczego w bawełnę, wypalił:
- Naprzykrzałem ci się, prawda? Wygląda na to, że kobiecie nie zawsze wypadają najlepiej. Poniosło mnie, przepraszam. Czulaś się przy mnie niezręcznie, ale wierz mi, bynajmniej tego nie chciałem. - Był naprawdę straszliwie przybity, ale nie wyglądał na sześćdziesiąt lat. Wyglądał i czuł się jak nastolatek w odwiedzinach u szkolnej koleżanki, która nie chce z nim chodzić. - Wiem, jak ci teraz ciężko, przepraszam, że jeszcze ci dokładałem zmartwień.
- Nieprawda, Jack - odrzekła łagodnie, patrząc mu w oczy. Robiła wrażenie równie nieszczęśliwej jak on, ale chociaż

1

•

67

była wewnętrznie rozdarta, nie miała pojęcia, jak temu zaradzić. - Nie powinnam tego mówić, ale bardzo mi ciebie brakuje.

Zdołał zachować kamienny wyraz twarzy, lecz serce omal nie wyskoczyło mu z piersi.

- Naprawdę? Od kiedy?

- Od kilku dni. Chciałam z tobą porozmawiać, chciałam cię zobaczyć... Bóg mi świadkiem, że nie wiem, co robię.

- Ani ja. Czuję się jak ostatni głupiec, jak największy natręt w historii świata. Próbowałem zostawić cię samą, bo myślałem, że tego chcesz.

- I chciałam. - Powiedziała to jednak z dziwną nutką w głosie.

- A teraz? - Czekał ze wstrzymanym oddechem.

- Sama nie wiem. - Znowu spojrzała mu w oczy koloru kamei. Pragnęła ją pocałować, choć wiedział, że nie może.

- Nie spiesz się. Nie musisz podejmować żadnych decyzji. Powoli. Jestem tu. Nigdzie nie wyjeżdżam... - I nagle o czymś sobie przypomniał. - Tylko do Lake Tahoe - dodał z uśmiechem.

- Teraz? - spytała z uśmiechem; naprawdę lubiła jego towarzystwo.

- Nie, później. Muszę jeszcze wpaść do domu i spakować kombinezon. Powinienem był zrobić to wczoraj, ale leciałem z nóg.

Po chwili rozmowy znowu poczuła się przy nim swobodnie, znowu się z niego śmiała. Opowiedział jej o incydencie w sklepie, kiedy to dwie aktorki pobiły się o wspólnego kochanka.

- Wyobrażasz sobie, co by z tym zrobili ci z bulwarówek? Gdyby tylko cokolwiek zwąchali, obie oskarżyłyby nas o zniesławienie. Szczerze mówiąc, w pełni na to zasługiwały. - Nie zdradził ich nazwisk i z góry zapowiedział, że tego nie zrobi. W sprawach zawodowych był zadziwiająco dyskretny. - No więc co zaplanowałaś na weekend? - Nie ponowił zaproszenia do Lake Tahoe, wiedział, że jeszcze nie pora.

68

- Niewiele. Może spotkam się z dziećmi, jeśli nie będą zbyt zajęte. Może pójde do kina... A ty? Jedziesz z kimś czy sam? - Ciągle próbowała wmówić sobie, że są tylko przyjaciółmi, że gdyby jechał z kobietą, wcale by ją to nie zabolalo, jednocześnie doskonale wiedziała, że ból byłby nie do zniesienia.

- Nie, sam. Samemu lepiej mi się jeździ. - Zmęczony udawaniem, wziął ją za rękę. - Będzie mi ciebie brakowało. - Amanda milczała, lecz gdy tylko spojrzała mu w oczy... Stopiłby się przy niej nawet w azbestowym kombinezonie. - Co robisz na sylwestra? - rzucił obojętnie. Roześmiała się.

- To samo, co zwykle. Matthew nie cierpiał sylwestra. Kładliśmy się spać o dziesiątej wieczorem, a następnego ranka życzyliśmy sobie szczęśliwego Nowego Roku.
- Porywające - rzekł z uśmiechem.
- A ty? - spytała ciekawie.
- W tym roku spędzę go mniej więcej tak samo jak ty. Nie wiem, może zostanę w Lake Tahoe. - Spojrzał na nią i nagle poczuł się głupio. - Chociaż... moglibyśmy to sobie trochę urozmaicić. Moglibyśmy zostać tutaj, razem. Wyłącznie jako przyjaciele, rzecz jasna. Chodzilibyśmy do kina, oglądalibyśmy telewizję. Już nie muszę harować w sklepie, a przecież nie ma takiego prawa, które mówi, że nie możemy być przyjaciółmi, prawda?
- A twoje narty?
- I tak mam koślawe nogi. Mój ortopeda na pewno by ci podziękował.
- No, a... No wiesz, a potem? To mnie najbardziej przeraża. - Dziwne, ale wobec Jacka zawsze mogła zdobyć się na całkowitą szczerość.
- Nie musimy się o to martwić. Co to kogo może obchodzić? Na urlopie mamy prawo być sami. Niby komu mielibyśmy coś udowadniać? Mnie? Tobie? Naszym dzieciom? Matto-wi? Minał już cały rok, spłaciłaś swój dług. Mamy prawo do odrobiny radości i do przyjaźni. Jakie kłopoty mogą wyniknąć z pójścia do kina? - Zabrzmiało to bardzo przekonująco.

69

- Z tobą? Pewnie większe, niż mogę to sobie wyobrazić.
- Usiądę w ostatnim rzędzie, nawet do ciebie nie podejść.
- Zwariowałaś. - Pokręciła głową. Powiedz: nie, nakazywała sobie w duchu, wyrzucić go stąd. Ale był taki ujmujący...
- Wczoraj doszedłem do tego samego wniosku. Szczerze mówiąc, trochę mnie to zaniepokoiło. Parsknęła śmiechem.
- Mnie też. Wszystko mnie w tobie niepokoi. Gdybym miała odrobinę zdrowego rozsądku, powiedziałabym ci, że nie chcę cię oglądać do chrztu pierwszego dziecka Jana i Paula.
- To by trochę potrwało, co najmniej dziewięć miesięcy. Za długo, żeby wyrzec się kina. No więc? Co ty na to?
- Jedź na narty, Jack, i baw się dobrze. Jeśli znajdziesz chwilę czasu, zadzwoń do mnie po powrocie.
- O.K. - Był na tyle stary i mądry, by wiedzieć, kiedy są szansę na wygraną. Choć myśl o opuszczeniu Amandy go dobijała, podniósł się, żałując, że nie zdołał jej przekonać. - Szczęśliwego Nowego Roku! - Pocałował ją w czubek głowy i wyszedł z kuchni. Był już w drzwiach, już je otwierał, gdy usłyszał, że Amanda coś mówi. Odwrócił się i zobaczył ją w progu kuchni. - Co powiedziałaś? - Patrzyła na niego w taki sposób, że wmurowało go w podłogę. Była wystraszona, ale silna i ani na chwilę nie spuszczała z niego oczu.
- Powiedziałam, że w Beverly Center grają film, który chciałabym zobaczyć. Zaczyna się o czwartej, jeśli chciałbyś się ze mną wybrać...
- Naprawdę? - Jego szept zawibrował w chłodnym przedpokoju.
- Chyba tak... Bardzo bym tego chciała, ale... jeszcze nie wiem na pewno.
- Wpadnę po ciebie o wpół do czwartej. Nałóż dzinsy. Kolację zjemy u Tajów. Dobrze? - Gdy skinęła głową, jego oczy roziskrzył powolny uśmiech. I nie mówiąc już ani słowa więcej - żeby nie zmieniła zdania - szybko wyszedł, wrócił do domu i odwołał rezerwację w Tahoe.

Rozdział szósty

Nastało pięć czarodziejskich dni. Zdawało się, że zawiśli w próżni niczym przestrzeń zakrzywiona w czasie. Chodzili do kina, spacerowali w parku, rozmawiali o wszystkim, co tylko przyszło im do głowy, a czasami po prostu siedzieli razem bez słowa. Ani ona, ani on nie odczuwali żadnego przymusu. I żadnego przymusu sobie nie narzucali.

Jack dzwonił do sklepu, ale tam nie był, zresztą na miejscu czuwała Gladdie; oczywiście nie wzięła wolnego. Ale pierwszy raz od wielu, wielu lat całkowicie stracił zainteresowanie

pracą. Pragnął tylko jednego: być z Amanda. Nie składali sobie żadnych deklaracji, nie było żadnych pytań, odpowiedzi ani obietnic. Spędzali razem czas, nic więcej. Tego właśnie oboje potrzebowali i chcieli.

Amanda czuła, że z każdym dniem jej rany coraz bardziej się zabliżniają, Jack zaś - że znowu staje się człowiekiem, jakim był z Dori, tyle że lepszym, bo starszym i mądrzejszym. Przez ostatnie trzynaście lat zmarnował mnóstwo czasu. Patrzył na tamto życie jak na życie kogoś obcego i nagle przestało ono mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie.

Amanda czasami mówiła o mężu i raz się przy tej okazji popłakała, ale podchodziła do wspomnień coraz spokojniej. Powoli godziła się z myślą, że on umarł, a ona żyje i nie chce czuć się z tego powodu winna. Nie mówiąc ani słowa Jackowi, któregoś dnia zdjęła ślubną obrączkę i włożyła ją

71

do szkatułki na biżuterię. W chwili gdy obrączka zsunęła się z palca, omal nie pękło jej serce. Popłakała się, lecz uznała, że nie ma prawa jej dłużej nosić. Jackowi o tym nie wspomniała, ale zauważył to natychmiast podczas kolacji, a wiedząc, jak ciężko musiała to przeżyć, dyplomatycznie rzecz przemilczał.

Zajadali się smakołykami w restauracjach w całym mieście, gdzie nikt ich nie znał, obejrzeni kilka beznadziejnych filmów, a potem serdecznie się z nich naśmiewali. Na noc wracał do siebie, ale przed odjazdem długo stali w drzwiach jej domu, rozmawiając i mówiąc sobie dobranoc. Ale przyciągnął ją do siebie i pocałował dopiero w przeddzień sylwestra, kiedy przygotowywała kolację. Pragnął to zrobić od dawna i nagle przeraził się, że znowu ją odstraszy, lecz kiedy podniosła wzrok, kiedy powoli się do niego uśmiechnęła, z ulgą stwierdził, że o żadnym strachu nie może być mowy. Nie stracił jej. Nie zamienili na ten temat ani słowa, ale jeszcze tego samego wieczoru, kiedy siedzieli przed kominkiem, trzymając się za ręce, pocałował ją znowu. Czuła się przy nim tak bezpiecznie...

Wyszedł o północy i jak tylko przyjechał do domu, natychmiast do niej zadzwonił.

- Czuję się jak nastolatek, Amando.

- A ja jak nastolatka - odrzekła z uśmiechem. - Dziękuję, że jesteś taki delikatny i taktowny. To był wspaniały tydzień. Tego właśnie potrzebowałam. Chciałam spędzić z tobą trochę czasu. To prawdziwy dar... lepszy niż święta.

Kiedy siedzieli w saloniku, kilka razy zadzwonił telefon. Oboje domyślali się, że to pewnie dzieci, lecz Amanda nie podniosła słuchawki. Te chwile należały wyłącznie do nich, do niej i do niego. Dzieciom poświęciła wystarczająco dużo czasu, podobnie Mattowi, i teraz nadeszła kolej na nią. Po raz pierwszy od wielu lat miała drugie życie, życie, o którym nie wiedział absolutnie nikt, łącznie z najbliższą rodziną. Zdawała sobie sprawę, że taka odmiana dobrze jej zrobi.

Już wcześniej postanowili, że nazajutrz pójdą na lodowisko i znowu do kina, choć zdążyli obejrzeć chyba wszystkie

72

filmy w mieście, a w sylwestra zamierzali przyrządzić kolację, wypić szampana i doczekać razem Nowego Roku.

- Przykro mi, że w końcu nie pojechałeś na narty - powiedziała szczerze przez telefon.

Roześmiał się głośno.

- A mnie nie. To jest o niebo lepsze. Nigdy w życiu nie robiłem niczego romantyczniejszego i za Boga nie zamieniłbym tego na towarzystwo bandy waśniaków.

Życzył jej dobrej nocy, żalując, że nie może jej pocałować, a już nazajutrz śmiali się jak dzieci, jeżdżąc na łyżwach. Bawili się wspaniale. W sylwestra Amanda upiekła kaczkę, a na deser podała suflet. Kolacja była przepyszna.

O dziesiątej siedzieli już przed kominkiem. Całował ją, a ona namiętnie oddawała pocałunki.

Nalał szampana i wypili go szybciej, niż planowali. Musujący trunek, ciepło bijące od ognia -

jego pocałunki nabrały mocy, coraz bardziej uderzały do głowy. Nie miała pojęcia, która była godzina, gdy głębokim, zmysłowym głosem powiedział, że ją kocha, i poprosił, żeby poszła z nim do łóżka. Nie odpowiedziała, tylko przywarła do niego jeszcze mocniej i skinęła głową. Pragnęła go bardziej niż czegokolwiek na świecie, a on po raz pierwszy nie pomyślał, czy nie będzie tego później żałowała. Za bardzo jej pożądał. I wszedł za nią do sypialni, a to, co tam odkrył, napełniło go podziwem, ciało bowiem miała niczym młoda dziewczyna, tyle że o wiele piękniejsze. Była wysoka i smukła, piersi miała pełniejsze i jędrniejsze, niż się spodziewał. Nie mógł się nią nacieszyć, a kiedy w nią wchodził, szepnęła, że go kocha, i z trudem łapiąc oddech, zaczęła się z nim powoli kołysać. Przeżywała coś, o czym nawet nie marzyła, czego nie doświadczyła ani z mężem, ani z dwoma kochankami, jakich miała przed nim. Jak na młodą hollywoodzką aktorkę lat sześćdziesiątych była zaskakująco cnotliwa, ale teraz przeszłość ich nie obchodziła. Łączyła ich jedynie namiętność i terażniejszość, a kiedy osiągnęli spełnienie, poczuła się tak, jakby w jej głowie eksplodował cały wszechświat, i jej zaspokojone ciało znieruchomiło pod

73

jego ciałem. Uwielbiała odgłosy, jakie wydawał, sposób, w jaki jej dotykał, uwielbiała czuć go w sobie. Od tej chwili całkowicie należała do niego i wkrótce potem, na długo przed północą, zasnęła wtulona w jego ramiona. Nie było smutku. Nie było najmniejszych wyrzutów sumienia. Nie było żadnych obrachunków. Do rana.

Obudziła się w jego ramionach, gdy z uśmiechem na ustach pieścił jej piersi. Do sypialni, którą przez tyle lat dzieliła z mężem, wpadały promienie słońca. Długo leżała nieruchomo, potem zerknęła na Jacka, nie wiedząc: śmiać się czy płakać, czy kochać się z nim, czy robić to wszystko naraz. Powoli wyślizgnęła się z łóżka, przecięła pokój, odwróciła się i spojrzała na niego niczym młoda łania w pełnej krasie.

- Dobrze się czujesz? - Patrzył na nią podniecony, choć nagle zaniepokojony. Odniósł wrażenie, że coś się w niej zmieniło.

- Nie wiem - odrzekła cicho. Wciąż naga, usiadła na krześle i przyglądając się Jackowi, próbowała dociec, czy zwariowała, czy jest tylko bardzo szczęśliwa. - Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłam.

On też nie mógł, ale nigdy w życiu nie był szczęśliwszy i nie chciał z niej teraz rezygnować. Wiedział już, kim i jaka jest, i gorąco jej pragnął. Poza tym powiedziała, że go kocha.

- Tylko mi nie mów, że cię upiłem. To by mnie dobiło.

- Nie, nie upiłeś mnie. - Zerknęła na niego nerwowo spod kremowych powiek. - Ale czy... byłam pijana? - spytała przestraszona.

- Jakim cudem? Wypiłeś tylko dwa kieliszki...

- To przez ten ogień... I przez twoje pocałunki... I...

- Nie, nie, nie rób tego, Amando, przestań się zadręczać.

- Podszedł do niej i uklęknął przy krześle, a ciało miał naprawdę wspaniałe, tak samo jak ona.

- Kochałam się z tobą w łóżku, które dzieliłam z mężem.

- Jej oczy nagle wypełniły się łzami, ale on patrzył na nią, niczego nie żałując. - Nie mogę w to uwierzyć. Mój Boże,

74

Jack, co ze mnie za kobieta? Przez dwadzieścia sześć lat byłam jego żoną i kochałam się z tobą w jego łóżku. - Wstała i zaczęła nerwowo krążyć po sypialni. Z trudem opanował złość.

- Nie rób z tego zbrodni. Ty kochałeś się ze mną, ja kochałam się z tobą. Kocham cię, Amando. Na miłość boską, jesteśmy dorosłymi ludźmi. Ty żyjesz, Chryste, przecież ty żyjesz! A ja nie byłem tak pełen życia od dwudziestu, trzydziestu lat, może nawet nigdy dotąd!

Zadzwoił telefon. Amanda nawet nie drgnęła. Nie obchodziło ją, kto dzwoni. Mogła myśleć tylko o tym, że zdradziła męża.

- To jest jego łóżko. Nasze łóżko. - Chodziła, zalewając się łzami. Jack obserwował ją, ale bał się jej dotknąć. Wreszcie nie wytrzymał.

- No to kup sobie nowe! - wybuchnął. - Na rany Chrystusa, przecież to jest twoje łóżko. Następnym razem zrobimy to na podłodze... albo u mnie.

- Trzeba by egzorcysty, żeby oczyścić je z grzechu! - wychlipała. Parsknął śmiechem.

- Skarbie, uspokój się, proszę. To tylko szok. Po pierwszym razie. Doskonale to rozumiem. Na miłość boską, nigdy w życiu nie było mi tak dobrze jak z tobą. Kochamy się, dopiero co spędziliśmy razem weekend, szalejemy za sobą. O co ci chodzi? Przecież obejrzeliliśmy już wszystkie filmy w mieście. Czego jeszcze chcesz? Dwuletniego narzeczeństwa?

- Może. On nie żyje dopiero od roku, od niecałego roku... - Znowu usiadła, płacząc jak dziecko, a on śmiał tylko podać jej chusteczkę.

- Rocznicą mijają trzy dni. Zaczekamy. I zapomnimy, że cokolwiek się stało.

- Dobrze. Znowu będziemy tylko przyjaciółmi. Będziemy chodzić do kina i zapomnimy o łóżku. Na zawsze. - Za wszelką cenę próbowała wmówić sobie, że od tej pory

75

wszystko będzie po staremu, ale on nie chciał o tym słyszeć. Za bardzo ją pokochał, by stracić choćby jej cząstkę, zwłaszcza zaś cząstki, które odkrył poprzedniego wieczoru w sypialni.

- Nie dajmy się zwariować, dobrze? Napijemy się kawy, weźmiemy prysznic, pójdziemy na miły, długi spacer i od razu poczujesz się lepiej.

- Jestem zwykłą dziwką, Jack. Tak samo jak te wszystkie dziewczyny, z którymi sypiasz. - Zadzwoił telefon, ale nie zwrócili na to uwagi.

- Nie jesteś żadną dziwką. I nie sypiam z nikim oprócz ciebie. Rozumiesz? Odkąd przyszedłeś do mnie na przyjęcie, nie spojrzałem na żadną inną kobietę. Przez ciebie. Zrujnowałaś mi życie i nie pozwolę, żebyś teraz zrujnowała coś, co nas łączy. Kochamy się, mamy do tego prawo. Dotarło?

- Nie mam prawa sypiać z nikim w łóżku mojego męża. - Była roztrzęsiona, a on coraz bardziej zirytowany. Mimo to podszedł do niej, wziął ją mocno za rękę i pociągnął do góry.

- Chodź, napijemy się kawy.

Nie ubrali się, niczym się nawet nie okryli. Nie odczuwała przy nim najmniejszego skrepowania, jakby byli razem od zawsze.

Stojąc nago w kuchni, podał jej filiżankę. Nie dodała śmietanki. Napar spłynął do żołądka niczym gorąca lava i kiedy usiedli przy stole, poczuła się trochę lepiej. Było im ciepło.

Siedzieli bez ubrania i sączyli kawę.

- Chcesz gazetę? - spytała trzeźwo i nagle uznała, że popada w kompletną schizofrenię. To czuła się przy nim zupełnie swobodnie, to katowała się wyrzutami sumienia.

Kiwnął głową. <•., , e - Tak, chętnie. •*, '!< ; ' - Zaraz przyniosę. ;

Z filiżanką w ręku wyszła do przedpokoju, otworzyła frontowe drzwi i nachyliła się po gazetę. Drzwi były osłonięte i wiedziała, że nikt z ulicy jej nie zobaczy. Ale gdy tylko się

76

schyliła, przed dom zajechał samochód, a w nim... W samochodzie siedzieli Jan i Paul, wybałuszając na nią oczy. Amanda chwyciła gazetę, zatrzasnęła drzwi i rozlewając po drodze kawę, wpadła do kuchni. Jack osłupiał.

- Musisz wyjść! - Patrzyła na niego przerażona.

- Teraz?!

- Tak, teraz. O, do diabła... Nie, nie możesz, są przed domem. Uciekaj tylnymi drzwiami, przez pralnię! - Wskazała za siebie ręką i zaczęła gorączkowo go ponaglać.

- Mam wyjść, jak stoję, czy dasz mi chwilę, żebym mógł coś na siebie włożyć?

W tym samym momencie zadzwonił dzwonek do drzwi. Amanda podskoczyła jak oparzona.

- Boże, to oni! O mój Boże... Jack, co my teraz zrobimy? - Znowu się rozpląkała, natomiast on nie mógł powstrzymać śmiechu.

- Co za oni? Kto? Święty Mikołaj? Jezus Maria, jest Nowy Rok, nie zwracaj na niego uwagi.
- To nasze dzieci, kretynie! Widziały mnie, kiedy wyszłam po gazetę.
- Które dzieci?
- Chryste, a ile ich mamy! To Jan i Paul. Patrzyli na mnie jak na wariatkę!
- I słusznie. Mam ich wypuścić?
- Nie, uciekaj... Albo nie, schowaj się w sypialni.
- Spokojnie, kochanie. Po prostu powiedz im, że jesteś zajęta, przyjadą później.
- Dobrze. - Szybko ukrył się w sypialni, tymczasem Amanda podeszła do drzwi, drżącymi rękami założyła łańcuch i uchyliła je na kilka centymetrów, żeby porozmawiać z córką. - O, cześć! - Uśmiechnęła się promiennie. - Szczęśliwego Nowego Roku!
- Mamo, dobrze się czujesz?
- Nie, właściwie to... nie. Tak, znakomicie. Ale jestem zajęta. I boli mnie głowa. Wczoraj wypłam dwa kieliszki szampana i chyba... chyba jestem uczulona na tę markę.

77

- Mamo, dlaczego stałaś w progu nago? Mogli cię zobaczyć sąsiedzi.
- Nikt mnie nie widział.
- My cię widzieliśmy.
- Przepraszam. Dziękuję, że do mnie zajrzałaś, kochanie. Moglibyście przyjechać troszkę później? Na przykład... wieczorem. Albo jutro. Tak, najlepiej jutro. - Trajkotała niczym karabin maszynowy.
- Nie możemy wejść teraz? - Jan była poważnie zaniepokojona, lecz Paul nie nalegał. Najwyraźniej przyjechali nie w porę. Próbowali się do niej dodzwonić, ale nie podnosiła słuchawki. Myślał nawet, że jej nie zastaną.
- Nie, nie możecie, ponieważ... boli mnie głowa. Właśnie spałam i...
- Nie spałaś, wyszłaś po gazetę. Mamo, co się z tobą dzieje?
- Nic. Kocham cię. Następnym razem zadzwonicie, zanim przyjedziecie. Wymaga tego zwykła grzeczność, skarbie, nieładnie jest wpadać bez... Mimo to cieszę się, że was widzę, porozmawiamy później. - Pomachała im na do widzenia i szybko zatrzasnęła drzwi. Zaskoczeni, długo stali na schodach, potem wyszli na ulicę. Dopiero kiedy wsiedli do samochodu, Jan spojrzała na męża z wyraźnym niepokojem w oczach.
- Myślisz, że zaczęła pić?
- Co ty pleciesz? Po prostu nie chciała o tej porze nikogo widzieć, ma do tego prawo. Tam do kata! Może nawet ma romans i ukrywa u siebie jakiegoś faceta. Jest jeszcze młoda, twój ojciec od roku nie żyje... - Wyglądało na to, że myśl ta wyjątkowo go rozbawiła. Wścicka Jan spiorunowała go wzrokiem.
- Oszalałaś? Moja matka?! Naprawdę myślisz, że mogłaby to zrobić? Nie bądź śmieszny. To, że twój ojciec nigdy nie wychodzi z łóżka - i to w jego wieku! - wcale nie znaczy, że mama mogłaby zachowywać się tak samo. To obrzydliwe, Paul.
- Na tym świecie dzieją się rzeczy o wiele dziwniejsze...
Podczas gdy oni jechali przez Bel Air, Amanda stała już w sypialni. Jack właśnie puścił prysznic i uśmiechnął się do niej, gdy zamknąwszy drzwi, oparła się o ścianę niczym przestępca uciekający przed funkcjonariuszami Interpolu na obczyźnie.
- No i co im powiedziałaś? Nie zapomniałaś pozdrowić ich od tatusia? - Jej reakcja niezmiernie go rozbawiła.
- W życiu nie zdarzyło mi się nic bardziej żenującego. Dzieci nigdy mi tego nie wybaczą.
- Czego? Tego, że ich nie wypuściłaś? Powinni byli najpierw zadzwonić.
- Dzwonili, nie podnosiliśmy słuchawki.
- No to po co przyjeżdżali? Dostali nauczkę. Chcesz wziąć prysznic?
- Nie, chcę umrzeć. - Rzuciła się na łóżko, a on przysiadł koło niej, pieszcząc ją czułym spojrzeniem.

- Okrutnie się zdręczasz, wiesz?

- Bo na to zasługuję - odrzekła ze łzami w oczach. - Jestem potworem i któregoś dnia dzieci się o tym dowiedzą. - Nagle poderwała głowę i spojrzała na niego ogarnięta paniką. - Chyba nie zamierzasz powiedzieć o tym Paulowi? O mój Boże, Paul powie Jan, Jan powie Louise...

- I zanim się spostrzeżesz, pisać będą o nas wszystkie gazety w mieście. Skarbie, zawsze rozmawiam z synem o kobietach, z którymi sypiam, nie możesz mi tego odebrać. Gotów jeszcze pomyśleć, że już mi nie...

- O mój Boże! Zabij mnie, Jack, zabij. - Przekręciła się na brzuch i ukryła twarz w poduszce. Uśmiechnął się i zaczął całować ją w plecy, pocałunek po pocałunku, od karku poczynając, na pośladkach kończąc. Potem masował je chwilę, a wówczas powoli odwróciła się do niego z oczyma, w których czaiło się wspomnienie minionej nocy, co wywarło na nim efekt nader imponujący i natychmiastowy. Bez słowa wyciągnęła do niego ramiona, a on nachylił się i pocałował ją w usta, pragnąc jej bardziej niż kiedykolwiek dotąd.

78

:!

*••»»

79

- Kocham cię, ty wariatko... - To był naprawdę niesamowity ranek.

- I ja cię kocham - szepnęła chrapliwie, pociągając go na siebie, lecz tym razem spojrzał na nią pytająco.

- Chwileczkę. Zanim znowu rozpoczniemy ten młyn, chciałabyś może zmienić pokój, zejść z łóżka czy... Co byś powiedziała na kozetkę albo na wannę? - Cały czas łagodnie pieścił jej piersi, a teraz zaczął sunąć dłońmi w dół.

- Wszystko jedno, tu jest dobrze... - Uśmiechnęła się do niego, a on cicho zachichotał.

- Teraz, ale co będzie potem? - szepnęła.

- Potem będziesz musiał kochać się ze mną jeszcze raz, żeby mnie uspokoić. Myślę, że ma to na mnie bardzo kojący wpływ... powiedziałabym nawet, że terapeutyczny... - Nachyliła się, zaczęła muskać go ustami, aż cicho jęknął. - Kocham cię, Jack - szepnęła, by łagodnie kontynuować pieszczotę.

- Ja też cię kocham, dziecino...

A potem górę wzięła namiętność i szaleństwo poranka natychmiast poszło w niepamięć.

Rozdział siódmy

Reszta noworocznego weekendu upłynęła spokojnie. Jan zadzwoniła tylko raz, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku; Amanda zapewniła ją, że jak najbardziej. Z kolei Amanda zadzwoniła do Louise, a Jack do Julie i do Jan i Paula, żeby życzyć im szczęśliwego Nowego Roku.

Nowy Rok spędzili u Amandy. Po południu znowu się kochali, a na noc wyjechali do Malibu. Od wielu lat miał tam mały, wygodny dom pełen ukochanych, szacownie zużytych przedmiotów, głębokich skórzanych foteli, stołów zawalonych książkami i pięknymi dzieł sztuki. Ku swemu zdziwieniu od razu poczuła się tam jak u siebie.

Następnego dnia spacerowali brzegiem oceanu, trzymając się za ręce i rozmawiając o dzieciach. Ciągle martwiła się o Jan i miała nadzieję, że córka zajdzie w ciążę.

- Jeśli nie zajdzie, to ją dobije - zreasumowała ze smutkiem. Dzieci dużo dla niej znaczyły i łatwo mogła wyobrazić sobie, jak traumatycznym przeżyciem byłaby dla Jan niemożność poczęcia.

- A ty? - spytał cicho Jack w drodze powrotnej.

- Co ja? - Nie rozumiała, o co mu chodzi.

- Nie chcę, żebyś zaszła w ciążę - wyjaśnił szczerze. - Zakładam, że to wciąż możliwe.

Miała pięćdziesiąt lat, stała u progu przekwitania, mimo to wyglądała tak młodo i pięknie, że nie przypuszczał, by

w jej organizmie doszło do nieodwracalnych zmian. Zresztą i tak zachowywali należąca ostrożność, poza tym nigdy nie zapominał o ryzyku AIDS, zwłaszcza biorąc pod uwagę swobodny styl swego dotychczasowego życia. Jednak dość długo nie utrzymywał z nikim intymnych stosunków, głównie ze względu na okoliczności oraz na przedświąteczny nawał pracy w sklepie. A odkąd spotkał Amandę, stracił zainteresowanie innymi kobietami. Ale za kilka dni miał otrzymać wyniki ostatniego testu na AIDS, a wówczas chciał zrezygnować ze stosowania prezerwatyw.

- Nigdy o tym nie myślałam - odrzekła, podnosząc na niego wzrok. Była wierna mężowi przez dwadzieścia siedem lat, wliczając w to rok, jaki upłynął od jego śmierci. - Nie sądzę, żeby w moim wieku stanowiło to jakiś problem. - Poroniła, gdy Jan była jeszcze w przedszkolu, i od tamtej pory, a więc od ponad dwudziestu lat, ani razu nie zaszła w ciążę. Wciąż pamiętała, jak bardzo była rozczarowana, jak bardzo to przeżywała. Ale myśl, że mogłaby począć w wieku pięćdziesięciu lat, wydawała się niedorzeczna i otwarcie mu to powiedziała.

- Nawet w połowie nie tak niedorzeczna jak to, co bym wtedy zrobił: uciekłbym do Brazylii albo zaciągnąłbym się jako majtek na statek handlowy. - Ona się roześmiała, on nie. Przerabiał to nie raz i nie dwa razy, pamiętał kobiety, które twierdziły, że zrobił im dziecko, albo dzwoniły z wiadomością, że okres się spóźnia, które zapomniały wziąć pigułkę. Wiecznie ten sam kłopot.

- Cóż, musisz wziąć na wstrzymanie - odrzekła wesoło. - Wkrótce nie będzie o czym mówić. - Tak, myślała o zmianie, która ją czekała, ale jak dotąd nie stwierdziła u siebie najmniejszych symptomów, które by to zapowiadały. Lekarz twierdził, że mogą wystąpić za rok, dwa, może nawet za kilka lat. I w przeciwieństwie do Jan nigdy nie miała problemów z zachodzeniem w ciążę.

- Nie mogę się już doczekać. - Uśmiechnął się, dzielając jej zdanie. Nawet jeśli wciąż mogła zajść w ciążę, w wieku pięćdziesięciu lat było to raczej mało prawdopodobne.

Tego wieczoru to on przygotował kolację. Potem siedzieli przed kominkiem, patrząc na kulę księżycą wiszącą nad oceanem. Tu było jej łatwiej, tu nie musiała myśleć o mężu. Wydawało się, że nagle rozpoczęła zupełnie nowe życie: życie z Jackiem Watsonem. Zdumiewało ją, że po tym straszliwym roku, kiedy myślała, że jej życie legło w gruzach, raptem się odrodziła, odmłodziła i odżyła, jakby byli dla siebie przeznaczeni. Zastanawiała się, czy dobrze robi, wstępując na tę drogę, wiedziała jednak, że jeśli nawet błędzi, nie może już zawrócić. Chciała tylko jednego: być z nim.

Kiedy wrócił do pracy, poczuli się jak osieroceni. Ona nie wiedziała, co z sobą począć, on dzwonił do niej sześć razy dziennie, wpadał to na lunch, to na krótką pogawędkę, żeby po prostu z nią pobyć. A kiedy był w sklepie, wymyślała dziesiątki powodów, żeby do niego zadzwonić.

- Czy ja ci się nie naprzykrzam? - spytała pewnego dnia. Dzwoniła drugi raz w ciągu godziny, nie wspominając już o tym, że wyszedł od niej ledwie trzydzieści minut przed pierwszym telefonem. Tego wieczoru wybierali się do Tajów, do swojej ulubionej restauracji. Była to idealna kryjówka, wiedzieli, że nie spotkają tam nikogo znajomego. Amanda wciąż obawiała się wpaść na któreś z dzieci. Postanowili, że tymczasem ich romans pozostanie tajemnicą.

- Wprost przeciwnie, uwielbiam z tobą rozmawiać - odrzekł z uśmiechem, kładąc nogi na biurko w chwili, gdy do gabinetu weszła Gladdie z filiżanką kawy. Podziękował jej i nagle wpadł na pewien pomysł. - Posłuchaj, a może byśmy tak polecili na weekend do San Francisco? Chcę tam otworzyć sklep, a na Post Street jest miejsce, które warto obejrzeć.

- Chętnie.

Odłożywszy słuchawkę, wezwał Gladdie. Weszła do gabinetu z notatnikiem w rękę i z zatroskanym wyrazem twarzy.

- Coś się stało? - W ostatnim półroczu wstrzymano im na odprawie celnej aż sześć transportów.

83

- Pewnie nie powinnam pytać, ale czy z dziećmi wszystko w porządku?

- Oczywiście. Dlaczego? - Był zdziwiony. Może wiedziała o czymś, o czym on nie wiedział?

- Zauważyłam, że często dzwoni do ciebie pani Kingston. Pomyślałam sobie, że...

Zastanawiałam się, czy Jan i Paul... - Urwała, zbyt skrępowana, żeby dokończyć. Fakt, Jan i Paul byli małżeństwem od trzech lat, a życie w Los Angeles płynęło bardzo szybko. Może mieli kłopoty i Amanda rozmawiała na ten temat z Jackiem?

- Nie, dzieci mają się całkiem dobrze - odrzekł z tajemniczym uśmiechem na ustach.

Spotkali się wzrokiem i nagle coś ją tknęło. Od świąt nikt inny do niego nie dzwonił. W każdym razie nikt ważny, a nawet kiedy dzwoniły „dziewczyny”, kazał jej mówić, że jest zajęty. Chwilę to trwało, ale bystra Gladdie wreszcie pojęła, w czym rzecz.

- Rozumiem - powiedziała z nagłym rozbawieniem. Amanda... Nieźle. Całkiem nieźle. Ale nigdy nie pomyślałaby, że... Życie było doprawdy prześmieszne.

- To dobrze, ale zachowaj to dla siebie, Glad. Nie chcemy, żeby dzieciaki się dowiedziały. W każdym razie jeszcze nie teraz.

- To coś poważnego? - Pracowała dla niego tak długo, tak bardzo się z nim zżyła, że miała odwagę zadawać mu pytania, jakich nikt inny zadać mu nie śmiał. Miała też dostęp do wielu poufnych informacji.

Zawahał się na ułamek sekundy.

- Może. - I nagle postanowił być z nią szczerzy. Szalał za Amanda, nie czuł się tak z żadną inną kobietą od czasów Dori, ale Gladdie Dori nie znała. Odkąd zaczęła pracować w „Julie”, poznała tylko kolekcję pięknych laleczek, które przewijały się przez jego życie. - Tak, to coś poważnego.

Znowu spotkali się wzrokiem. Nigdy dotąd nie wyglądał tak młodo, nigdy dotąd nie robił wrażenia szczęśliwszego.

84

- Ohoho! Jestem pod wrażeniem. Dzieci będą zadowolone, ^prawda?

- Tak myślę, w przeciwieństwie do Amandy. Chcemy trochę odczekać, zanim im powiemy. - Poprosił ją, żeby zarezerwowała prezydencki apartament w „Fairmont” i umówiła go z pośrednikiem handlu nieruchomościami w sprawie działki na Post Street.

Polecieli do San Francisco w piątek po południu i zwiedzając bajeczny apartament z niezapomnianym widokiem, Amanda czuła się jak podczas miodowego miesiąca. Pierwszego wieczoru kolację zjedli we „Fleur de Lys”, drugiego w hotelu. A w sobotę pojechali obejrzeć miejsce na przyszły sklep i wbrew sobie Jack strasznie się tym podekscytował. Mimo stu tysięcy nieuniknionych kłopotów związanych z założeniem nowej placówki pomysł otwarcia filii w San Francisco coraz bardziej go fascynował. Wyznał to Amandzie.

- Ja chyba oszalałem. W moim wieku powinienem unikać dodatkowych problemów. - Jednak ostatnio, odkąd spotykał się z Amanda, odmłodził o trzydzieści lat. I nie mógł przestać mówić o pomysłach, jakie zamierzał wykorzystać w nowym sklepie, o jego architekturze, o wystroju wnętrza, o subtelnej różnicy w asortymencie towarów, jakie chciał tam sprzedawać. Znowu czuł się jak młodzik, poza tym zawsze miał słabość do San Francisco.

Chętnie spędziłby tam trochę czasu, zwłaszcza w towarzystwie Amandy. Rozmawiali o tym w drodze powrotnej z Union Square. Ulica wiodła stromo w górę i kiedy dotarli do hotelu na szczycie wzgórza, byli zmęczeni, lecz rozradowani. Jack miał wyśmienity humor, ona też, zwłaszcza że natychmiast poszli do łóżka i nie wychodzili z niego do południa.

Wracła do Los Angeles z wielką niechęcią. Spędzili razem cudowny weekend, a już w poniedziałek jadła lunch z córkami w „Bistro”. Louise kwitła, za to Jan była bardzo przybita i Amanda martwiła się, że lekarz nie miał dla niej dobrych wiadomości. Ale nim zdążyła o cokolwiek spytać, zasypały ją komplementami z powodu jej wyglądu.

- Cudownie wyglądasz, mamó - skonstatowała z ulgą Jan. Od Nowego Roku bardzo się o nią martwiła. Może matka była po prostu w złej formie, choć trudno zaprzeczyć, że zachowywała się wtedy bardzo dziwnie.

- Dziękuję, kochanie, ty też. - Córka patrzyła na nią z takim smutkiem, że Amanda zdecydowała się spytać o to dopiero w połowie lunchu.

- No cóż, Paul poszedł w końcu do lekarza... - odrzekła Jan po chwili milczenia. Oczywiście miała pełne łez.

Amanda dotknęła jej ręki, nawet Louise robiła wrażenie zaniepokojonej stanem siostry.

- No i co? - ponaglała. - Jest bezpłodny?

- Nie - westchnęła Jan, ocierając łzę. - Nic mu nie jest. Ani mnie. Nie mają pojęcia, dlaczego nie mogę zajść w ciążę. Powiedzieli tylko tyle, że może to dłużej potrwać, ale równie dobrze... Powiedzieli, że miewają z tym kłopoty nawet najzdrowsi ludzie. Nikt nie wie, dlaczego. Myślę, że dzieci po prostu nie są nam pisane. - Znowu się rozszlochała i Amanda sięgnęła do torebki po chusteczki. Jan wydmuchała nos i ciężko westchnęła. - Tak więc niewykluczone, że nic z tego nie będzie - kontynuowała. - Ponownie spytałam Paula, co sądzi o adopcji, i powiedział, że woli już raczej nie mieć dzieci. Chce dziecka związanego biologicznie z rodziną, żadnego innego, co wyklucza jakąkolwiek adopcję. - Była zdruzgotana.

Amandzie omal serce nie pękło.

- Skarbie, Paul może zmienić zdanie. A ty zajdziesz w ciążę, zobaczysz. Jestem pewna, że zajdziesz. Bywa, że trwa to bardzo długo. Ale potem urodzisz czworo berbeci z rzędu i jeszcze będziesz miała ich dosyć.

Obie próbowały ją pocieszyć, ale było oczywiste, że im nie wierzy.

Kiedy tego samego wieczoru Amanda opowiedziała o tym Jackowi, bardzo młodym współczuł.

- Biedne dzieciaki. Chryste, jak pomyślę, ile razy mu dogryzałem... Pewnie miał ochotę mnie zamordować.

86

- Nie wiem, czy jest tym równie zdenerwowany jak ona - odrzekła w zadumie Amanda, poważnie martwiąc się o córkę. Była taka przygnębiona, taka zrozpaczona.

- Może jeśli zapomną o tym na jakiś czas, po prostu zrobią to dziecko, i tyle.

- To samo jej powiedziałam. Ale sądzę, że w tej sytuacji trudno jest myśleć o czymś innym.

Mam przyjaciół, którzy przez to przeszli.

Potem rozmawiali o innych sprawach. Zawsze mieli sobie do powiedzenia tysiące rzeczy.

Jack opowiadał jej o sklepie, pytał o zdanie na temat asortymentu towarów, jakie chciał kupić, zwłaszcza tych luksusowych. Amanda miała świetny gust i dobre oko i zdążyła już zaproponować kilka pożytecznych rozwiązań. Teraz interesował go zwłaszcza nowy sklep w San Francisco. Zdawał sobie sprawę, że otworzy go najwcześniej za rok, ale chciał ruszyć sprawę z miejsca.

Lubiła odwiedzać go na Rodeo Drive, a ilekroć tam wpadała, Gladdie była pod jej wrażeniem. Nie ulegało wątpliwości, że Amanda jest uderzająco piękna, ale była też bardzo ludzka i czasami z sobą gawędziły. Gladdie, jedyna powiernica, z radością strzegła ich wielkiej tajemnicy.

Miesiąc minął jak z bicza strzelił. Ostatni weekend stycznia spędzili w Palm Springs, a w lutym zabrał ją na narty do Aspen. Bawili się fantastycznie i przypadkowo spotkali tam kilkoro znajomych, którzy ich rozpoznali. Widok Jacka i Amandy wywarł na nich olbrzymie

wrażenie i ku wielkiemu zmartwieniu kochanków w miejscowej gazecie pojawiła się wzmianka na ich temat.

- Mam nadzieję, że żaden z nich nie zadzwoni do Los Angeles. Dzieci nie powinny dowiedzieć się o nas z prasy.

- Może któregoś dnia po powrocie powiemy im sami. - Od prawie dwóch miesięcy byli nierozłączni, ale starannie unikali spotkań towarzyskich, które komentowała prasa. Lecz kiedy znowu umówiły się na lunch, Jan była tak załamana, że Amanda nie miała serca mówić jej o swoim romansie. Uznała, że chwalenie się swoim szczęściem byłoby

87

w tej sytuacji przejawem egoizmu. Jan uśmiechnęła się i roześmiała tylko raz: mówiąc o Jacku.

- Paul uważa, że ojciec ma nową przyjaciółkę. Tym razem to chyba coś poważnego, bo Jack naprawdę się ustatkował. Ponoć bardzo odmłodził i chodzi uśmiechnięty niczym kocur z „Alicji w krainie czarów”. Ale nic na jej temat nie mówi, milczy jak grób. Pewnie podłapał jakąś dziewiętnastoletnią siksę. Ale to nieważne. Grunt, że jest z nią bardzo szczęśliwy i unika kłopotów.

- Znajac Jacka, pewnie poderwał pięcioraczki - mruknęła pogardliwie Louise.

- Dziewczęta, przecież... przecież ten biedak ma prawo do własnego życia - zaprotestowała nerwowo Amanda.

- Odkąd to jesteś dla niego taka dobrotliwa? - spytała Louise i na szczęście zmieniła temat rozmowy. Amanda czuła się tak, jakby połknęła nakrochmaloną serwetkę. Patrzyła na córki, zastanawiając się, czy kiedykolwiek będzie w stanie im o wszystkim powiedzieć.

Jack tylko się roześmiał.

- Zachowujesz się tak, jakbyś oczekiwała, że zobaczą w tobie niepokalaną dziewicę.

- Gorzej. Widzą we mnie matkę. Wiesz, co to znaczy. Żadnego seksu, żadnych przyjaciół, żadnego swawolenia. Jeśli już, to tylko z ich ojcem.

- Są dorosłe, jakoś to zniosą.

- Może. - Ale wcale jej nie przekonał. Znała swoje córki.

Dużo czasu spędzali w Malibu. Było ciepło, plaża kusila boskim spokojem, poza tym Amanda uwielbiała przebywać z Jackiem w jego domu. Tam było jej łatwiej. Co rano przyrządzała mu śniadanie, potem jechał do pracy, a ona wracała do miasta.

Tydzień przed walentynkami, kiedy robiła dla niego jajecznicę, wszedł do kuchni i stwierdził, że Amanda wygląda niewyraźnie. Dziwne, rankiem zawsze była taka słoneczna.

- Coś się stało? - Idąc po kawę z gazetą w ręku, przystanął, żeby ją pocałować.

•M.

- Sama nie wiem... Nie, chyba nie. Ale nie czuję się najlepiej. - Poprzedniego dnia bolała ją głowa i miała lekkie mdłości. Ale ostatnio, gdy doszła do wniosku, że jej już nic nie grozi, uznała, że jej organizm zaczął przechodzić nieuchronne w tym wieku zmiany. Symptomy były bardzo nieznaczne, mimo to je zauważyła. - W zeszłym tygodniu odwiedziłam Louise. Jej dzieci mają grypę, pewnie się zaraziłam. - Zerknęła na niego przez ramię i posłała mu uśmiech. - Od tego się nie umiera, jakoś przeżyję.

- Mam nadzieję - odrzekł szczęśliwy i zrelaksowany, podając jej kubek kawy. Postawiła go na stole i skończyła robić jajecznicę z grzankami. Podsunęła mu dużą tacę z owocami, po czym usiadła, skubiąc kawałek suchej grzanki. Upiła łyk kawy i nagle ją zemdliło. Natychmiast to zauważył. - Co ci jest?

- N

- ic, nic, to tylko ten zapach... Kawa jest chyba zwietrzała, nie uważasz? Czuję to od jakiegoś czasu. Pokręcił głową i podniósł gazetę.

- Niedawno ją kupiłem, ten sam gatunek co zwykle. Myślałem, że ci smakuje. - Był rozczarowany. Lubił jej dogadzać.

- I to bardzo, ale... Nie wiem, pewnie straciłam smak. Zaraz mi wróci. - Ale kiedy pojechał do pracy, musiała się położyć, a wracając przed południem do domu, znowu poczuła mdłości. Jack zadzwonił i zaprosił ją na lunch, lecz odmówiła, woląc się przespać, gdyż znowu rozboleła ją głowa. Kiedy przyjechał po nią wieczorem, czuła się lepiej, a następnego dnia całkowicie odzyskała formę. Uznała, że był to tylko atak grypy. Promieniała szczęściem, a kawa znowu smakowała jak dawniej. Do walentynek, kiedy to podarował jej trzykilogramową bombonierkę z czekoladkami.

- Boże, jak to wszystko zjem, przytyję sto kilo!

- I dobrze, jesteś chuda jak szczapa. - Rano przysłał jej dwa tuziny długich czerwonych róż, a wieczorem zabrał ją na kolację do „L'Orangerie”, mając w nosie to, czy dzieci

89

zobaczą ich razem, czy nie. Otworzył bombonierkę. Amanda wybrała jedną ze swoich ulubionych czekoladek, włożyła ją do ust. i... nie mogła jej przełknąć. Po wyrazie jej twarzy poznał, że coś jest nie tak. - Znowu cię zemdliło? - spytał, unosząc brew.

Tydzień minął bez żadnych sensacji, ale tak samo jak poprzednio kawa, czekolada przyprawiały ją o silne mdłości.

- Nie, nie, ależ skąd! - I zmusiła się do połknięcia nieszczęsnej czekoladki. Ale kiedy w „L'Orangerie” zamówił kawior, znowu przybrała ten sam wyraz twarzy i chociaż zawsze za kawiozem przepadała, za nic w świecie nie mogła przełknąć ani jajeczka.

- Powinnaś pójść do lekarza - orzekł zaniepokojony Jack. Zwykle tryskała zdrowiem i to, że coś jej najwyraźniej dolegało, napawało go większym przerażeniem, niż śmiało to po sobie okazać.

- Dzieci Louise wymiotowały trzy tygodnie. Naprawdę, nic mi nie jest. - Mimo to pozieleniała na twarzy i prawie nie tknęła jedzenia.

Chociaż bardzo się o nią martwił, spędzili nader miły wieczór. Oboje byli w znakomitych nastrojach i postanowili przenocować u niej. Po przyjeździe do domu kochali się i nie pamiętała, żeby kiedykolwiek miała szczęśliwsze walen-tyunki.

Nazajutrz rano zgodziła się w końcu powiedzieć dzieciom.

- Dlaczego nie mielibyśmy podzielić się z nimi naszym szczęściem? - spytał w kuchni. To, co ich łączyło, było tak cudowne, że chciał, by o tym wiedziały.

- Może masz rację. Są wystarczająco dorośli, żeby to znieść.

- Oby! Jesteśmy dziadkami i jeśli z tym sobie nie poradzą, zasługują na tęgie lanie.

Po południu on zadzwonił do Julie, ona zaś do Louise i Jan. Zaprośili wszystkich na kolację u Amandy. Goście mieli zjeść i dowiedzieć się wszystkiego przy szampanie. Potem, jak zauważył Jack, będą przynajmniej mogli wyjść

90

z ukrycia i chodzić, dokąd tylko zechcą. Po prostu chcieli pokazać dzieciom, jak bardzo są razem szczęśliwi. Ani razu nie rozmawiali o małżeństwie, ponieważ Amanda doskonale wiedziała, że Jack byłby temu stanowczo przeciwny. Pierwsza żona skutecznie go z tego wyleczyła.

Umówili się na następny tydzień; termin ten wszystkim odpowiadał, co zakrawało na prawdziwy cud. Jack miał przynieść szampana, Amanda zaczęła planować menu. Było w tym coś wzruszającego, coś chwytającego za serce. Tego popołudnia nie mogła przestać myśleć o zmarłym mężu i o tym, jak bardzo zmieniło się jej życie. Kochała go tyle lat, lecz Matt odszedł, ona zaś została. Jej życie potoczyło się dalej. I choć trudno w to uwierzyć, zakochała się po uszy w Jacku Watsonie.

Przez cały tydzień gorączkowo przygotowywała się do kolacji, a gdy ten wielki dzień wreszcie nadszedł, była nerwowym wrakiem. Ale kiedy zjawił się Jack z szampanem i

winem, kiedy nakryła do stołu i doszła do wniosku, że chyba nic się nie przypali, odzyskała spokój.

- Z przykrością stwierdzam, że wcale nie wyglądasz na matkę. A już na pewno nie na matkę dzieci w ich wieku.

- Dziękuję, Jack. - Przytuliła się do niego i pocałowała go z uśmiechem, czując, jak bardzo jej pożąda. Roześmiała się, kiedy spojrzał na zegarek, a potem na nią. - Nie mamy czasu, ty potworze - dodała, kręcąc głową.

- Wiesz, to jest myśl. Spójrz na to inaczej. Gdybyś znowu otworzyła im nago, nie musielibyśmy nic im mówić.

- Później - obiecała, znowu go całując. Już sam dotyk jej ciała doprowadzał go do szaleństwa. Julie i Louise z mężami przyjechali punktualnie, Jan i Paul wkrótce potem. Wszyscy wyglądali ładnie i wszyscy chwalili ją za piękny wystrój domu; Amanda poustawiała wszędzie kwiaty, dzięki czemu atmosfera stała się bardzo uroczyście. Z tym że Jan i Louise były wyraźnie zaskoczone widokiem Jacka. Wyszedł z kuchni, otwierając butelkę wina, swobodnie powitał przybyłych, wycałował Jan i swoją

91

córkę. W tym momencie Julie wszystko zrozumiała. Od tygodnia zastanawiała się, dlaczego zaprosił ją na kolację do Amandy, bardzo ją to intrygowało. Teraz nietrudno było wydedukować - przynajmniej jej - co im chce powiedzieć. Interesowało ją tylko to, czy zamierzają się pobrać, ale postanowiła poczekać na dalszy rozwój wydarzeń.

Jan odnosiła się do niego chłodno, Louise była po prostu niegrzeczna i otwarcie go ignorowała. I wszyscy robili wrażenie zmartwionych - wszyscy z wyjątkiem Julie. Julie zawsze kierowała się zasadą: żyj i pozwól żyć innym, za co ludzie ją kochali. Była szczęśliwa w małżeństwie, miała dobre dzieci i przepadała za ojcem, choć prowadził się skandalicznie. Paul miał do niego stosunek o wiele bardziej krytyczny i Julie podejrzewała, że mu zazdrości. Paul był łagodniejszy, lękliwszy i choć przystojny, nie należał do mężczyzn wybitnie atrakcyjnych, jak jego ojciec. A kiedy usiadł w salonie Amandy, widać było, że jest zły i że wymienia z żoną podejrzliwe spojrzenia.

Rozmowa przy kolacji była wymuszona, choć jedzenie wszystkim smakowało; nie ulegało wątpliwości, że Amanda bardzo się postarała. Jack robił, co mógł, żeby ich rozruszać, ale równie dobrze mógłby próbować dźwignąć językiem fortepian. W końcu, przy deserze, rozlał szampana do kieliszków, rozejrzał się po salonie i oświadczył, że Amanda i on mają im coś do powiedzenia.

- O Boże, tylko nie to... - jęknęła głośno Louise.

- Może byś tak poczekała, aż to powiemy? - spytał grzecznie Jack, a ona spiorunowała go wzrokiem. Nigdy go nie lubiła. Amanda też nie i Louise chciałyby jej o tym przypomnieć.

Jack spojrzał na Jan i Louise, potem na syna i córkę. - Wasza matka i ja... Amanda i ja spotykamy się od jakiegoś czasu. Dobrze nam razem, jesteśmy z sobą bardzo szczęśliwi i chcemy, żebyście o tym wiedzieli. To wszystko, nie ma w tym żadnej tajemnicy, po prostu uznaliśmy, że powinniście wiedzieć, co nas łączy. - Uśmiechnął się do kobiety, która przez ostatnie dwa i pół miesiąca dała mu tyle

92

szczęścia. - Oboje jesteśmy pewni, że wszyscy życzyście nam dużo szczęścia.

- Skąd ta pewność? - odparowała zgryźliwie Louise. - To śmieszne. Ściągnęliście nas tu tylko po to, żeby nam to powiedzieć? Mamy pogratulować wam, że ze sobą sypiacie? To obrzydliwe.

Amanda była przybita i wstrząśnięta.

- Obrzydliwa jest twoja postawa, Louise - odrzekła stanowczo. - To wyjątkowo ordynarne słowa. - Spojrzała przepraszająco na Jacka i znowu przeniosła wzrok na córkę.

- Bo to jest wyjątkowo ordynarny postępek! - Louise nie ukrywała wściekłości. - Sprowadzasz nas tu, do domu mojego ojca, by oznajmić wszem wobec, że macie z sobą romans. Boże, czy ty nie masz za grosz przyzwoitości, mamó? A co z tatusiem?

- Co z tatusiem? - powtórzyła Amanda, patrząc jej prosto w oczy. - Bardzo kochałam waszego ojca i dobrze o tym wiesz. Ale tatuś odszedł, Louise. Był to dla nas wszystkich straszliwy cios, ale najbardziej odczułam go ja. Bywały takie chwile, kiedy myślałam, że już się po nim nie podźwignę, kiedy pragnęłam umrzeć, ponieważ nie chciałam żyć bez Matta. Ale nie, mam prawo żyć dalej, a Jack jest dla mnie cudowny. - Dotknęła jego ręki. - To dobry, porządny człowiek i jestem z nim bardzo szczęśliwa.

- A może opowiesz nam po prostu o swoim życiu seksualnym? I od kiedy to wszystko trwa? Zaczęliście z sobą kręcić przed śmiercią tatusia? Już wtedy z sobą sypialiście, tak?

- Louise! Jak śmiesz tak mówić? Wiesz, że to nieprawda. Zaczęliśmy się spotykać po zabranii mnie przez Jan na przyjęcie w „Julie”.

- O mój Boże... Nie mogę w to uwierzyć... - Jan spojrzała na matkę i rozplakała się. Naburmuszony Paul rzucał ojcu gniewne spojrzenia. Jerry, mąż Louise, gapił się w talerz, żałując, że musi tam siedzieć. To nie była jego sprawa.

- Może byśmy się tak uspokoili i zaczęli zachowywać jak

93

dorośli, co? - rzuciła trzeźwo Julie. Amanda poczuła do niej nagłą sympatię, choć prawie jej nie знаła.

- Dobry pomysł - wtrącił Jack, zanim przeciwnik zdołał zmobilizować siły do dalszego ataku.

- Napijmy się. - W martwej ciszy dolał wszystkim szampana, odwrócił się do Amandy i wznosił kieliszek do toastu. - Twoje zdrowie, kochanie. Dziękujemy za wspaniałą kolację. - Amanda miała w oczach łzy. Nikt nie tknął swojego kieliszka.

- No to kiedy się pobieracie? - Louise patrzyła na nich z wściekłością i nie ukrywaną odrazą.

- Nie zamierzamy się pobierać - odrzekł w imieniu ich obojga Jack. - Nie ma powodu. Jesteśmy starsi od was. Nie chcemy mieć dzieci. Znakomicie ułożymy sobie życie bez prawnych zobowiązań. - Julie tylko się uśmiechnęła. Dobrze go znała, wiedziała, że małżeństwo zawsze ojca odstręczało. - Jeśli martwicie się o pieniądze, zapewniam was, że nie straciecie przez to ani centa. - Bardzo się na nich zdenerwował, Amanda poznała to po jego głosie. - Nikt przez to nie straci. Wprost przeciwnie, bo zyskacie dwoje szczęśliwych rodziców. Kochamy was, chcieliśmy podzielić się z wami naszym szczęściem. Prosimy was tylko o zrozumienie i odrobinę tolerancji, to chyba niezbyt wiele. - Ich reakcja doprowadziła go do pasji.

- Jak mogłaś, mamó? - spytała Jan z policzkami mokrymi od łez. - Przecież ty go nienawidzisz! - Przeszyła Jacka morderczym spojrzeniem.

Jack roześmiał się i wziął Amandę za rękę.

- Nie sądzę, Jan. Pragniemy, żebyście byli z Paulem szczęśliwi, nieustannie o was rozmawiamy. Dlatego tak bardzo chcieliśmy wam o tym powiedzieć.

- Oboje jesteście żalosi i odrażający - zreasumowała Louise, wstając od stołu. - Chryste, myślałam, że ludzie w waszym wieku już się nie puszczaają, że potrafią nad tym zapanować. Ojciec nie żyje ledwie od roku, ale nasza chutliwa mamusia nie wytrzymała i poszła w tango.

- Louise! - Rozwścieczona Amanda zerwała się na równe

94

nogi. - Pamiętasz, jaka byłam przybita i jak się o mnie martwiliście?

- Bo nie wiedzieliśmy, co zrobisz, kiedy dojdiesz do siebie. No, cóż... - Spojrzała wymownie na męża, który natychmiast wstał. - To był cudowny wieczór. Mam nadzieję, że nasze króliczki będą z sobą bardzo szczęśliwe. - Z tymi słowami wymaszerowała z pokoju, chwytając po drodze kurtkę.

Kiedy huknęły frontowe drzwi, Jan znowu wybuchnęła płaczem, a Paul ją przytulił.

- Proszę cię, córeczko... - powiedziała Amanda ze zbolaną miną. Wieczór był straszny dla nich wszystkich, ale najbardziej dla niej i dla Jacka.

- Jak mogłaś, mamó? Po co nam to powiedzieliście? Nie widzisz, jakie to dla nas żenujące? My nie chcemy o tym wiedzieć.

- Niby dlaczego? - spytał bez skrępowania Jack. - Uważasz, że matka nie powinna dzielić się z wami swoim życiem? Nie chcecie, żeby była szczęśliwa? - Zabrzmiało to tak rozsądnie, że Jan spojrzała na niego i przestała płakać.

- Dlaczego nie może być szczęśliwa w samotności? Dlaczego nie wystarczy jej pamięć o ojcu?

- Dlatego, że jest kobietą młodą, piękną i pełną wigoru. Dlaczego miałaby zostać sama? Czy właśnie tak postąpiłabyś, gdyby coś przytrafiło się Paulowi?

- To co innego.

- Dlaczego? Tylko dlatego, że jesteś młodsza? Nawet ludzie w naszym wieku mają prawo do towarzystwa, szczęścia, miłości...

- Tu nie chodzi o miłość - przerwał mu ponuro Paul. - Dobrze cię znamy, tato.

- Może nie tak dobrze, jak myślisz, synu.

- Cieszę się, że jesteście szczęśliwi, tatusiu - powiedziała spokojnie Julie. Obeszła stół, by ucałować ich oboje.

Amanda podziękowała jej ze łzami w oczach. Tylko Julie zachowała się wobec nich bez zarzutu. Pozostali zareagowali koszmarnie.

95

- Przykro mi, że tak bardzo to przeżyliście - powiedziała cicho, ocierając oczy serwetką. Czowała, że lada chwila się rozszoła, a nie chciała dać im tej satysfakcji, choć dużo ją to kosztowało. - Nie chcieliśmy was zdenerwować. Uznaliśmy, że uczciwiej będzie otwarcie o wszystkim powiedzieć, nie chciałam was okłamywać. - Spojrzała na swoją córkę i w tym samym momencie Jan zdała sobie sprawę, że oburzająca sugestia, z jaką Paul wystąpił w Nowy Rok, wcale nie była taka bzdurna. Matka ukrywała w domu mężczyznę, ojca jej własnego męża! Przerażona zamknęła oczy.

- Mamy nadzieję, że z czasem wszyscy się z tym pogodzicie - dodał cicho Jack.

Paul szepnął coś do ucha Jan, po czym oboje wstali i nałożyli kurtki.

- Idziemy - rzuciła od drzwi Jan z miną rozeźlonego dziecka. Wyglądała dokładnie tak samo jak wtedy, gdy jako pięcioletnia dziewczynka dąsała się przed napadem złego humoru.

- Kocham cię - odrzekła smutno Amanda, zbyt przybita, żeby wstać albo próbować ją powstrzymać.

Kiedy cicho zamknęli za sobą drzwi, Julie i jej mąż podeszli do Jacka. Julie była piękną dziewczyną, bardzo podobną do ojca.

- Tak mi przykro, tatusiu. Byli straszni.

- Owszem, nie da się zaprzeczyć. - Zatroškany zerknął na Amandę. Przewidywała, że będzie ciężko, lecz ani ona, ani on nie spodziewali się takiej jatki.

- Przejdzie im. Myślę, iż najbardziej zaszokowało ich to, że ktoś inny zajął miejsce ich ojca. Poza tym - dodała z uśmiechem - trudno im uwierzyć, że rodzice też potrafią się bawić i... uprawiać seks. - Zaczerwieniła się lekko. - Wiesz, jak to jest. Rodzice to nie ludzie, to instytucja.

Jack uśmiechnął się do niej z dumą. Była wspaniałą dziewczyną, córki Amandy na swój sposób też, choć brakowało im tolerancji i wielkości ducha Julie.

96

- Chyba nie zdołali tego znieść. - Spojrzał na Amandę.

- Miałaś rację, nie powinniśmy byli im mówić.

- Cieszę się, że powiedzieliśmy - odrzekła, kompletnie go zaskakując. Wstała i dołączyła do nich. - Dobrze zrobiliśmy i jeśli nie potrafią z tym żyć czy nawet spróbować się z tym

pogodzić, to ich problem. Mamy prawo do czegoś więcej niż tylko do odgrywania roli rodziców. Martwi mnie jedynie coś, z czego zupełnie nie zdawałam sobie sprawy: że moje córki są takimi egoistkami. Nie zamierzam ich opuszczać i nie przestanę ich kochać, ale jeśli nie chcą mnie znać, trudno, ich strata.

- Zadrżał jej podbródek. Julie objęła ją i mocno przytuliła. Kilka minut później Julie i jej mąż wyszli. Amanda rozszlochała się żałośnie i Jack ją utulił. Wieczór był jednym wielkim rozczarowaniem.

- Tak mi przykro, kochanie. Mamy koszmarnie dzieci -szepnął z posępnym uśmiechem. Był zły, że ją uraziły.

- Twoje są w porządku, a przynajmniej Julie. To moje są straszne.

- Chcą swojego tatusia, uważają, że nie masz prawa do życia z kimś innym. To proste. Nie odebrałem tego osobiście. I dobrze to rozumiem. Ale nie powinni byli tak cię potraktować, to wstętnie. Cóż, jakoś to przeżyją.

- Może. - Nie była co do tego przekonana, lecz, co dziwne, niczego nie żałowała. Ten wieczór jeszcze bardziej ich do siebie zbliżył.

Posprzątała jadalnię, włożyła naczynia do zmywarki i pojechali do Malibu. Nie chciała przebywać w domu, gdzie spotkał ją taki afront ze strony dzieci. Pragnęła leć w wielkim, wygodnym łóżku Jacka, ułożyć się w jego ramionach i zapomnieć o wszystkim, co zaszło. Była smutna, gdy się kładli, ale przytulił ją i rozmawiali długo w noc. Bardzo by chciał jakoś to naprawić.

- Daj im trochę czasu, skarbie. Myślę, że nawet dla ludzi w ich wieku to wielka zmiana.

- Są szczęśliwi. Dlaczego odmawiają prawa do szczęścia mnie? . «r; •>,,: I<w toS*.p;i,:T. ;,; •

- Bo jesteś ich matką. Słyszałaś, co powiedziała Julie. Rodzice nie mają prawa uprawiać seksu, Boże uchojaj, a już na pewno nie ludzie w naszym wieku. To obrzydliwe.

- Mało wiedzą. Seks dojrzewa jak wino...

- Ciii... Niechaj to będzie nasza słodka tajemnica. - Pocałował ją namiętnie i poczuła, jak bardzo jest podniecony, jak bardzo jej pragnie. Pragnęła go równie mocno, więc kochali się łączywie i pospiesznie, a potem cichutko zachichotała w ciemności. - Co cię tak śmieszy? - Cieszył się, że odzyskała dobry humor.

- Przypomniał mi się ten noworoczny ranek, kiedy Jan zobaczyła mnie nagą przed drzwiami i kiedy nie chciałam jej wpuścić. Teraz już wszystko wie i pewnie wyrывa sobie włosy z głowy. Musiałam wyglądać bardzo głupio...

- Głupio? Uważam, że wyglądałaś wspaniale. - Jednak oboje wiedzieli, że ogarnięta paniką, zachowała się wtedy dość niemądrze.

- Może powinniśmy oddać dzieci do adopcji - szepnęła sennie, obracając się na bok.

Pocałował ją.

- Świetny pomysł. Zaprosimy je na kolację i uroczysto o tym zawiadomimy.

- Hmm... Tak, pyszny pomysł... Przyniesiesz szampana... - Usnęła w jego ramionach, a on patrzył na nią z czułym uśmiechem. Była doprawdy niesamowita, nie zrezygnowałby z niej za nic w świecie, bez względu na to, co powiedziałyby albo w jak wielką złość wpadłyby dzieci. Zamierzał walczyć o nią, jak walczy się o życie.

Rozdział ósmy

Luty minął w okamgnieniu i nastał marzec. Dzieci wciąż traktowały ją z chłodnym dystansem. Od czasu do czasu rozmawiała o tym z Jackiem. Jack wiedział, jak bardzo ją to dręczy, jednak wiedział też, że nic na to nie poradzą, że mogą tylko czekać, aż córki przywykną do nowej sytuacji. Jan prawie już do niej nie dzwoniła, Louise nie ukrywała wrogości. Reakcja Louise była szczególnie niezrozumiała, ponieważ jej stosunki z ojcem nigdy nie były dobre.

Choć dzięki nawałowi zajęć Amanda nie myślała o tym przez cały czas, nie ulegało wątpliwości, że nastawienie córek powoli zbiera swoje żniwo. Coraz częściej miała kłopoty z żołądkiem, coraz częściej cierpiała na niestrawność. Jack nalegał, żeby poszła do lekarza.

- Dręczy cię to nie od dziś, powinnaś się zbadać. Może masz wrzód.

- Tak, to niewykluczone. - Od tygodni nie mogła pić kawy, a od nieszczęsnej kolacji z dziećmi była bardzo wyczerpana, choć wiedziała, że powodem zmęczenia mogą być również silne emocje. To, że tak okropnie się wówczas zachowali, sprawiło jej wielką przykrość. Co jakiś czas nawiedzały ją też koszmarne sny o Matthew. Zawsze ją w tych snach o coś oskarżał i każdy psychiatra uznałby pewnie, że dręczy ją poczucie winy. Jednak nie było na tyle silne, żeby odmienić jej uczucia, gdyż kochała Jacka bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Ich romans kwitł. 6g

99

W marcu zaprosił ją na ceremonię wręczenia nagród Amerykańskiej Akademii Filmowej; tego roku odbywała się wcześniej niż zwykle. Bywał na nich regularnie - zapraszali go co ważniejsi klienci - natomiast Amanda nie uczestniczyła w nich od lat, od chwili, kiedy sama zdobyła Oscara, dlatego była niezmiernie podekscytowana. Zamówił dla niej suknię w „Julie”, fantastyczną kreację od Jeana Louisa Scherrera. Uszyta z białego atlasu, miała obsypane czarnymi paciorkami ramiona i krótki, elegancki tren. I kiedy przyjechał po Amandę tego wielkiego wieczoru, aż dech mu zaparło. Wyglądała jak królowa, jak wielka gwiazda filmowa, którą przecież kiedyś była. Jakby przy nim odżyła, jakby odzyskała z nawiązką to, co niegdyś straciła. W ciągu kilku ostatnich miesięcy złoty przepych jej urody pokryła patyna szczęścia.

- O Chryste... - Aż sapnął z podziwu. Kiedy zobaczył tę suknię pierwszy raz, nie wyglądała nawet w połowie tak pięknie jak teraz. Na Amandzie leżała wyśmienicie, podkreślając każdy centymetr kwadratowy jej wspaniałego ciała. Długie blond włosy upięła w spiralny kok, włożyła brylantowe kolczyki i brylantową bransoletkę. Wyglądała naprawdę cudownie. - Niesamowite - dodał i cicho zagwizdał. Skórę miała kremowobiałą i gładszą niż atlas. - Fotoreporterzy oszaleją.

- Wątpię - odrzekła skromnie. Wzięła go pod ramię i ruszyli do limuzyny. Jack niósł jej krótką kurtkę z norek.

Kiedy wysiedli z samochodu przed Shrine Auditorium, tłum zaczął wiwatować. Ludzie rozpoznali ją natychmiast, skandowali jej imię i, zgodnie z przewidywaniami Jacka, momentalnie otoczył ich mur fotoreporterów. Kiedy uśmiechnął się do niej i wziął ją za rękę, poczuł, że Amanda lekko drży. Matthew pozbawił ją tego na z górą dwadzieścia lat i nagle wróciła, nie wiedząc, jak zareagować. Emanowała elegancją i subtelnym wdziękiem, dzięki czemu była jeszcze powabniejsza.

- Dobrze się czujesz? - spytał zatroskany. Robiła wrażenie lekko zdenerwowanej, ale uśmiechnęła się do niego i kiwnęła głową.

100

Przebili się przez tłum dziennikarzy, przez tłum w holu i powoli dotarli do swoich miejsc w audytorium, by zasiąść pośród słynnych gwiazd i gwiazdorów, których wielbił i podziwiał nie tylko cały kraj, ale i świat. Kilkoro z nich pomachało im na powitanie. Jack uśmiechał się szeroko do swoich klientów. Był dumny i swobodny, czuł się tam jak w domu.

A potem rozpoczęła się ceremonia i jak zwykle trwała całe wieki. Kamery telewizyjne nie dawały im spokoju i zanim uroczystość dobiegła końca, oboje czuli się tak, jakby spędzili w sali cały rok. Oscar dla najlepszego aktora przypadł nowej twarzy roku, natomiast statuetkę dla najlepszej aktorki odebrała stara faworyta, która uniosła ją wysoko nad głowę i krzyknęła radośnie. Publiczność zgotowała jej owację na stojąco.

- Nareszcie! - podsumowała aktorka z promiennym uśmiechem na twarzy. Zdobyła Oscara po czterdziestu latach starań.

Amanda nie potrafiła powstrzymać naporu obrazów sprzed prawie trzydziestu lat. Wieczór taki sam jak ten był jednym z największych przeżyć, jakich kiedykolwiek dane jej było doświadczyć. Od tamtej pory minęły wieki i wspomnienia tamtych wydarzeń, choć ciepłe, zdawały się teraz mniej ważne.

- A ty? Jak to przeżywałaś? - spytał z uśmiechem, kiedy wychodzili z audytorium w gęstym tłumie. Było gorzej niż w nowojorskim metrze.

- Niesamowicie - odrzekła z uśmiechem. - Myślałam, że zwariuję z podniecenia. Nigdy nie przypuszczałam, że dostanę nominację, nie wspominając już o Oskarze. Miałam wtedy dwadzieścia dwa lata, to było fantastyczne. - Cieszyła się, że może wyznać, ile to dla niej wówczas znaczyło. Matthew nie lubił, kiedy o tym mówiła.

W dziesięć minut zrobili ledwie kilka kroków. Nieustannie ktoś do nich podchodził, żeby porozmawiać, wymienić opinie na temat nagrodzonych aktorów i filmów albo po prostu się

*••»

101

przywitać. Dodatkową komplikacją byli dziennikarze, którzy nagabując gwiazdy i gwiazdorów i przeprowadzając z nimi wywiady pośród tłumu, tworzyli potworne korki uniemożliwiające wyjście z sali.

- Myśli pani, że kiedykolwiek się stąd wydostaniemy? - spytał ją Jack Nicholson, kiedy się koło niego przeciskali. Uśmiechnięta Amanda pokręciła głową. Jak dotąd nie miała okazji poznać Nicholsona osobiście, ale zawsze go podziwiała.

- Znasz go? - spytał z zainteresowaniem Jack.

- Nie, ale podobają mi się jego filmy.

- Któregoś dnia powinniśmy wypożyczyć twoje. - Nigdy dotąd o tym nie pomyślał, tak niewiele mówiła o swojej karierze. Oduczył ją tego Matthew.

Roześmiała się.

- Chcesz mnie dobić? Czy może być coś gorszego niż oglądanie siebie sprzed trzydziestu lat? Nie mogłabym potem spojrzeć w lustro. Poza tym kiepska była ze mnie aktorka.

Jack tylko pokręcił głową na tę skromność.

Posunęli się o krok, by utknąć w gigantycznym korku. Zrobiło się jeszcze goręcej i jeszcze tłoczniej. Amanda miała wrażenie, że się zaraz roztopi, i nie mogła sobie wyobrazić, co przeżywa Jack w swoim wytwornym smokingu. Lecz mimo potwornego ścisku goście tryskali dobrym humorem, wszyscy śmiali się, żartowali, rozmawiali, machali przyjaciołom, do których nie mogli się dostać. Jednak w chwili, gdy sześć metrów dalej Jack dostrzegł jednego ze swoich ulubionych klientów, Amanda dostała silnego zawrotu głowy. Jack coś wykrzykiwał i pokazując na wyjście, wywraçał oczami, tymczasem jej zaczęło dzwonić w uszach, jednocześnie poczuła, że serce wali jej jak młotem. Ponieważ nadał na nią nie patrzył, pociągnęła go za rękaw i kiedy się wreszcie odwrócił, z przerażeniem stwierdził, że w ciągu kilku sekund śmiertelnie pobladła.

- Niedobrze się czuję - szepnęła. - Tak tu duszno... Przepraszam...

- Chcesz usiąść? - Nic dziwnego, że zasłała, jego też

102

w ^

rozboleła głowa. Raziło ich światło reflektorów, które ciągle ich śledziły, było gorąco nie do wytrzymania. Nie mogli już wrócić do swoich miejsc, musieliby chyba tam dolecieć. Jack uświadomił sobie, że utknęli między rzędami jak w potrzasku. Ponownie spojrzął na nią i... Jej twarz nie była już blada, była zielona, poza tym Amanda zaczęła nieprzytomnie mrugać, jakby miała kłopoty ze wzrokiem! Chwyił ją mocno za ramię i spróbował wyprowadzić z tłumu, ale sprawa była beznadziejna.

- Jack... - wyszeptała słabo.

Patrzył na nią - nagle zatrzepotała powiekami, wyróciła oczyma i zemdląła. Gdyby nie przytrzymał jej w ostatniej chwili, byłaby upadła. Tłum stojących w pobliżu zafalował, jakaś kobieta przeraźliwie pisnęła. Jack objął Amandę i mocno przytulił. Ktoś zaczął krzyczeć, ludzie napierali na nich, pytali, co się stało, a Jack umierał z niepokoju.

- Powietrza, zróbcie nam trochę miejsca, odsuńcie się!

- Wezwijcie lekarza! - wrzasnął stojący obok mężczyzna.

I nagle wszyscy zaczęli krzyczeć, zapanowała histeria. Amanda wciąż zwiśla bezwładnie przez ramię Jacka. Dźwignął ją, wziął na ręce i w chwili gdy złożyła mu głowę na piersi, jak spod ziemi wyrosło przy nich dwóch porządkowych z solami trzeźwiacymi i lodem. W tym samym momencie Amanda poruszyła się, otworzyła oczy i spojrzała na Jacka, nie mając pojęcia, co się z nią dzieje.

- Zemdląłeś, kochanie, to przez tę duchotę. Spokojnie, zaraz stąd wyjdziemy... - Niczym rozstępujące się morze tłum rozpękł się i rozstał, robiąc im przejście do rzędu foteli, gdzie Amanda mogła usiąść. Kilkanaście sekund później nadbiegli sanitariusze. Jack wyjaśnił im, co się stało.

- Jak się pani czuje? - spytał jeden z nich.

- Piekielnie głupio - odrzekła ze słabym uśmiechem, posyłając Jackowi żalosne spojrzenie. - Przepraszam, kochanie.

- Nie bądź niemądra - odrzekł głęboko zatroskany. Widział, że zawroty głowy nie ustąpiły. Chociaż nie mogła

*\ "....".'.' " 103 • :.. "" '... ' "

jeszcze wstać i o własnych siłach wyjść z audytorium, bardzo chciała spróbować.

a - Zaraz ściągniemy wózek - zaproponował porządkowy. ś Amanda zrobiła przerażoną minę.

- Nie, nie, nie trzeba, nic mi nie jest... Wyjdziemy, jak tłum się przeredzi.

Lecz porządkowi nalegali, chcieli wyprowadzić ich tylnym wyjściem. Sanitariusze oznajmili, że Amanda może iść, jeśli tylko czuje się na siłach, mimo to sugerowali, żeby rano poszła do lekarza, co Jack poparł z posępnym wyrazem twarzy. Powtarzał jej to od miesiąca, ale nie chciała go słuchać.

Objął Amandę silnym ramieniem i wraz z porządkowymi prawie przeniósł między rzędami. Chwilę później znaleźli się na dworze, gdzie poczuła się trochę lepiej. Wzięła głęboki oddech, wszystkim podziękowała za pomoc i przeprosiła za kłopot, jaki sprawiła. Na szczęście nikt tam na nich nie czekał i cieszyła się, że nie zauważyli ich fotoreporterzy. Jack zostawił ją pod opieką porządkowych, pobiegł po samochód, szybko wrócił i pomógł jej wsiąść. Nie minęło pięć minut, jak odjechali.

Siedziała wyczerpana na tylnym siedzeniu.

- Tak mi przykro - powtórzyła po raz setny. - Nie wiem, co mi się stało.

- Dlatego musisz pójść do lekarza.

- Nie, to tylko ta duchota, ten tłum. Nagle zabrakło mi tchu, nie mogłam oddychać - odrzekła, sącząc wodę mineralną z barku. - Na rozdaniu Oskarów ludzie zawsze mdleją. Przepraszam, że w tym roku wypadło na mnie.

- Żeby mi to było ostatni raz! - Nachylił się i pocałował ją. Choć wciąż była blada, wyglądała przepięknie. Mimo to poważnie się o nią martwił. - Śmiertelnie mnie przeraziłaś. Gdyby nie ten cholerny ścisk, upadłabyś na podłogę. Dobrze, że przynajmniej nie uderzyłaś się w głowę ani nie potłukłaś.

- Dziękuję, Jack. - Był taki troskliwy. Kiedy przyjechali do domu, zdjęła suknię, a wówczas położył ją do łóżka.

W tym wymyślnym uczesaniu i w makijażu, z brylantowymi kolczykami w uszach wyglądała jak nastolatka. - Wciąż nie mogę uwierzyć, że wykreśliłam taki numer - zachichotała.

- Numer? - strofował ją delikatnie. - Jeśli nawet, to dość dramatyczny - dodał z uśmiechem, poluzniając krawat. - Przynieść ci coś? Wody? Herbaty?

Zastanawiała się chwilę ze zmarszczonymi brwiami i nagle uśmiechnęła się szeroko. Była głodna jak wilk.

- A może... lody?

- Lody? - Jack osłupiał. - Widzę, że czujesz się znacznie lepiej, to już coś. Zobaczę, co mamy w lodówce. Jakie?

- Hmm... kawowe.

- Służę szanownej pani. - Zsalutował i dwie minuty później wrócił z dwiema miseczkami lodów. Przysiadł na łóżku i zaczęli jeść. - Może po prostu byłaś głodna - rzucił z nadzieją, choć wcale tak nie myślał. Od paru tygodni była bardzo blada, a on próbował tego nie zauważać. Przez kilka dni wyglądała wspaniale, ale ostatnio robiła wrażenie zmęczonej. Wiedział, że bardzo przeżywa reakcję dzieci, które konsekwentnie odmawiały uznania, nie mówiąc już o aprobachie, jej związku z Jackiem Watsonem.

Dlatego postanowił nazajutrz wziąć sprawę w swoje ręce. Jak tylko wstali, poprosił o numer telefonu jej lekarza i zadzwonił. Opowiedział pielęgniarce, co się stało, i zamówił wizytę dla Amandy Kingston.

- A pan jest...? - niedwuznacznie zawiesiła głos; pracowała tam od niedawna i nie znała Amandy.

- Nazywam się Watson. Jack Watson - odrzekł, zapisując godzinę wizyty.

- Czy jest pan mężem pani Kingston?

- Nie... przyjacielem. Będę jej towarzyszył.

- Świetnie. W takim razie do zobaczenia o jedenastej.

Mieli sporo czasu - lekarz przyjmował w Beverly Hills - więc podawszy jej filiżankę herbaty, postanowił pójść na samotny spacer plażą. Nie chciało jej się wstawać i słusznie

105

podejrzewał, że Amanda tylko udaje, że wcale nie czuje się tak dobrze, jak twierdzi. Jednak o nic nie pytał. I tak mieli pójść do lekarza i wszystkiego się dowiedzieć.

Ale kiedy szedł plażą, nie potrafił skupić myśli na czymkolwiek i wkrótce zaczął biec, jakby chciał uciec przed horrorem ścigających go obrazów. Wszystko było możliwe, mogła mieć guz mózgu... raka kości... coś mogło w niej rosnąć, rozwijać się i ukradkiem przerzucać na zdrowe tkanki. Do głowy przychodziły mu najczarniejsze myśli i kiedy w końcu przestał biec i usiadł, uświadomił sobie, że płacze. Znowu to samo. Znalazł kobietę jedną na milion, kobietę, którą tak mocno pokochał, i działo się z nią coś strasznego. Bał się, że Amanda umiera, że będzie jak z Dori, łkał przekonany, że ją straci, i nie mógł tego znieść. Ukrył twarz między kolanami, skulił się cały i płakał jak dziecko. Nie mógł nawet szukać u niej pocieszenia, bo nie chciał jej przestraszyć, ale bardziej niż wszystko inne przerażało go to, że Amanda być może powoli kona.

Siedział tam blisko godzinę, a kiedy wrócił, była już ubrana i wyglądała znacznie lepiej, co bynajmniej nie przyniosło mu ulgi. Wiedział, że pocieszyć go może tylko lekarz, jego diagnoza, że Amanda nie cierpi na żadną śmiertelną czy złośliwą chorobę. Po prostu nie mógł tego znieść. Mimo to powitał ją z wymuszoną wesołością i nakładając kurtkę, zerknął na zegarek. Chciał już wyjść, mogli utknąć w korku.

- Gotowa? - spytał nerwowo. Nie wiedział dlaczego, ale czuł się jak skazaniec wstępujący na gilotynę. Jakby życie miało się kompletnie odmienić, jakby już nigdy nie było mu dane wrócić do tego domu ani odzyskać dobry humor. Przygotowywał się na najgorsze, ponieważ ją kochał.

- Skarbie - powiedziała, zanim wyszli, patrząc na niego wzrokiem, który rozdzierał mu serce.
- Nic mi nie jest, naprawdę. Pewnie powiedzą mi, że mam wrzód, i tyle. Przeszłam przez to lata temu, kiedy dziewczynki były małe, a dzisiaj leczenie wrzodu to żadna sprawa. Wezmę kilka pigułek i zniknie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

106

- Powinnaś była zbadać się kilka miesięcy temu - odrzekł z wyrzutem, gdy podchodzili do jego ferrari.

- Nie miałam czasu - ucięła krótko. Uwielbiała z nim jeździć, ale tego ranka ostre zakręty i gwałtowne przyspieszenia przyprawiały ją o mdłości. Jednak nie śmiała mu o tym powiedzieć, dobrze wiedząc, że Jack oszalałby z niepokoju.

Lekarz przyjmował przy North Bedford numer 435. Kiedy przyjechali, poczekalnia pękała w szwach, tak że siedzieli tam w nieskończoność. On przeglądał czasopismo, ona siedziała z zamkniętymi oczyma i po prostu czekała. Od czasu do czasu zerkał na nią przerażony jej bladością i złym samopoczuciem, które rzucało się w oczy. Wiedział, że nic ją nie boli - musiał, po prostu musiał ją o to spytać - mimo to nadal czuła się kiepsko. Nie mogła już wcisnąć mu bajeczki o grypie, którą jakoby zaraziła się od dzieci Louise; mógł w to uwierzyć przed miesiącem, ale nie teraz. Nie, to było coś o wiele poważniejszego.

W końcu pielęgniarka wywołała jej nazwisko. Patrzył za Amanda, gdy szła do drzwi, i uśmiechnął się do niej dla dodania otuchy, gdy zerknęła na niego przez ramię. Ona też była zdenerwowana, lecz oboje próbowali robić dobrą minę do złej gry, z tym że niezbyt dobrze im to wychodziło.

Mimo to Amanda musiała przyznać, że ulżyło jej, gdy wreszcie usiadła przed biurkiem u lekarza. Był miłym człowiekiem, chodziła do niego od prawie dwudziestu lat i dobrze go znała. Ponieważ leczył także Matta, spytał, czy czuje się bardzo samotna. Krępowiała się mówić mu o Jacku, chociaż siedział w poczekalni, więc tylko kiwnęła głową i zaczęła opowiadać mu o swoich dolegliwościach. Opowiedziała o grypie sprzed miesiąca, o sporadycznych mdłościach, o tym, że nie może pić kawy i jeść czekolady - uważała, że są to jednoznaczne symptomy choroby wrzodowej.

Spytał, czy była ostatnio u ginekologa i czy robiła mam-mografię i wymaz. Przyznała, że nie. Miała zrobić jedno i drugie, ale Matt zmarł tak nagle, że nie miała do tego głowy.

107

- Nie powinna pani tego zaniedbywać - upominał. - W pani wieku oba te badania trzeba robić co najmniej raz w roku. a. Kiedy obiecała, że natychmiast się tym zajmie, spytał, czy zauważyła u siebie oznaki klimakterium, na co odrzekła, że od pewnego czasu ma takie wrażenie.

• Skończyła pięćdziesiąt jeden lat, zupełnie go to nie dziwiło. . - Gwałtowne uderzenia krwi do głowy?

- Nie, jeszcze nie. Ale często się męczę i mam nieregularny okres. - Na ciągłe zmęczenie narzekało wiele przyjaciółek, chociaż sama nigdy dotąd tego nie doświadczyła. Jednak ostatnio czuła się wyczerpana. Początkowo sądziła, że to tylko uboczne skutki nowego życia miłosnego, lecz już przed kilkoma tygodniami zmieniła zdanie. Z trudem wlokła nogę za nogą.

Spytał ją jeszcze o kilka rzeczy i był skłonny się z nią zgodzić. Uważał, że to początek klimakterium, nie wykluczał także wrzodu.

- Wyślę panią do szpitala na USG. Zobaczymy, co wykaże. Potem zawsze możemy zrobić gastroskopię. I chciałbym, żeby poszła pani do ginekologa. Kuracja hormonalna szybko postawi panią na nogi. Warto z nim porozmawiać. - Słuchała go i kiwała głową. Wręczył jej skierowanie na badania do Cedars Sinai, powiedział, gdzie ma się zgłosić, i wyjaśnił, że jeśli radiolog będzie na miejscu, wyniki wydadzą jej na poczekaniu, jeśli natomiast nie, zadzwonią do niej nazajutrz.

- Dobrze? - zakończył wesoło. Wstał i odprowadził ją do drzwi.

Jack czekał na nią posępny niczym chmura gradowa, ale jak tylko ją zobaczył, od razu się uśmiechnął. Wyglądał jak dziecko, które straciło matkę, by w końcu ją odzyskać. Nie było jej blisko godzinę.

- I co powiedział?

- To, co myślałam. To jakieś... zmiany w organizmie i niewykluczone, że... wrzód. Jadę do szpitala na USG. Chcesz, żebym podrzuciła cię do sklepu? To po drodze, nie będziesz tracił całego dnia na jakieś bzdury. Trwa to całe wieki.

108

- Jadę z tobą - odrzekł stanowczo. Bardzo mu ulżyło, że nie wykryli u niej niczego gorszego, przynajmniej na razie. - Uważa, że to coś poważnego? - spytał, gdy szli do samochodu. : Sposepniała pokręciła głową.

- Uważa, że potrzebuję hormonów, to wystarczająco przygnębiające. Czuję się jak stara baba.

- Daj spokój, kochanie. Wyglądasz jak nastolatka. - Zawsze umiał poprawić jej humor.

Uśmiechnęła się zażenowana, gdy wsiadali do ferrari. Chwilę później mknęli już North Bedford w kierunku Cedars Sinai.

W szpitalu znowu czekali w nieskończoność, ale w końcu wywołano jej nazwisko i tym razem Jack postanowił wejść razem z nią. Nie lubił szpitali i nie chciał, żeby działo się coś bez jego nadzoru. Technik wyjaśnił im, że jest to badanie nieinwazyjne. Wysmarują jej brzuch żelem, będą sunęli po nim przetwornikiem, a obraz na ekranie monitora powie im, czy w żołądku i jelitach kryją się jakieś cysty, rozrosty lub wrzody. Wyglądało to na rzecz prostą i nieskomplikowaną, mimo to wolał przy tym być.

Amanda rozebrała się w kabinie i wyszła w krótkiej szpitalnej koszuli, a ponieważ na nogach wciąż miała swoje buty, czuła się idiotycznie. Uśmiechnął się do niej, gdy kładli ją na kozetce. Ustawili mu stółek za jej głową, skąd dobrze widział ekran monitora, ale to, co tam zobaczył, nic mu nie mówiło i przypominało mapę pogodową Atlanty. Wysmarowali jej brzuch żelem i technik zaczął sunąć po nim przetwornikiem przypominającym mikrofon.

Przyciskał go bardzo delikatnie, tak że czuła tylko zimny dotyk, nic ; więcej, i już po chwili uznała, że badanie jest koszmarnie nudne. Lecz nagle oboje zauważyli, że technik marszczy brwi i koncentruje się na jej podbrzuszu. Przycisnął mocniej przetwornik - Amanda poczuła się trochę nieswojo - powiedział, że zaraz wróci. Wrócił z młodym lekarzem dyżurnym, który przedstawił się i z wyraźnym zainteresowaniem zaczął oglądać ekran monitora, ipifei - Coś nie tak? - spytała Amanda, na próżno próbując zachować spokój. Zaczynała ogarniać ją panika. Było oczywiste, że zobaczyli tam coś, co ich zaskoczyło albo zaniepokoiło. Mimo to lekarz wciąż zachowywał się swobodnie.

- Nie, nie - odrzekł. - Po prostu chcemy mieć absolutną pewność. Co dwie pary oczu, to nie jedna, ale myślę, że obraz jest wystarczająco wyraźny. Kiedy miała pani ostatnią miesiączkę?

- Dwa miesiące temu - odrzekła zdławionym głosem. Najwyraźniej wykryli coś w jajnikach... albo w macicy... To nie klimakterium, to... rak. Nie mogła nawet spojrzeć na Jacka, kiedy to mówiła, ale lekarz tylko skinął głową.

- To by się zgadzało - mruknął i powiększył obraz. Potem wcisnął jakiś guzik i nad czymś, co pulsowało na ekranie monitora, pojawiła się biała gwiazdeczka. - Proszę spojrzeć. - Wskazał ją palcem i uśmiechnął się szeroko.

- Tutaj. Widzicie państwo? - Amanda kiwnęła głową, Jack tylko wybałuszył oczy.

Najwyraźniej w tym miejscu tkwiła przyczyna choroby. - Pani Kingston, czy wie pani, co to jest? A pan, panie Kingston? - Wziął ich za małżeństwo. No bo jeśli nie, to po diabła przyszli na badania razem?

- Guz? - spytała chrapliwie. Przerażony Jack zamknął oczy.

- Nie. Dziecko. Tak na oko jest pani w drugim miesiącu ciąży. Jeśli zechce pani jeszcze chwilę poleżeć, komputer ustali dokładny termin porodu.

- Termin czego?! - Podskoczyła i usiadła jak rażona gromem, strącając z brzucha przetwornik.
- Ja w ciąży?! - Odwróciła się i zdążyła jeszcze zauważyć, jak Jack zsuwa się ze stołka.
Zemdlał i zwałił się bezwładnie na podłogę. - O mój Boże, zabiłam go! Na pomoc! Niech ktoś mu pomoże!

- Nachyliła się, wypinając nagie pośladki. W tym samym momencie Jack drgnął, straszliwie jęknął i dotknął się czoła. Lekarz wcisnął przycisk alarmowy i do gabinetu wpadli sanitariusze, lecz Jack zdążył już się ocknąć. Amanda

110

przykłęka przy nim i wymacała na jego głowie olbrzymiego guza. - O Boże, tak mi przykro...
Dobrze się czujesz?

Lekarz odesłał sanitariuszy. Technik poszedł po lód. Jack powoli usiadł.

- Świetnie. Próbowalem tylko popełnić samobójstwo, to wszystko. Dlaczego mnie powstrzymałaś?

- Widzę, że są państwo bardzo zaskoczeni - rzekł lekarz z dobrotliwym uśmiechem na twarzy.

- To się czasami zdarza, zwłaszcza w przypadku kobiet rodzących późno...

- Późno? Myślałam, że jest już za późno.

- Brała to pani za oznaki przekwitania?

Pomogła Jackowi wstać. Kiedy położył się na łóżku, przytknęła mu do głowy worek z lodem, który przyniósł technik.

- Myśli pan, że ma wstrząs mózgu? - spytała zmartwiona. Lekarz zaświecił mu latarką w oczy i zapewnił ją, że nie.

- Masz szczęście, że nie dostałem ataku serca - mruknął Jack. - Jak się to mogło stać? - Oboje wiedzieli, jak. W styczniu, po ostatnich wynikach badań na AIDS, zrezygnował z prezerwatyw i od tamtej pory ich nie używał. Amanda była stuprocentowo przekonana, że nie jest w stanie zajść w ciążę, że to fizyczna niemożliwość, do głowy by jej nie przyszło, że może być inaczej. - Nie do wiary. - Znowu jęknął i zamknął oczy. Potwornie bolała go głowa.
- Nie do wiary... - powtórzyła cicho Amanda, patrząc na znieruchomiały obraz dziecka na ekranie monitora. Poniżej ukazał się napis: „3 października”.

- Data porodu - wyjaśnił uszczęśliwiony lekarz; Jack miał ochotę go zamordować. - Wyniki badania prześlemy lekarzowi prowadzącemu. Moje gratulacje. - Iz tymi słowami poszedł badać kolejną pacjentkę.

Technik wręczył im komputerowy wydruk obrazu ultra-sonograficznego, który wypluła maszyna.

- Pierwsze zdjęcie potomka. - Uśmiechnął się do nich i zaczął przygotowywać urządzenie do następnego badania. Musieli zwolnić gabinet. Jack powoli wstał i spojrzał na Amandę*,
*•»

lii

- Nie do wiary - wychrypiał. Wyglądał gorzej niż ona, ponieważ ona, dowiedziawszy się, że nie ma ani wrzodu, ani tym bardziej raka, nagle poczuła się znacznie lepiej. To było dziecko. Tylko dziecko.

- Fakt, nie do wiary. - Zerknęła na niego zażenowana.

- Pójdę się ubrać.

Szybko wróciła i powoli wyszli z gabinetu, dźwigając worek z lodem. Jack wyglądał jak schorowany pacjent. Nie zamienili z sobą ani słowa, dopóki nie dotarli do samochodu, a wówczas Jack po prostu stanął, spojrzał na nią i w tej pozycji zamarł. Oczyma duszy ujrzał całe swoje życie. Owszem, miewał podobne przypadki, ale nigdy dotąd z kimś, na kim tak bardzo mu zależało, nigdy tak nagle, tak niespodziewanie. Kiedy sypiał z trzydziestoparolatkami, wiedział, że ryzykuje. Ale z kobietą pięćdziesięcioletnią?
Chryste!

- Jestem w ciąży - powiedziała, ściskając w ręku nieszczęsny wydruk. - Nie do wiary...

- Wyrzuć to, to mnie przeraża. - To maleńkie coś pulsujące na ekranie monitora było sercem ich dziecka i lekarz powiedział, że płód jest zdrowy. Amanda wsiadła do ferrari i znowu spojrzała na wydruk. Nie, nie zamierzała go wyrzucić. Teraz już nie. - Chcesz gdzieś pogadać czy wrócimy do domu i zaczekamy, aż to do nas dotrze?

- Wiedział, że będzie to dla niej poważny krok i bardzo jej współczuł. Żałował, że im się to przytrafiło. Ale, koniec końców, jeszcze bardziej ich to do siebie zbliży, taką przynajmniej żywił nadzieję. Chciał, żeby miała w nim oparcie.

- Musisz jechać do pracy?

- Pewnie muszę. Ale jeśli chcesz porozmawiać, przekręcę do Gladdie. A ty zadzwoń do swojego lekarza. Uruchomił silnik i podniósł słuchawkę telefonu. Amanda spojrzała na niego i szepnęła:

- Nie wiem, co powiedzieć. - Sytuacja była przerażająca i zdumiewająca zarazem. Amanda nie potrafiła nawet myśleć o wypływających z niej konsekwencjach. ;-h

112

- To moja wina - mruknął posepnie. - Powiniennem był uważać. Tak się cieszyłem, że po tylu latach mogę zrezygnować z tego cholerstwa, że chyba mnie poniosło. Stary, a głupi.

- Nigdy bym nie przypuszczała, że może do tego dojść - odrzekła wciąż zaszokowana.

- Nastoletnia ciąża w wieku pięćdziesięciu jeden lat, co? - Nachylił się do niej z uśmiechem i cmoknął ją w usta. - Kocham cię. Cieszę się, że jesteś zdrowa, że to nic gorszego. - Ulżyło mu, choć bardzo jej współczuł. - Przynajmniej możemy temu zaradzić - dodał pocieszająco, gdy przystanęli na światłach.

Spojrzała na niego skonsternowana.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała głosem cichym i spiętym.

- Jak to co? Chyba nie zamierzasz tej ciąży utrzymać? W naszym wieku to absurdalne. Poza tym nie chcemy mieć więcej dzieci, ani ty, ani ja. Co byś robiła z niemowlakiem?

- A co robią inni?

- Inni są zwykle dwadzieścia lat młodszy od nas, są też żonaci i mężaci. - Ale kiedy zobaczył jej minę, natychmiast zjechał do krawężnika. - Tylko mi nie mów, że chcesz tę ciążę donosić.

- Amanda milczała, ale jej spojrzenie napawało go przerażeniem. - Zwariowałaś?! Mam sześćdziesiąt lat, ty masz pięćdziesiąt jeden. Nie jesteśmy małżeństwem, a twoje dzieci już teraz mnie nienawidzą. Jak myślisz, jak przyjęłyby tę radosną nowinę? - Nie mógł w to uwierzyć. Nawet w głowie mu nie zaświtało, że mogłaby urodzić.

- To nasze życie, nie ich. Nasze i... dziecka. - Przeniosła na niego zbolące spojrzenie. - Jack, prosisz mnie, żebym zabiła człowieka.

- Bzdura! - Po raz pierwszy, odkąd się poznali, podniósł na nią głos. - Na miłość boską, proszę cię tylko, żebyś wykazała odrobinę zdrowego rozsądku! Jak możesz myśleć o donoszeniu tej ciąży?

- Nie zabiję naszego dziecka. - Nawet nie zdążyła o tym

'f 13

pomyśleć, lecz nagle z całą wyrazistością uświadomiła sobie, że nie chce aborcji. Nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości.

- To nie jest dziecko, to jest bezkształtny punkcik. Na ekranie monitora nie było go prawie widać. To groźba dla naszego zdrowia psychicznego, dla naszego wspólnego życia. Czy ty tego nie rozumiesz? Nie możemy tego zrobić! - Wrzasnął na nią, na co bez słowa przeszła go wzrokiem. - Dobra, w takim razie ja nie mogę tego zrobić. I nie zrobię tego, nigdy mnie nie zmusisz! Nieraz przez to przechodziłem, nie wrobisz mnie w dziecko, nie w moim wieku! Musisz tę ciążę usunąć! - Chciał ją potrząsnąć, ale nie skrzywdziłby jej nawet w napadzie furii.

- Ja nic nie muszę, Jack. Nie jestem byle dzierlatką, która chce cię zaszantażować albo wrobić w małżeństwo. Nie, ja też nie chcę za ciebie wychodzić. Ale nie dam się zmusić do czegoś,

czego nie apróbuję, tylko dlatego, że boisz się stawić czoło tej małej rzeczywistości, która pulsuje w moim brzuchu. Ja naprawdę jestem w ciąży, Jack, to jest naprawdę nasze dziecko. - A ty naprawdę zwariowałaś. To pewnie przez te hormony. O Boże! Nie, ja w to nie wierzę. - Pchnął dźwignię biegów i skręcił w stronę jej domu w Bel Air. - Posłuchaj - rzekł, gdy pędzili Rodeo Drive. - Rób, co chcesz, ale ja tego dzieciaka niańczyć nie będę. Nie mam zamiaru wstawać na nocne karmienia, przygotowywać kompresów na ból ucha i chodzić na mecze małej ligi baseballowej. Nie zamierzam robić z siebie kretyna, idąc w wieku dziewięćdziesięciu lat na uroczystość rozdania dyplomów ukończenia college'u!

- Miałbyś tylko osiemdziesiąt. Dokładnie osiemdziesiąt dwa. A w ogóle to jesteś tchórzem. - I rozplakała się. Próbował nad sobą zapanować i jakoś do niej dotrzeć.

- Posłuchaj, kochanie, wiem, jak się musisz czuć. To szok. Najpierw myśleliśmy, że chorujesz na jakąś straszną chorobę, a teraz jesteś w ciąży. Nie myślisz trzeźwo. Aborcja to okropna rzecz. Zdaję sobie z tego sprawę. I dobrze cię

114

rozumiem. Ale pomyśl tylko, jak by wyglądało twoje życie, o moim zapomnijmy. Naprawdę chcesz zaczynać wszystko od początku? Wozić je do szkoły na zmianę z sąsiadkami, i to w wieku sześćdziesięciu lat?

- Masz sześćdziesiąt lat i radzisz sobie za kierownicą zupełnie nieźle. Jeśli tylko nad tym popracuję, jestem pewna, że przez najbliższe dziewięć lat nie odbiorą mi prawa jazdy. I nie, nie wybrałabym świadomie tej drogi, nie jestem głupia. Ale to nie ja dokonałam wyboru ani nie ty. Wybrał Bóg. Obdarzył nas niezwykłym darem. Nie mamy prawa go odrzucać. - Zalała się łzami, próbując go przekonać, ale po jego minie poznała, że sprawa jest beznadziejna, więc tylko pochyliła głowę. - Nie mogę tego zrobić, Jack.

- Nigdy mi nie mówiłaś, że jesteś wierząca - mruknął ze smutkiem. Tak, było mu jej żal, lecz jednocześnie czuł się zdradzony, poza tym ogarniała go coraz większa złość. Amanda nie miała prawa mu tego robić. Dori nigdy by tak nie postąpiła.

- Nie zmienię zdania, Jack - oświadczyła cichutko, lecz wyraźnie, gdy zaparkował przed jej domem.

- Ani ja, Amando. Twoje argumenty mnie nie przekonają. Nie chcę mieć z tym niczego wspólnego. Nie chcę o tym nic wiedzieć. Jeśli zdecydujesz się na aborcję, wesprę cię ze wszystkich sił. Będę cię tulił. Będę z tobą płakał. Będę cię kochał do grobowej deski. Ale nie dam się zmusić do niańczenia dziecka. Nie w moim wieku - powtórzył szczerze.

- Inni mężczyźni w twoim wieku robią to non stop. Zwłaszcza tutaj, w Los Angeles. Połowa ojców, jakich widuję w poczekalni u ginekologa z trzydziestoletnimi żonami, które rozparło o, potąd - pokazała mu, pokąd, i zrobiła to tak energicznie, że aż drgnął - jest starsza od ciebie.

- Ci faceci muszą cierpieć na uwiad starczy. Chcę, żebyś dobrze mnie zrozumiała, Amando. Jeśli urodzisz to dziecko, ja znikam.

- W takim razie żegnam - odparła, patrząc na niego z nagłą nienawiścią w oczach. - Znikaj do diabła, rób sobie,

115

co chcesz. To twoje życie, ale to jest moje. Moje ciało i moje dziecko, i guzik ci do tego. Wracaj do swoich głupich dzierlatek i mam nadzieję, że zrobisz im wszystkim dzieciaka. W pełni na to zasługujesz.

- Dziękuję. Miło było - powiedział, gdy wysiadła, po czym huknął drzwiami samochodu tak mocno, że wszystko w środku zagruchotało.

Amanda dobiegła do domu. Nie oglądając się za siebie, przekręciła klucz w zamku i zniknęła w holu. Pięć sekund później, usłyszawszy warkot odjeżdżającego ferrari, usiadła na schodach i zapłakała. Straciła go. Straciła wszystko, ale... nie zamierzała się poddawać. Teraz nie miała już wyboru. Urodzi to dziecko. Tylko, na miłość boską, co powie córkom?

rfe

Rozdział dziewiąty

Następne trzy dni były dla nich prawdziwym koszmarem. Jack po raz pierwszy od lat wydarł się na Gladdie. Nie miała pojęcia, co go napadło, ale wiedziała, że nastął Czas Wielkiego Gniewu. Poza tym nie umknął jej fakt, że Amanda przestała do niego dzwonić. Nie odbierał też telefonów Julie i Paula. Właściwie nie rozmawiał z nikim.

Natomiast Amanda zamknęła się w domu, zachowywała się tak, jakby odnowiła żałobę po mężu. Kiedy wpadła do niej Louise z dziećmi, nie wpuściła ich do domu. Powiedziała, że ma migrenę. Rzeczywiście, wyglądała strasznie.

- Co się z nią dzieje? - Louise zadzwoniła w końcu do siostry, lecz Jan wiedziała tylko tyle, że jej teść, Jack, przestał rozmawiać z Paulem. - Może ci maniacy seksualni nareszcie z sobą zerwali? Boże, oby to była prawda! Alleluja!

- Daj spokój, Lou - strofowała ją siostra. Louise osłupiała.

- Odbiło ci? Teraz jesteś po ich stronie?

- Nie, ale to dorośli ludzie, a tatuś nie żyje. Może mają prawo robić, co chcą, jeśli tylko zachowają dyskrecję.

- Przestań truć, są obrzydliwi - odparła bez ogródek Louise.

- Czyżbyś zmieniła zdanie? Zapomniałaś już, jak po śmierci tatusia mówiłaś, że mama ma prawo do własnego życia, i tak dalej? Może to my nie mamy prawa się wtrącać,

117

a nawet tego nie pochwalać. Kto powiedział, że jesteśmy najmądrzejsze?

- Co ci jest, do cholery? Nawróciłaś się czy co? To twoja matka. Twoja matka zachowuje się jak ostatnia dziwka. Ma romans.

- Jest wdową i ma pięćdziesiąt jeden lat. Może robić, co chce. Dochodzę do wniosku, że wszyscy zachowaliśmy się jak banda kretynów, kiedy nam o tym powiedzieli.

- To sobie dochodź. Ja mam nadzieję, że ją rzucił.

- On ją albo ona jego.

- Wszystko jedno, grunt, że się rozstali.

Ale minął tydzień, a ona wciąż się do nikogo nie odzywała i nikogo nie widywała. Córki martwiły się o nią coraz bardziej.

Tymczasem Amanda siedziała w domu i cały czas płakała z emocji, z szoku po stracie Jacka i za sprawą zmian hormonalnych. Czuła się tak, jakby jej życie dobiegło kresu, jednocześnie przytłaczała ją perspektywa nowego życia, jakie się w niej zaległo. Jednak teraz nie potrafiłaby już egzystować bez Jacka. Nie odzywał się do niej od chwili rozstania, nawet do niej nie zadzwonił.

Natomiast Jack wrzeszczał na wszystkich pracowników, którzy weszli mu w drogę, i codziennie harował do północy. A wróciwszy do domu, siedział na kanapie, gapiąc się przed siebie i próbując nie myśleć ani o niej, ani o tym, że go zdradziła. Wciąż nie mógł w to uwierzyć. Jak mogła mu coś takiego zrobić? Owszem, to nie jej wina, że zaszła w ciążę, przynajmniej nie całkowicie, ale to, że nie chciała się ciąży pozbyć, było najcięższą zdradą. A potem wspominał, jak koszmarnie się na nią wściekł, potem przypominało mu się coś, co powiedziała albo zrobiła, sposób, w jaki na niego patrzyła, gdy się kochali, gdy budzili się razem o poranku, i tęsknił za nią tak okrutnie, że chciało mu się umierać. Mimo to postanowił, że do niej nie zadzwoni.

Jednak myśleć, marzyć i śnić mógł tylko o niej, tylko jej pragnął. Doprowadzała go do szaleństwa. W niedzielę rano

118

kilka godzin spacerował po plaży w Malibu. Pływał, biegał, a potem po prostu siedział, gapiąc się na ocean i myśląc o Amandzie. Wiedział, że dłużej tego nie zniesie. Musiał do niej zatelefonować.

Walczył z sobą całe popołudnie i o ósmej wieczorem wreszcie zadzwonił. Nie wiedział nawet, co powiedzieć. Chciał tylko znowu słyszeć jej głos. Choćby przez kilka sekund. Ale nie, zobaczyć się z nią nie zamierzał. Spotkanie nie miałooby żadnego sensu. Nie chciał, żeby wciągnęła go w obłąd, który ją ogarnął.

Jednak okazało się, że włączyła automatyczną sekretarkę i nawet nie podniosła słuchawki. Odkryła, że dzwonił, dopiero- nazajutrz rano, kiedy podeszła do aparatu. Przestała zawracać sobie głowę odgrywaniem wiadomości. Przez kilka pierwszych dni sprawdzała je co godzinę, ale nim tydzień dobiegł końca, zrezygnowała z tego całkowicie. Od rozstania minęło osiem dni, ale w końcu wyciągnął do niej rękę. Nie mogła w to uwierzyć. Zaczynała już myśleć, że zniknął z jej życia na zawsze. Odsłuchiwała wiadomość: mówił głosem spiętym i bynajmniej nie swobodnym. Powiedział, że chce tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku, czy Amanda dobrze się czuje. I zaraz odłożył słuchawkę. Wymazała taśmę i wróciła do łóżka. Ostatnio pragnęła tylko spać. Była wyczerpana. Podobnie jak w ciąży z Jan i Louise, tyle że znacznie bardziej. Tym razem dosłownie leciała z nóg. Nie wiedziała, czy powodem jest wiek, czy fakt, że ją zostawił. W każdym razie sypiała osiemnaście godzin na dobę.

Nie oddzwoniła i już we wtorek zwątpił, czy w ogóle otrzymała wiadomość. Może zawiniła automatyczna sekretarka? Tym razem zadzwonił z biura, w przerwie między spotkaniami, i powiedział niemal dokładnie to samo, co przedtem. Odsłuchiwała taśmę późnym wieczorem i zaczęła się zastanawiać, dlaczego do niej wydzwania. No bo niby po co miałby zawracać sobie głowę? Wyraźniejszego stanowiska zająć nie mógł. Nie chciała go widzieć ani z nim rozmawiać.

*•%
119

Uroniła kilka łez, po czym wróciła do łóżka z miseczką lodów w ręku. Ostatnio nie jadła niczego innego.

Dzwoniła tylko do córek. Nie chciała, żeby do niej przyjeżdżały, dlatego uznała, że lepiej będzie odpowiadać na ich telefony. Powiedziała im, że ma straszliwego wirusa, że zażywa antybiotyki i że skontaktuje się z nimi, kiedy tylko odzyska formę. Ani Louise, ani Jan jej nie uwierzyły.

- Kłamie - zawyrokowała Louise podczas wtorkowej rozmowy telefonicznej z siostrą. - Głos ma normalny, fizycznie jest zdrowa. Pewnie się załamała.

- Dajmy jej święty spokój - zaproponowała Jan.

Ale jeszcze tego samego wieczoru powiedziała mężowi, że romans matki dobiegł końca, że tak przynajmniej uważa. Paul podzielał jej zdanie. Ojciec zachowywał się jak Godzilla.

- Wpadłem na niego po południu. Nie cesał się od tygodnia i wygląda tak, jakby chciał kogoś zamordować. Chyba go rzuciła.

- Może to on rzucił ją - odrzekła ze smutkiem Jan, zastanawiając się, czy to nie ich wina.

Miała wyrzuty sumienia. Matka nie zasługiwała na to, co jej zgotowali, ale na przeprosiny było już za późno.

Sprzątaczką zastała Amandę przed telewizorem. Oglądała serial dla gospodyń domowych. Wpadła w nałóg i pasjami oglądała wszystkie seriale dla gospodyń domowych i wszystkie talk-show, gdzie kobiety łkały, bo ich mężowie sypiali z sąsiadkami, albo oplakiwały zdechłego owczarka niemieckiego oraz co najmniej dwie zmarłe siostry. Oglądała te seriale, jedząc lody i szlochając wraz z ich bohaterkami.

- Będę gruba - oznajmiła telewizorowi któregoś popołudnia, pochłaniając drugą miseczkę lodów. - No i co z tego? -Chciała przytyć, chciała być gruba jak beka, żeby nie odezwał się do niej żaden przyzwoity człowiek. A Jack Watson był ostatnim sukinsynem. Pewnie znowu sypiał ze swoimi gwiazdeczkami.

Tymczasem Jack wciąż wrzeszczał na Gladdie i doprowadzał wszystkich do rozpacz.

120

W piątek, po dwóch tygodniach tego obłądu, Gladdie nie wytrzymała.

- Słuchaj, zrób mi przysługę - powiedziała. - Czy mógłbyś przynajmniej z nią pogadać? Może dojdziecie do porozumienia. Jeśli nie, wszyscy tu przez ciebie zwariujemy. Jeszcze trochę i cały personel zacznie zażywać prozac. Przecież wystarczy do niej zadzwonić.

- Skąd wiesz, że z sobą nie rozmawiamy? - spytał niepewnie. Jakim cudem ta kobieta zawsze wszystko wie? - zastanawiał się w duchu. Może jest jasnowidzką?

- Spoglądałeś ostatnio w lustro? Golisz się dwa razy na tydzień. Bóg wie, kiedy się ostatni raz czesałeś. Od trzech dni nosisz ten sam garnitur. Zaczynasz wyglądać jak bezdomny. Wierz mi, to nie wpływa dodatnio na obraz firmy.

- Przepraszam. Jestem zdenerwowany - mruknął żałośnie. Czuł się gorzej niż po śmierci Dori, ponieważ Amanda żyła, mieszkała ledwie kilka minut drogi od sklepu, a on wciąż ją kochał. Szlag by to trafił, w tym cały sęk. Zachował się wobec niej jak najgorszy potwór, no i teraz nie odpowiadała na jego telefony. Dzwonił już cztery razy. - Poza tym ona nie chce ze mną rozmawiać - dodał ze smutkiem.

Gladdie poklepała go po ramieniu niczym czuła matka.

- Chce, chce. Pewnie wygląda gorzej niż ty. Co ty jej właściwie zrobiłeś? - Uznała, że to jego wina, w przeciwnym razie nie miałby takich wyrzutów sumienia.

- Szkoda gadać - mruknął zawstydzony.

- Pewnie masz rację. Dlaczego nie chcesz się z nią zobaczyć?

- Bo nie wpuści mnie do domu. Niby dlaczego miałaby ze mną gadać? Zostawiłem ją, kiedy mnie potrzebowała... groziłem. Zachowywałem się jak ostatni kutafon.

- I tak cię kocha. Kobiety już takie są. Wykazują dużą tolerancję względem kutafonów, jak raczyłeś się nazwać. Co więcej, niektóre kobiety nawet ich kochają. Jedź do niej.

- Nie mogę. - Wyglądał jak zbity szczeniak i zirytowana Gladdie pokręciła głową. !*;*
•w.Ww&.-,w.»") \$&ń, ,«;*,

im

im

- Zawiozę cię, tylko się z nią zobacz.

- Dobrze, jutro...

- Teraz - warknęła, zamykając terminarz. - Nie masz żadnych spotkań, nikt już tu nie może z tobą wytrzymać. Zrób nam przysługę. Jedź do niej. Albo składam wymówienie.

- Koszmarna sadystka. - Uśmiechnął się do niej i wstał. Od razu poczuł się lepiej. - Ale i tak cię kocham. - Spojrzał na nią czule. - Dzięki. Jeśli zatrzaśnie mi przed nosem drzwi, za dziesięć minut będę z powrotem.

- Wątpię.

Wyszedł pośpiesznie, chcąc jak najszybciej zobaczyć się z Amandą, powiedzieć jej, o czym myślał, i modląc się, żeby go wpuściła. Niecałe pięć minut później stał już przed jej domem.

Dzwonił do drzwi i dzwonił, ale nie otwierała. Może gdzieś wyszła? Garaż był zamknięty, więc nie wiedział: zabrała samochód czy nie. Obszedł dom i zapukał w okno sypialni.

Amandą leżała w łóżku i oglądała program Ophry.

Początkowo myślała, że to jakiś ptaszek albo kot, potem wpadła w panikę, bo przyszło jej do głowy, że to pewnie włamywacz, który sprawdza, czy ktoś jest w domu. Chciała wezwać policję, ale po namyśle postanowiła najpierw zerknąć przez zazdroski w łazience. Weszła tam, skradając się na palcach z przyciskiem systemu alarmowego w rękę, i wtedy go zobaczyła. Wyglądał strasznie i wciąż stukał w szybę.

Otworzyła okno w łazience i wysunęła głowę.

- Co ty wyprawiasz? - Wyglądała nie lepiej od niego. Nie czesane od wielu dni włosy upchnęła pod elastyczną siatką i była nie umalowana, bo od chwili rozstania makijaż miała gdzieś. - Przestań! - krzyknęła. - Wybijesz okno!

- No to mnie wpuść - poprosił z uśmiechem. Bardzo się ucieszył na jej widok, lecz Amandą tylko pokręciła głową.

Wydawało mu się, że ma pełniejszą twarz. Mimo żalosego wyglądu wciąż była piękna.

, - Nie chcę cię widzieć. - Zatrzasnęła okno. Stanął pod
122

nim i patrzyli na siebie przez szybę. Nie mogła uwierzyć, iż wciąż tak bardzo go kocha i tak się cieszy, że przyszedł, jednocześnie nienawidziła siebie za to. - Idź sobie! - powiedziała samymi wargami, pokazując mu furtkę, ale kiedy przycisnął nos do szyby i zaczął robić straszne miny, wbrew sobie parsknęła śmiechem.

- Proszę cię, Amando - błagał. Wahala się chwilę i nagle zniknęła. Nie miał pojęcia, gdzie, ale niecałą minutę później wyszła tylnymi drzwiami na bosaka i w szlafroku. Serce mu drgnęło, gdy ją zobaczył. - O której ty chodzisz spać? - Była czwarta po południu i dobrze ten szlafrok pamiętał, chociaż rzadko kiedy go przy nim nosiła.

- Położyłam się dwa tygodnie temu i od tamtej pory nie wstaję z łóżka. Jem lody i oglądam Ophrę. Będę gruba i obrzydliwa i mam to gdzieś - mówiła, prowadząc go do kuchni. I nagle słę odwróciła. Jej bezbronne oczy poruszyły najczulsze struny jego duszy i po raz setny zadał sobie pytanie, jak mógł być tak głupi, żeby ją zostawić. - Dlaczego przyszedłeś? - spytała, obrzucając go spojrzeniem pełnym rozgoryczenia, które rozdarło mu serce.

- Ponieważ cię kocham, ponieważ jestem ostatnim idiotą i ponieważ... Gladdie kazała mi przyjść - dokończył z nieśmiałym uśmiechem. - Powiedziała, że dłużej mnie nie zniesie. Byłem dla nich straszny. Dlaczego nie odpowiadałaś na moje telefony? - spytał urażony. Wzruszyła ramionami i otworzyła lodówkę.

- Chcesz trochę lodów? - spytała rozkojarzona. Znowu lody. Wpadła w obsesję, co go rozbawiło. Przypomniało mu się, jak jedli je razem w łóżku. Najbardziej smakowały im kawowe. - Zostały tylko waniliowe.

- To żalose. Czy przez te dwa tygodnie jadłaś coś innego? - spytał zatroskany. Pokręciła głową, sięgając po miseczki. - To niezbyt dobrze dla dziecka.

- A co cię to obchodzi? - Spojrzała mu prosto w oczy. - Hipokryta z ciebie, Jack, przecież chciałeś je zabić. - Podała mu lody i usiedli przy stole. y '-

123

- Nikogo nie chciałem zabić. Próbowałem tylko zadbać o swoje zdrowie psychiczne, o nasze wspólne życie. Fakt, robiłem to... twoim kosztem - dodał ze smutkiem. - Zachowałem się jak krety. Przepraszam cię, Amando. - Odsunął miseczkę z lodami i siedział tak naprzeciwko niej. Nie odrywała od niego oczu. - Doznałem jakiegoś szoku, bo spadło to na mnie jak grom z jasnego nieba...

- Na mnie też - powiedziała Amanda, uśmiechając się lekko. - Jednocześnie straciła ukochanego i zyskała dziecko, nie spodziewając się ani jednego, ani drugiego. - Ja też cię przepraszam, Jack. - Wzięła go za rękę.

- To nie twoja wina, w każdym razie nie do końca... - Wiedział, że nie wprowadziła go w błąd. Do głowy im nie przyszło, że może zajść w ciążę, a jeśli nawet przyszło, to nie traktowali tego poważnie. Po prostu z góry założyli, że to niemożliwe. - Jak się czujesz?

- Jak baryłka - odrzekła ze śmiechem. - Przytyłam prawie dwa i pół kilo, wszystko przez te lody.

- Zupełnie tego nie widać. - Mimo to jej twarz jakby złagodniała, a w oczach płonęło inne światło. Takie samo światło widział w oczach swojej byłej żony, kiedy zaszła w ciążę. Zdawało się, że jej ciało promieniuje dziwnym blaskiem. - Jesteś piękna.

Uśmiechnęła się smutno.

- Zwłaszcza z tymi włosami. - Już samo to, że widział ją w takim stanie, uświadomiło jej, jak bardzo za nim tęskniła. Wciąż nie wiedziała, po co przyszedł, i założyła, że chciał się z nią rozstać bez urazy, jak przyjaciel z przyjaciółką. To było przynajmniej uczciwsze i elegantsze. Kto wie, może pewnego dnia odwiedzi ją i mimo wszystko zechce zobaczyć dziecko.

- Pewnie nie zechcesz pójść ze mną na kolację. Na przykład do... lodziarni albo do cukierni.
- Dlaczego? Po co? - Teraz? Czy miało to jakikolwiek sens?
- Dlatego, że się za tobą stęskniłem. Od dwóch tygodni kompletnie mi odbija, to cud, że Gladdie nie odeszła.

124

- Ja też nie jestem w najlepszej formie. Całymi dniami nic tylko śpię i jem lody. I płaczę przed telewizorem.

- Żałuję, że mnie tu nie było.

- Ja też - szepnęła i uciekła wzrokiem w bok. Jego widok sprawiał jej zbyt wielki ból. Wstał i podszedł bliżej.

- Kocham cię, Amando. Chciałbym wrócić... jeśli mnie przyjmiesz. Przrzekam, że już nie będę cię zdręczał. Zrobię, co zechcesz. Możesz urodzić to dziecko. Będę kupował mu buciki. Będę kupował ci lody. Ale nie chcę cię stracić. - Miał łzy w oczach, gdy to mówił.

Spojrzała na niego, nie wierząc własnym uszom.

- Naprawdę?

- Chodzi ci o te lody? Tak, przysięgam, że... Naprawdę. Nie pozwolę, żebyś przechodziła przez to sama. Moim zdaniem zwariowałaś, ale kocham cię, poza tym, Boże, dodaj mi siłę, to dziecko jest także moje. Tylko się ze mnie nie śmieję, kiedy w napadzie Alzheimera tracę orientację i wypchnę wózek na ulicę. Załatw mi wtedy pielęgniarkę.

- Załatwię ci wszystko, co zechcesz. - Jack objął ją i przytulił. - Tak bardzo cię kocham. Myślałam, że umrę bez ciebie.

- A ja bez ciebie. - Przytulił ją jeszcze mocniej. - Boże, Amando, nie chcę cię stracić. - I zatroskany spytał, czy jej zdaniem powinni się pobrać.

- Nie musimy - odrzekła, gdy powoli ruszyli w stronę sypialni. - Zupełnie tego nie oczekuję.

- Ty nie, ale może chłopak tego chce. Może powinniśmy go o to spytać?

- A jeśli to dziewczynka?

- Nie rozmawiamy o tym. Znowu zaczynam się denerwować. No więc jak? Pobieramy się? - Był gotów spełnić swoją powinność choćby zaraz, lecz Amanda go zaskoczyła.

- Nie. Przecież nikt tego od nas nie wymaga. Nie ma takiego prawa, które mówi, że musimy być mężem i żoną. Może później. Zobaczymy, jak się nam ułoży. %*\$;

725

- Jest pani kobietą bardzo nowoczesną, pani Kingston.

- Nie, po prostu bardzo cię kocham. - Byli już w sypialni, a on tulił ją i całował. Wrócił do niej, wiedziała, że nigdy nie pozwoli mu odejść, i zanim się spostrzegli, szlafrok leżał już na podłodze wraz z jego ubraniem, a oni byli w łóżku - w tym samym łóżku, gdzie kochali się pierwszy raz, gdzie prawdopodobnie poczęli dziecko. Ale teraz było to ich łóżko, ich, nie Matta czy kogokolwiek innego. I pieszcząc Amandę, uświadomił sobie z całkowitą pewnością, jak bardzo ją kocha.

Tego wieczoru, leżąc i tuląc się do siebie, rozmawiali o tym, co zrobią i jak zawiadomią dzieci.

- Nie mogę się już doczekać - zachichotał. - Jeśli uważasz, że tamta kolacja była koszmarem, zaczekaj tylko na tę.

Amanda też się roześmiała. Cóż innego im pozostało? A potem, wciąż z uśmiechem na twarzy, odwróciła się do niego i spytała, jak bardzo ją kocha.

- Nie sposób tego wyrazić, bardziej niż własne życie. Dlaczego? Do czego zmierzasz?

- Zastanawiałam się właśnie, czy kochasz mnie na tyle, żeby przynieść mi trochę lodów. Podparł się łokciem i spojrzał na nią z wesołymi ognikami w oczach.

- Wiesz co? A może byśmy tak przenieśli lodówkę do sypialni?

- Świetny pomysł. - Roześmiała się szczęśliwa, on znowu ją pocałował i po chwili oboje zapomnieli o lodach.

Rozdział dziesiąty

Tym razem postanowili się nie oszukiwać i wyzbyć się złudzeń, że dzieci będą skakały z radości. Uzgodnili też, że nie zaproszą ich na kolację, tylko na koktajl. Spotkanie miało być krótkie, treściwe i najprawdopodobniej nieprzyjemne. Mimo to zamierzali powiedzieć dzieciom prawdę: Amanda jest w ciąży. A potem choćby potop.

Wszyscy przybyli kwadrans po szóstej. Julie jak zawsze słodka i kochana, Jan i Louise spięte, Paul miłszy dla ojca niż zwykle. Zdążyli już to między sobą przedyskutować i wziąć się w garść. Myśleli, że Jack i Amanda zawiadomią ich o swoim ślubie. Nie byli z tego zadowoleni i Louise zapowiedziała już, że spróbuje to matce wyperswadować. Ale przynajmniej tym razem zdawało im się, że wiedzą, co ich czeka.

Wszyscy zasiedli w salonie. Jack serwował drinki. Sobie nalał szkockiej, pozostali woleli wino. Amanda nie piła nic. Louise poprosiła o wodę i podczas gdy inni grzecznie czekali, postanowiła chwycić byka za rogi.

- No dobra. To kiedy ślub? - rzuciła swobodnie.

- Nie bierzemy ślubu - odrzekła spokojnie Amanda. - Przynajmniej na razie. Postanowiliśmy zaczekać. Ale chcemy wam powiedzieć, że jestem w ciąży.

W salonie zaległa cisza tak głęboka, że można by usłyszeć

127

brzęk szpilki spadającej na podłogę. Louise zbladła i wybałuszyła oczy.

- Powiedz, że żartujesz. Powiedz, że dzisiaj prima aprilis, a ja zapomniałam zajrzeć do kalendarza. Powiedz, że się przesłyszałam.

- Nie, nie przesłyszałaś się. My też byliśmy zaszokowani. Ale cóż, naprawdę jestem w ciąży. Nie ma sensu tego ukrywać. Dziecko przyjdzie na świat w październiku. - Zerknęła na Jacka, który podniósł do góry kciuk. Amanda radziła sobie znakomicie i upłynęło co najmniej pięć minut, zanim to do nich dotarło.

- Rozumiem, że skrobanki nie zrobisz. - Rzeczniczką siostr była jak zawsze Louise.

Zdruzgotana Jan milczała. Tym razem nawet Julie się nie odzywała. Paul piorunował ojca wzrokiem.

- Nie, nie zrobię. Owszem, przedyskutowaliśmy to - wyjaśniła, mówiąc prawdę nie do końca - ale nie chcę usuwać ciąży. W moim wieku to rodzaj wielkiego daru, dlatego postanowiłam urodzić. Zdaję sobie sprawę, jakie to będzie dla was trudne, ponieważ mnie też ta wiadomość oszołomiła. Lecz cóż, stało się, moi drodzy, jestem tylko człowiekiem... - zakończyła ze łzami w oczach.

Jack podszedł bliżej i usiadł, by ją objąć.

- Uważam, że wasza matka jest bardzo dzielna - powiedział. - Niewiele kobiet w jej wieku odważyłoby się to zrobić.

- A ja uważam, że naszej matce odbiło - warknęła Louise, wstając i dając mężowi znak. Jerry podniósł się z nieobecny wyrazem twarzy. - Ty oszalałaś, mamó. Oboje cierpicie na uwiad starczy. Posuniecie się do wszystkiego, żeby postawić nas w niezręcznej sytuacji. Nawet nie chcę myśleć, co by powiedział na to tatuś. To przerasta moją wyobraźnię.

- Jego tu nie ma, Louise, i nic nam już nie powie. To moje życie - odparła spokojnie Amanda.

- Nasze też, z tym że nie raczysz tego zauważać i... Przerwał jej szloch Jan, która też wstała, by przeszyć matkę nienawistnym spojrzeniem.

128

- Nie mogę uwierzyć, że mi to robisz, mamó. Nie mogę mieć dzieci, więc musisz się wszystkim pochwalić, że ty wciąż możesz. Jakie to okrutne! Jakie podłe! Dlaczego, mamó? Dlaczego?

Sądząc po minie, Paul całkowicie podzielał zdanie żony. Córki wraz z mężami ruszyły do drzwi. Oszołomiona Jan wspierała się na ramieniu Paula i Amanda chciała do niej podejść, lecz Paul ją powstrzymał.

- Dajcie nam wreszcie święty spokój i od tej pory wszystkie wspaniałe nowiny zachowujcie dla siebie. Czego od nas chcecie? Krwi? Gratulacji? Niech was oboje szlag trafi. Jak myślicie, jak ona się teraz czuje?

- Widzę, jak - odrzekła Amanda z policzkami mokrymi od łez. - Nie chciałam jej urazić, to ostatnia rzecz, jakiej pragnęłam. Ale ta ciąża przytrafiła się nam, nic na to nie poradzę. To jest nasze życie, nasz problem i nasze dziecko.

- Życzę dużo szczęścia. I nie zapraszaj nas na chrzciny, tato. - Spojrzał na niego z nie ukrywaną wściekłością. - Nie przyjdziemy. - Huknęły drzwi i Amanda rozplakała się w ramionach Jacka.

Obserwowała ich Julie. Nie powiedziała dotąd ani słowa, ale kiedy Amanda trochę się uspokoiła, postanowiła zabrać głos.

- Przykro mi, tatusiu. Bardzo mi was żal. Na pewno nie jest wam łatwo. Ale nam też jest ciężko. To dla nas wszystkich duży przełom. Ale kto wie, może koniec końców okaże się błogosławieństwem. Mam nadzieję, że tak.

- Ja też - odrzekł cicho Jack, patrząc na Amandę. Wkroczyła na wyboistą drogę, ale zrobiła to świadomie. Oboje o tym wiedzieli, kiedy zdecydowali się wyjawić dzieciom prawdę.

Julie i jej mąż cichutko wyszli. Jack i Amanda siedzieli, patrząc sobie w oczy.

- Wiedziałas, że tak zareagują - powiedział łagodnie.

- Wiedziałam. - Pociągnęła nosem. - Ale zawsze ma się nadzieję, że będzie inaczej. Zawsze myślisz, że podskoczą

129

z radości, że obejmą cię i wyściskają jak wtedy, gdy były dziećmi, małymi dziećmi, że powiedzą, jak bardzo cię kochają, zapewnią, że jest dobrze, że jesteś wspaniałą. Zamiast tego ciągle nas osądzają, są wobec nas niesprawiedliwe, uważając, że wszystko, co robimy, robimy po to, żeby ich zranić. Jakby jedyną funkcją rodzica było egzystowanie wedle narzuconych przez nich praw. Zrobienie czegoś dla nich nieoczekiwanego albo niewygodnego natychmiast wywołuje burzę. Dlaczego dzieci, bez względu na ich wiek, nigdy nie odczuwają litości w stosunku do rodziców?

- Może na to nie zasługujemy - odrzekł zmęczony. - Może uważają, że jesteśmy egoistami. Fakt, czasami jesteśmy. Ale mamy do tego prawo. Tyle im dajemy, kiedy są mali, a gdy w końcu dochodzimy do wniosku, że teraz nasza kolej, odwracają się od nas, mówiąc: „a guzik”. My nie możemy się odwrócić. Myślę, że trzeba być wiernym samemu sobie i budować swoje własne życie. Pogodzą się z tym, dobrze, nie pogodzą, drugie dobrze. Nie można poświęcać całego życia dzieciom. Martwi mnie jedynie to, że znowu wchodzimy na tę samą drogę. Następny brzdąc powie mi, że jestem stary pierdoła, że zrujnowałem mu życie, bo wciąż sypiam z jego matką. A wierz mi, że będę z tobą sypiał. Zamierzam kochać się z tobą, aż do śmierci, ale gdybyś znowu zaszła w ciążę, pamiętaj, nigdy już nie pójde z tobą do łóżka. Żądam, żebyś zaczęła brać pigułki antykoncepcyjne i żebyś brała je do osiemdziesiątki. Nie mogła się powstrzymać i wybuchnęła śmiechem. W tym, co powiedział, było dużo prawdy. Dzieci zawsze uważają, że rodzice powinni dawać im wszystko, a one rodzicom nic.

- Jan... Tak mi jej żal - szepnęła smutno. Słowa jej córki ociekały bólem i udręką.

- Mnie też. Paul wyglądał tak, jakby chciał mnie zabić. Pewnie uważa, że zrobiłem to, żeby dowieść swojej jurności i zrobić mu na złość. Chryste, oddałbym wszystko, żeby tylko mogli mieć dziecko. w

130

- Ja też - odrzekła, a potem, żeby zająć myśli czymś innym, zabrał ją na kolację. Jednak na razie musieli zrezygnować z wypraw do Tajów. Już na samą myśl o ich jedzeniu Amanda dostawała mdłości.

Tej nocy leżeli w łóżku i długo rozmawiali. Jack w końcu zasnął, lecz Amanda usnąć nie mogła. Wstała, wypila trochę gorącego mleka i rumianku, mimo to nie potrafiła opanować

natłoku myśli. Ciągłe chodziły jej po głowie słowa Jan. Spała niespokojnie, a przy śniadaniu spojrzała posepnie na Jacka.

- Chcę ci coś powiedzieć.

Podniósł wzrok. Robiła wrażenie zmęczonej.

- Dobrze się czujesz? - O Amandę martwił się nieustannie, a teraz zaczynał martwić się o dziecko, czyli robił dokładnie to, czego nie chciał.

- Świetnie. - Może i tak było, ale wyglądała strasznie. - Wczoraj w nocy przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

- W twoim stanie to niebezpieczne. Pewnie chcesz, żebym wykupił całego Haagen-Danzsa albo Bena & Jerry'ego.

- Mówię poważnie.

- Ja też. Zamierzam kupić akcje tych firm. Jesteś największą indywidualną konsumentką lodów na zachód od Gór Skalistych. - Przytyła ponad trzy i pół kilo, a była dopiero w trzecim miesiącu ciąży. - No dobra, już jestem poważny. Co wymyśliłaś?

Rozpląkała się, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, i natychmiast zrozumiał, że to nie żarty. W końcu wykrztusiła, że chodzi o Jan i Paula, o to, co powiedzieli poprzedniego dnia i jak bardzo ją to bolało.

- Mnie też, kochanie. Ale nic na to nie poradzimy. Muszą po prostu próbować, próbować do skutku.

- Niekoniecznie. O to mi właśnie chodzi. I tak nie chciałeś tego dziecka, Jack, Zresztą może rzeczywiście jesteśmy na nie za starzy. Może jest to najwspanialszy dar, jaki moglibyśmy im przekazać. Może właśnie dlatego zaszłam w ciążę. Chciałabym oddać im nasze dziecko.

Jack osłupiał. '«'\$•

131

- Mówisz poważnie? Chcesz oddać im dziecko?! - Kiwnęła głową, znowu się rozpląkała, a on objął ją i przytulił. -Nie powinnaś tego robić. To twoje dziecko. Nasze dziecko. Kiedy urodzisz, nie zniesiesz rozstania.

- Nieważne. Chcę to zrobić dla nich, dla Jan i Paula. Pozwolisz mi?

- To twoja decyzja. Dość niezwykła i na pewno wywoła sensację, ale co to nas obchodzi? Jeśli tego pragniesz i jeśli oni tego pragną, nie ma sprawy.

- Najpierw chcę zapytać ich o zdanie. Kiwnął głową.

- Masz rację, to największy dar, jaki możesz im dać, a ponieważ Paul jest przeciwny adopcji, rozwiązałoby to kwestię obcych genów. Chcę tylko, żebyś była stuprocentowo przekonana.

- Jestem, Jack. Chcę to zrobić. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym z nią zaraz porozmawiać. Zadzwońisz do Paula?

- Dobrze. Zabiorę go na lunch. Jeśli nie odmówi.

- Powiem Jan, żeby uprzedziła Paula, że to ważne.

- Jesteś niezwykłą kobietą, kochanie. Pełną tajemnic i niespodzianek. - Wciąż zadziwiony pojechał do sklepu.

Amanda nie zawracała sobie głowy telefonowaniem do Jan. Pojechała do niej do domu i złapała córkę tuż przed wyjściem do pracy. Mimo wewnętrznych oporów zaskoczona Jan otworzyła jej drzwi. A kiedy Amanda wyłuszczyła sprawę, usiadły i popłakały się.

Początkowo Jan odmówiła, ale już po chwili zmieniła zdanie.

- Naprawdę byś to dla mnie zrobiła, mammo?

- Tak, córeczko - odrzekła stanowczo Amanda, ocierając z uśmiechem oczy. - Niczego bardziej nie pragnę.

- A jeśli zmienisz zdanie? Ty albo Jack?

- Nie zmienimy zdania. Na pewno dotrzemy danego słowa. Chcemy tego oboje. I to bardzo. Mam nadzieję, że się zgodzicie.

- Porozmawiam z Paulem. - Podekscytowana Jan pobiegła

do telefonu i ku swemu zdziwieniu odkryła, że Jack już do niego dzwonił i że mąż domyśla się - choć nie do końca - po co ojciec chce go zobaczyć. Jan wyjaśniła mu dokładnie, w czym rzecz, i Paulowi zwilgotniały oczy.

- Nie do wiary... - wyszeptał. - Dlaczego chcą to zrobić?

- Bo nas kochają. - Jan znowu się rozplakała. Amanda stanęła obok córki. - Mama mówi, że możemy być obecni przy porodzie i że dziecko będzie nasze, jak tylko przyjdzie na świat.

- A jeśli zmienią zdanie? ?

- Nie sądzę. Podchodzą do tego bardzo poważnie.

- Dobrze. Porozmawiamy, Jan - odrzekł, nie chcąc rozbudzać w sobie płonnych nadziei. Ale spotkał się z ojcem na lunchu, tego samego wieczoru porozmawiał z Jan i już nazajutrz rano złożyli wizytę rodzicom, żeby przyjąć ich propozycję. Jack i Amanda byli w radosnych nastrojach. Amanda czuła się tak, jakby dokonała wielkiego czynu, którego nigdy nie będzie żałowała.

- Jesteś wspaniała - rzekł z podziwem Jack. - Mam tylko nadzieję, że potem nie będzie ci przykro.

- Nie będzie. Jestem tego absolutnie pewna. Bez względu na to, jak bardzo pokocham dziecko, powinniśmy oddać je Jan i Paulowi. Myślę, że miałaś rację. Wozić dziecko do szkoły w wieku sześćdziesięciu lat? Chyba będą na to za stara.

- Dla ciebie wiek nie ma znaczenia, czas cię nie dogoni. Poza tym będziesz mogła zobaczyć dziecko, kiedy tylko zechcesz. - Świetne rozwiązanie, jednak wiedział, że nie będzie jej łatwo. I nagle wpadł na pewien pomysł. - Wiesz co? Wyjedźmy gdzieś. Tylko we dwoje. Zróbmy sobie wakacje. Co byś powiedziała na Paryż?

- Paryż! Chętnie! - Córki proponowały jej wyjazd już przed rokiem, ale wtedy nie miała do tego nastroju. Teraz wycieczka do Paryża z Jackiem Watsonem wydawała się jej wspaniałym pomysłem.

Wyjechali w czerwcu, kiedy była w dwudziestym drugim tygodniu ciąży. Zatrzymali się w „Ritzu” i fantastycznie się

bawili. Co wieczór jadali w restauracjach, chodzili na zakupy, k byli w Luwrze i na balecie, spacerowali po całym mieście, y Nigdy nie czuła się lepiej. Chociaż wciąż pochłaniała ? kilogramy lodów, przytyła niewiele i zdaniem Jacka wy- = glądała wspaniale. Powiadają, że ciąża dodaje kobiecie urody, • i w przypadku Amandy była to szczerą prawdą. Żałowała s jedynie tego, że nie może zakupić sobie ubrań, bo nic na nią ! nie pasowało.

- Wrócimy tu w listopadzie, masz moje słowo. - Martwił się, że na jesieni Amanda wpadnie w depresję. Wciąż uważał, , że oddanie dziecka Jan i Paulowi będzie dla niej silnym stresem, chociaż z drugiej strony wyglądało na to, że podjąwszy decyzję, wyzbyła się wszelkich wątpliwości.

W drodze powrotnej wpadli na kilka dni do Londynu. W lipcu zabrał ją do Lake Tahoe, ale już w sierpniu lekarz oświadczył, że nie powinna podróżować. Rozpoczął się trzydziesty tydzień ciąży, a miała już pięćdziesiąt jeden lat. ? Dziecko było duże i zachodziła obawa przedwczesnego porodu. !

- Urodziłam dwie córki i obie przyszły na świat po j terminie - odrzekła z przekonaniem. l

Położnik wybuchnął śmiechem. {.

- A ile miała pani wtedy lat? i

- Dobrze już, dobrze. Będę grzeczna. Obiecuję.

Wiedzieli już, że dziecko jest zdrowe i że to chłopiec; ' przed wyjazdem do Europy zrobiono jej punkcję owodni. Jan i Paul całymi dniami wybierali imiona, tymczasem Louise wciąż była milczkowata i rzadko kiedy odzywała się do matki.

- Przejdzie jej - zapewniał Jack. Chciał, żeby Amanda była szczęśliwa, i robił wszystko, żeby czymś ją zająć. Ona jednak mogła myśleć tylko o dziecku. Chciała kupować ubranka, pluszowe misie, łóżeczka, kołyski, śpioszki i góry pieluch. Niemal codziennie wyjeżdżała na zakupy i kiedy tylko było to możliwe, ciągnęła go ze sobą.

- Na miłość boską, co ludzie sobie pomyślą? Wyglądam

••' :!- ' :!; •' 134

A

jak dziadek! - Każda wizyta w sklepie była dla niego upokorzeniem, a kiedy ich o coś pytano, odpowiadał, że kupują rzeczy dla wnuczka.

- Właściwie to kim ja dla ciebie będę? Twoją... córką?

- Może żoną? Możemy to załatwić. - Byli z sobą już od ośmiu miesięcy, mimo to Amanda wciąż nie chciała słyszeć o małżeństwie. Teraz mogła myśleć tylko o jednym: o dziecku. Zmusiła go nawet do tego, żeby poszedł z nią do ginekologa.

Za pierwszym razem był zawstydzony, upokorzony i przerażony do tego stopnia, że chętnie wyczołgałby się z poczekalni w masce na twarzy. Miał tego ukryć się za gazetą i udawał, że Amandy nie zna.

- Ja tam nie wejdę - szepnęła zza „Los Angeles Times”. Jego zdaniem pacjentki w poczekalni nie miały więcej niż czternaście lat. Czuł się wśród nich jak na letnim obozie dla samotnych matek. Były to piękne blond dziewczęta z Beverly Hills, wszystkie młodziutkie, wszystkie w mini. Wyglądały na takie, co to dały się skusić i przyjęły lizaka od nieznajomego.

- Nie bądź śmieszny. Mamy tylko posłuchać bicia jego serca, to naprawdę wspaniałe - odszepnęła Amanda.

Wyjrzał zza gazety. Naprzeciwko niego siedział chłopak w dżinsach. Pewnie jakiś młodociany aktorzyzna. Jack dawał mu najwyżej piętnaście lat.

- Na pewno. Zaczekam w samochodzie - odrzekł stanowczo. Ale kiedy się podniósł, Amanda zrobiła tak nieszczęśliwą minę, że upokorzony usiadł. Chłopak w dżinsach spytał go, czy to jego pierwsze dziecko. - Moje dzieci są starsze od pana - odparł kompletnie przybity Jack. Chłopak powiedział, że ma dwadzieścia trzy lata i że spodziewa się drugiego potomka. Jego macocha też urodziła, przed rokiem. ||

- Ojciec ma sześćdziesiąt pięć lat - dodał z szerokiim uśmiechem na twarzy. j*

- I co? Przeżył to jakoś? fSIf f^

•

- Tak, mają bliźnięta. Z próbówki. Próbowali dwadzieścia cztery miesiące. Macocha ma czterdzieści lat.

- Szczęściarze - mruknął gorzko Jack, a gdy weszli do gabinetu, oświadczył, że ludzie powariowali. - Sześćdziesięcio-pięcioletni staruch chce mieć dziecko, wyobrażasz to sobie? I po cholere? W dodatku z próbówki. My mieliśmy przynajmniej kupę radochy, kiedy to robiliśmy.

- Chcesz spróbować jeszcze raz? - zażartowała, a on wywrócił oczyma. Ale kiedy, wzięwszy od lekarza stetoskop, usłyszał bicie malutkiego serca, bardzo się wzruszył. Dziecko stało się nagle tak realne, tak prawdziwe, że aż zapiekły go oczy.

- To mój wnuk! - powiedział odrobinę za głośno; miał w uszach słuchawki i wydawało mu się, że mówi cicho.

- To pani ojciec? - spytał zaskoczony lekarz. - Myślałem, że mąż.

- Mąż zmarł półtora roku temu - wyjaśniła, a położnik uśmiechnął się dobrotliwie. Uznał ich za kolejną ekscentryczną parę, jakich nie brak w Beverly Hills.

Maluch rozwijał się prawidłowo i przez całą drogę do sklepu Jack trajkotał o tym jak najęty.

- Następnym razem powinniśmy przyjść z Jan i Paulem.

Amanda podzielała jego zdanie, szczęśliwa, że dziecko tak bardzo go cieszy. Przychodziła teraz na badanie prawie co tydzień, ponieważ lekarz obawiał się przedwczesnego porodu.

Brzuch Amandy wydawał się Jackowi olbrzymi, zwłaszcza w kontraście z jej szczupłą figurą.

Ale najgorsze, co go miało spotkać, to szkoła rodzenia, do której zaczęli uczęszczać piętnastego sierpnia.

Na podłodze sali konferencyjnej szpitala Cedars Sinai leżało dwanaście par, brodatych mężczyzn i kobiet w szortach albo w body. Jack, który przyjechał tam prosto z biura, miał na sobie garnitur od Broniego, koszulę i krawat, więc patrzyli na niego jak na przybysza z innej planety. Amanda już tam była. Zrelaksowana i spokojna czekała na Jacka w białych szortach, olbrzymim różowym podkoszulku

136

i w sandałach. Właśnie umalowała sobie paznokcie i wyglądała jak modelka. Towarzyszący jej kursanci byli za młodzi, żeby pamiętać ją z ekranu. Na dworze panował koszmarny upał, więc Jack przyjechał na zajęcia zmęczony i spocony.

- Przepraszam za spóźnienie, kochanie. Nie mogłem pozbyć się tych sprzedawców z Paryża. Gadaliby bez końca.

- Nic nie szkodzi - szepnęła z uśmiechem - dopiero co zaczęliśmy.

Na ścianach wisiały wielkie rysunki przedstawiające różne stadia rozwarcia szyjki macicy. Jack zerknął na nie z przerażeniem.

- Co to jest?

- Szyjka macicy. Rozwarta. Nie zwracaj sobie tym głowy.

- Coś potwornego. - Narodziny Paula i Julie witał z kumplem w barze. W tamtych czasach nie wymagano od ojców niczego nadzwyczajnego. Wystarczyło, że zjawiali się po fakcie z bukietem kwiatów w ręku.

Rozejrzał się po sali i natychmiast stwierdził - jakżeby inaczej - że niemal wszyscy kursanci i kursantki są w wieku jego dzieci. Ale powoli już do tego przywykł. Natomiast wiedział, że za Boga nie przywyknie do fotografii, które im pokazywano, do diagramów czy do filmu szkoleniowego, który zapowiedziano na koniec spotkania. Z każdą sekundą tracił humor. Jedyne, co zdołał jakoś znieść - choć nie bez zażenowania - to ćwiczenia gimnastyczne, które wykonywali wspólnie z Amanda, przytrzymując jej nogi lub pomagając jej oddychać. Jedna z kobiet z przodu sali nieustannie paplała o cierpieniach związanych z czymś, co nazywała „fazą pośrednią”.

- O czym ona gada? - spytał Amandy, kiedy tamta powtórzyła to po raz kolejny. Niestety, powiedział to za głośno i usłyszała go instruktorka.

- To najboleśniejsze stadium porodu - wyjaśniła z sadystycznym uśmiechem. - Kiedy przechodzi się z tej fazy...

137

- Tu wskazała odpowiedni obrazek na ścianie. - Do tej. To ;• tak, jakby chwycić dolną wargę i spróbować naciągnąć ją " sobie na głowę. - I przeszła do następnej kwestii.

- Czy to cię nie przeraża? - Tym razem szepnęła ledwie słyszalnie. ,

- Nie - odszepnęła. - Już przez to przechodziłam. ;

- Bez znieczulenia? - Ta od „fazy pośredniej" wielokrot- < nie przestrzegała ich przed ujemnymi skutkami znieczulenia, twierdząc, że „prawdziwa" kobieta nie powinna prosić i-o żadne lekarstwa.

- Ależ skąd! - Amanda uśmiechnęła się do niego między głośnym wdechem i jeszcze głośniejszym wydechem. - Mogą mi dać wszystko, co mają. Najlepiej już na parkingu.

Nie ; jestem bohaterką. :

- Cieszę się. A co ze mną? Mnie też coś zaaplikują?

- Zaczynał dochodzić do wniosku, że będzie tego potrzebował. Nie podobali mu się kursanci, nie podobało mu ; się to, jak wyglądali, to, co mówili, i głupie pytania, jakie zadawali.

Dziwne, że którakolwiek z nich w ogóle zaszła w ciążę. Najwyraźniej nawet kretyнки dawały sobie z tym radę. Ale najbardziej nie cierpiał instruktorki.

Kiedy oznajmiła, że film będzie o cesarskim cięciu, Jack zaczął tęsknie spoglądać w stronę drzwi.

- Nie chciałabyś się czegoś napić, kochanie? - spytał obojętnie. - Tak tu gorąco... -

Klimatyzatory pracowały pełną parą, w sali było lodowato.

- Zamknij oczy, skarbie. Nikomu nie powiem.

Film pokazywano na wypadek nagłej konieczności wykonania cesarskiego cięcia, tak żeby obecni przy operacji mężowie wiedzieli, czego oczekiwać. Jeśli mieli zaświadczenie, potwierdzające fakt, że film widzieli, pozwalano im zostać w sali operacyjnej. Jeśli nie, musieli poczekać w korytarzu wraz z innymi mięczakami. Ale Jack dobrze wiedział, że do sali operacyjnej nie wejdzie z własnej woli, chyba że mu przedtem zaaplikują coś na ogólne znieczulenie.

- Zaraz wracam - szepnął, tym razem za głośno.

- Gdzie idziesz? - spytała Amanda.

- Do ubikacji.

- Za czekamy na pana, panie Kingston! - oznajmił donośny głos z przodu sali. - Na pewno zechce pan to obejrzeć. - Posłał „żonie” udręczone spojrzenie i wrócił niecałe pięć minut później.

Natychmiast rozpoczęli projekcję obrazu, który omal nie zwałił go z nóg. Jako gołowąs służył dwa lata w wojsku, ale żaden z filmów, jakie tam pokazywali, nie mógł równać się z tym, którym uraczono go pod koniec zajęć. Nawet film o biegunce był przyjemnym wspomnieniem w porównaniu z tym ociekającym krwią obrazem. Biedaczka cały czas płakała, jakby cierpiała straszliwe katusze, wszystko spływało krwią i zanim zapalono światła, Jack szepnął, że mu niedobrze.

- Mówiłam ci: nie patrz. - Ścisnęła go za rękę i nachyliła się, żeby go pocałować.

W tym samym momencie ciszę przerwał ostry głos instruktorki.

- Państwo Kingstonowie! Czy państwo uważają? Potem będzie test.

- Cholera. Dlaczego nie pokażą nam filmu o wycinaniu hemoroidów?

- Ciii... - śmiała się Amanda. Jack był beznadziejny. Zrezygnowali z oglądania filmu. I tak nie chciała rodzić metodą naturalną. Nacierpiała się, rodząc Louise, i wiedziała swoje.

Ale ostatnie tygodnie ciąży znosiła bardzo dobrze. W weekend przed Dniem Pracy, obchodzonym w pierwszy poniedziałek września, stwierdziła, że się straszliwie nudzi. Poszli więc do kina, zjedli coś małego w chińskiej restauracji i pospacerowali plażą w Malibu, co sprawiło już Amandzie trochę trudu. Chociaż czuła się dobrze, chodziła bardzo wolno i ociężale.

Po spacerze usiedli na tarasie, pijąc mrożoną herbatę. I wówczas zadzwonił Paul. Spytał o zdrowie Amandy

138

139

i oświadczył, że chcieliby do nich wpaść. Jack odłożył słuchawkę i powiedział, że syn był chyba trochę zdenerwowany.

- Myślisz, że coś się stało? - spytała zaniepokojona Amanda.

- Nie, chyba nie. Pewnie niecierpliwą się oczekiwaniem na dziecko.

- Tak samo jak ja - odrzekła. Wiedział, że to nieprawda: przez całą ciążę była niezwykle opanowana. - Jeśli ten facet w moim brzuchu jeszcze urośnie, nie zmieszczę się w szpitalnej windzie.

- Chłopcy już tacy są - powiedział z uśmiechem. - Paul też był wielki. Jego mamusia miała mi to za złe przez pół roku przed porodem.

- Dała ci wspaniałe dzieci - przypomniała mu życzliwie.

- Nie bądź taka miłosierna. Była paskudną wiedźmą, wierz mi.

Paul i Jan przyjechali późnym popołudniem. Jack przygotował drinki i usiedli na tarasie, podziwiając zachód słońca. Wieczór był wspaniały i Amanda zastanawiała się, czy trochę nie popływać.

- Jak dziecko? Dobrze? - spytała Jan, patrząc z troską na matkę. Amanda była już bardzo gruba, lecz nie zwracała na to najmniejszej uwagi. Emanował z niej zadziwiający spokój.
- Świetnie. Czeka na ciebie, kochanie.

Nadszedł Jack z sangrią dla młodych. Zauważył, że zanim zaczęli mówić, oboje zdrowo pociągnęli ze szklaneczek. Ciekawiło go, co się kroi.

- Coś się stało? - Jan i Paul zgodnie pokręcili głową niczym dwoje nastolatków przyłapanych na gorącym uczynku, a potem roześmieli się nerwowo, patrząc to na Amandę, to na Jacka.

- Nie, nic - odrzekł Paul; Jan była zbyt zdenerwowana, żeby cokolwiek powiedzieć. - Ale chcemy wam coś... Uznaliśmy, że musicie... że powinniście dowiedzieć się o tym pierwszy. W tym momencie wtrąciła się Jan. Spojrzała na matkę ze łzami w oczach i oświadczyła:

- Mamo, jestem w ciąży.

140

': t

"ł

L

- Naprawdę? Och, kochanie, to cudownie! Od kiedy?

- Od sześciu tygodni. Chciałam mieć absolutną pewność, zanim ci powiem. Lekarz to potwierdził, mówi, że wszystko jest dobrze. Na początku tygodnia zrobili mi USG, dali mi nawet zdjęcie.

- Skąd ja to znam... - mruknął Jack, zastanawiając się, co powiedzą teraz. Wiedział, że na tym nie koniec, i czekał na ciąg dalszy.

Jan i Paul wzięli głęboki oddech i popatrzyli na rodziców.

- Zdajemy sobie sprawę, że zepsuje to wam wszystkie plany, ale po prostu nie wiemy, czy... Uważamy, że... Nie jestem pewien, czy...

- Rezygnujecie z naszego dziecka - wyręczył go Jack. Jan i Paul kiwnęli głową. Amanda osłupiała.

- Chyba że go nie chcecie. Jeśli nie, to naturalnie... - Próbowali grać fair, ale było oczywiste, że teraz, kiedy Jan zaszła w ciążę, nie chcieli dziecka jej matki. - Bardzo nam przykro.

- W porządku, synu - odrzekł spokojnie Jack. - Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. A teraz uciekajcie. - Spojrzał na synową, uściśnął ją i ucałował. - Chcę porozmawiać z twoją matką.

- Rozumiemy. Wiem, że to dla was cios, tato. - Byli młodzi, nieczuli i nieświadomi, mimo to nie winił ich za to. I wcale nie było mu przykro.

- Nie szkodzi, synu. - Wyszli dziesięć minut później.

Amanda oklapła. Nowa sytuacja wymagała od niej kompletnej zmiany sposobu myślenia.

Robiła wszystko, żeby do dziecka nie przywyknąć i nagle maluch znowu należał do niej.

Musiała się przestawić, i to szybko.

- Jezu, co za tempo! Mimo to jestem szczęśliwa, że im się udało. - Patrzyła na Jacka, szukając w jego twarzy oznak niezadowolenia czy złości, ale niczego takiego nie zauważyła.

Wyglądało na to, że przyjął to bardzo spokojnie. Cóż, na dobrą sprawę nie miał wobec niej żadnych zobowiązań. - No to wracamy do punktu wyjścia... i^fr^s.l'

141

- Możliwe - odrzekł dyplomatycznie. - Wiesz co? Przetrawmy to spokojnie, porozmawiamy za parę dni - zaproponował.

Miał rację. Oboje potrzebowali czasu, żeby to sobie przemyśleć, chociaż zwykle wołała rozwiązywać problemy natychmiast. Jednak tym razem było inaczej. Tym razem chodziło o

życiowe decyzje. O życiowe? Raczej o żadne. Dziecko miało urodzić się za miesiąc, nie było o czym decydować. Poza tym kupiła już całą wyprawkę. Teraz wystarczyło tylko urodzić.

- Chodź, przejdźmy się po plaży. - Nic nie mówiła, ale daleko nie zaszła i wkrótce wrócili do domu. Weszła do sypialni. Zaznała tu tyle szczęścia. Spędzili tu razem tyle czasu. W ciągu dziewięciu miesięcy, odkąd byli razem, ich miłość umocniła się tysiącrotnie.

- Chcesz uciąć sobie drzemkę? - zaproponował obojętnie, stając za nią.

- Chętnie. Lecę z nóg. - Kiedy dowiedziała się, że dziecko znowu należy do niej, doznała szoku, który kompletnie ją wyczerpał. Przerażona, zatroskana, a przede wszystkim zaniepokojona, obawiała się reakcji Jacka. Oddanie dziecka córce było idealnym rozwiązaniem, na które obydwójce się zgodzili. - Znowu mnie zostawisz? - spytała cicho, próbując nie okazać po sobie, jak bardzo się boi.

- Co ty pleciesz? Kocham cię. Jego też kocham. Biedaczyna, kopią go to w jedną, to w drugą stronę niczym piłkę.

- Powiedziałabym raczej, że to on kopie. - Jack uwielbiał, jak maluch poruszał się, kopał i wirował w jej brzuchu. Czuł to, gdy zasypiała wtulona w jego ramiona, i uśmiechał się wtedy do siebie. Amanda... Wiedział, jak bardzo się niepokoi. Nie zasługiwała na to. I po raz enty zdał sobie sprawę, jakim był głupcem. Od samego początku.

Położył się i delikatnie ją pocałował. j - Jakie mam szansę na odrobinę seksu w tej fazie meczu? ••*• Nie spali z sobą od dwóch tygodni, co zaczynało stanowić nie lada wyzwanie.

142

Uśmiechnęła się lekko.

- Lekarz mówi, że możemy to robić nawet w drodze do szpitala. Jeśli chcesz.

- Chcę. - Wyglądało na to, że naprawdę chce, i to bardzo.

- Jesteś bardzo dzielny - szepnęła. Rozebrał ją z kostiumu kąpielowego i przesunął ręką po jej brzuchu. W tym samym momencie dziecko potężnie kopnęło i oboje parsknęli śmiechem.

- Chyba słyszał, o co cię prosiłem, i nie bardzo mu się to podoba.

Leżeli chwilę przytuleni, aż namiętność wzięła górę. Kochali się łagodnie i powoli i było im lepiej, niż tego oczekiwali. A kiedy usnęła, nałożył kąpielówki i poszedł na plażę. Miał wiele do przemyślenia, musiał podjąć ważne decyzje. I uśmiechnął się, patrząc na nią od drzwi.

Rozdział jedenasty

Tego wieczoru przygotował kolację. Robił wrażenie wyjątkowo spokojnego. Amanda bała się, że zdenerwowała go wizyta Jan i Paula, ale kiedy go o to spytała, odrzekł, że nie. Był bardzo opanowany, pogodzony z sobą i kiedy usiedli na tarasie, żeby popatrzeć na gwiazdy, ujął jej rękę i pocałował. Zapadła piękna noc.

- Chciałbym cię o coś prosić - powiedział w końcu. Nie wiedziała, czego się spodziewać, więc spojrzała na niego z lekko zmarszczonym czołem. - Dużo dzisiaj myślałem. Właściwie myślę o tym od jakiegoś czasu. Chodzi o nasze dziecko. Tak łatwo je oddaliśmy. A ja tak łatwo zrzuciłem decyzję na twoje barki.

- Uznaliśmy, że będzie to dla nich wspianały dar - odrzekła rozczarowana. Wciąż nie wiedziała, do czego zmierza.

- Tak, byłaś niezwykła. Ale postąpiliśmy źle. Może właśnie dlatego tajemne moce, które rządzą tym światem, pozwoliły Jan zająć w ciążę. - Zamilkł, ale tylko na krótką chwilę.

-Chcę, żebyś to dziecko zatrzymała. To nasz syn. I bardzo go pragnę. - Miał w oczach łzy, ale nie widziała ich w ciemności.

- Naprawdę? - Po raz drugi tego dnia można by powalić ją ptasim piórkiem. - Jesteś tego pewien?

- Oczywiście, że tak. I dość mam tych współczesnych bzdur. Chcę, żebyśmy się pobrali. Teraz. Jutro. Natychmiast. Nie chcę, żeby mój syn był bękartem.

144

- Mamy jeszcze cztery tygodnie. - Uśmiechnęła się do niego, nie będąc pewna, czy mówi szczerze, czy tylko próbuje okazać szlachetność. - Nie musisz tego robić. Kocham cię tak bardzo, jakbyśmy byli mężem i żoną.

- A ja ciebie. Więc dlaczego nie? Przecież to idiotyczne. Ja mieszkam w Malibu, ty w Bel Air i sypiamy z sobą w weekendy. Chcę go karmić, nocą i za dnia, chcę wycierać mu zasmarkany nos, chcę widzieć, jak stawia pierwsze kroczki, jak wyrasta mu pierwszy ząb, chcę zobaczyć twój pierwszy siwy włos...

On się uśmiechał, ona się śmiała.

- Z przykrością donoszę, że się spóźniłeś. I to aż o dziesięć lat.

- W takim razie nie chcę się spóźnić na całą resztę. Nie wiem, co mi chodziło po głowie. Przez ostatnie dwadzieścia lat asekurowałem się na wszystkie strony, chronilem wyłącznie siebie do tego stopnia, że zapomniałem, iż powinienem chronić ciebie. Co ważniejsze, zapomniałem, jak cudowne rzeczy się z tym wiążą. Pragnę to wszystko przeżyć. Pragnę być z tobą w chorobie, szczęściu, smutku i potrzebie. I chcę, żebyś ty była ze mną. Nawet jeśli zacznę się ślinić razem z naszym synem. - Delikatnie dotknął jej brzucha. Amanda przytknęła jego palec do ust i mocno go ucałowała.

- A ja chcę być z tobą - odrzekła cicho. - Bo ty cały czas byłeś ze mną. - Nagle znowu zmarszczyła brwi. - Nie uważasz, że trochę na to za wcześnie?

Roześmiał się tak głośno, że musieli go słyszeć sąsiedzi.

- Amando, kocham cię. Oglądałaś się w lustrze? Masz niezłą sylwetkę. Nie, nie jest za wcześnie. Nie zwlekajmy. Ani chwili. Ani minuty. Pobierzmy się w przyszły weekend. Zadzwońię do dzieci, a jeśli któreś z nich skrytykuje nas choćby jednym słowem, z mety je wydziedziczę. Solennie je o tym uprzedzę. I dotyczy to również Louise! Pora, żeby nas dla odmiany wsparły, miast ciągle brać i brać, oczekiwać bezwarunkowej akceptacji i wygadywać, co im ślina na język przyniesie. Tym razem chcę widzieć wyłącznie uśmiechnięte twarze i słyszeć same gratulacje! Są nam to winni. - Po

145

ogniu w jego oczach poznała, że Jack nie żartuje, i bardzo jej się to podobało.

Nazajutrz zrobili dokładnie to, co ustalili. Jack zatelefonował do dzieci i zawiadomił ich, że się pobierają. Datę ślubu ustalono na najbliższą sobotę. Miał go udzielić sędzia, stary przyjaciel Jacka. Po uroczystej ceremonii w sklepie organizowali przyjęcie na dwieście osób. Przygotowaniami zajęli się Jack i Gladdie. Chociaż Amanda niechętnie się do tego przyznawała, była zbyt zmęczona, żeby w nich uczestniczyć. Poczula się nagle jak w czternastym miesiącu ciąży i na czternasty miesiąc ciąży wyglądała.

Znalazł dla niej suknię, piękną jasnobezową kreację od Gazara, która okrywała jej obfite kształty niczym delikatne płatki róży. Leżała idealnie. Amanda miała przyozdobić włosy kwiatami i nieść wiązankę z tuberoz, orchidei oraz frezji. Ponieważ na ślub miały przyjść Jan i Louise, Jack zaprosił je do sklepu, żeby wybrały sobie suknie. Jan przyszła chętnie, natomiast Louise naturalnie odmówiła. Ale w rozmowie telefonicznej z Jackiem przyrzekła, że będzie dla nich miła. No i oczywiście była wściekła, że to Jack do niej zadzwonił, a nie matka. Louise zawsze o coś była wściekła.

W dniu ślubu poszli na krótki spacer plażą w Malibu, po czym Amanda wróciła do siebie, żeby córki pomogły się jej przebrać. Była zdenerwowana, jak na pannę młodą przystało, i kiedy nakładała suknię, trzęsły jej się ręce. Zamówiony fryzjer upiął jej włosy w gładki kok, z którego zasłynęła na srebrnym ekranie - nawet w trzydziestym czwartym tygodniu ciąży wyglądała cudownie.

- Ładnie wyglądasz, mamó - powiedziała Louise do jej odbicia w lustrze, gdy Jan zeszła na dół, żeby odebrać kwiaty.

- Dziękuję - odrzekła i powoli odwróciła się, by na nią spojrzeć. - Nie jesteś na mnie zła, prawda? - Nawet gdyby była, niczego by to nie zmieniło.

- Nie. Ale wciąż brak mi tatusia. Chociaż czasami potrafił zaleźć za skórę - dodała ze łzami w oczach. W końcu wybaczyła nie tylko matce, ale i ojcu.

146

- Mnie też, Lou. - Przytuliła córkę i stały tak chwilę w milczeniu. Potem odsunęła ją od siebie na długość ramienia. Louise była trudną, choć w gruncie rzeczy porządną dziewczyną. - Ale pokochałam Jacka.

- To miły facet - przyznała Louise i nagle znowu spochmurniała. Musiała ją o coś spytać. - Czy dla mnie też byś to zrobiła? Oddałabyś mi swoje dziecko, gdybym nie mogła zająć w ciąży? - Dręczyło ją to od samego początku.

- Oczywiście, że tak. Zrobiłabym to i dla ciebie, i dla Jan.

- Zawsze myślałam, że kochasz ją bardziej. Zawsze była dla ciebie kimś wyjątkowym... - dokończyła zdławionym głosem.

Amanda doznała szoku.

- Ty też. Obie jesteście dla mnie kimś wyjątkowym. Naturalnie, że zrobiłabym dla ciebie to samo. Jak mogłaś pomyśleć, że nie?

- Chyba przez głupotę. Kiedy rozmawiałam o tym z Jer-rym, powiedział to samo, co ty.

- To, znaczy, że jest mądrzejszy od ciebie. Louię zaskoczyła ją jeszcze bardziej.

- Cieszę się, że postanowiliście zatrzymać dziecko. Dobrze ci to robi. Odmłodniejesz przy nim albo... zwariujesz.

- Albo? Raczej „i”! - Roześmiała się przez łzy. Do sypialni weszła Jan. Amanda uściśnęła Louise jeszcze raz i wymieniły sekretne spojrzenia, co zdarzyło im się pierwszy raz w życiu. Potem spytała córki, czy chcą być obecne przy porodzie. - Jack chyba tego nie znieśie. Na zajęciach w szkole omal nie dostał ataku hysterii!

Mile połechtana Louise parsknęła śmiechem.

- Tak samo jak Jerry. Ale kiedy przyszło co do czego, był bardzo dzielny. Może i Jack weźmie się w garść.

- Nie sądzę, żeby mężczyźni z jego rocznika szaleli na punkcie rodzinnych porodów.

- Tak czy inaczej, my tam będziemy. - Jan objęła siostrę i obie uśmiechnęły się do matki. nf
147

- Zostały mi jeszcze dwa, trzy tygodnie. Dobrze by było, gdybym mogła was wtedy złapać.

- Nic się nie martw, mamó - odrzekły chórem.

Przyjechała limuzyna i fotograf. Niewiele brakowało i zapomniałyby ślubnej wiązanki.

Amanda tak się denerwowała, że brakowało jej tchu, mimo to wyglądała wspaniale. Córki pomogły jej wsiąść do samochodu, śmiejąc się, że ledwo się w nim mieści. Fakt, była tak tęga, że z trudem się poruszała.

A kiedy przyjechały do sklepu, wszystkie trzy oniemiały z podziwu. Kwiaty, wszędzie widziały cudowne kwiaty, wisiał nad nimi sufit utkany ze storczyków i konwalii. Czegoś pięknieszego Amanda nigdy dotąd nie widziała i kiedy stanęła obok Jacka, sędziego i swoich dzieci, nagle bardzo się wzruszyła. Ten ślub znaczył dla niej tyle samo -a może nawet więcej - niż ślub z Matthew. Była teraz mądrzejsza, wiedziała, jak bardzo się jej poszczęściło, że zdobyła Jacka. I tym razem idealnie do siebie pasowali.

Kiedy sędzia ogłosił ich mężem i żoną, zewsząd posypały się szczerze gratulacje. Do zdjęcia pozowała cała rodzina, cała rodzina piła szampana, nie licząc Amandy, która wolała piwo imbirowe. Dwadzieścia minut później przybyli goście. Zapowiadało się na huczne weselisko.

O północy wciąż jeszcze trwało, lecz Amanda była tak zmęczona, że Jack nie śmiał zatrzymać jej ani chwili dłużej. Rzuciła ze schodów wiązankę - złapała ją Gladdie -podczas gdy George Christy cały czas spisywał nazwiska gości; Jack nie zaprosił żadnego innego dziennikarza. A kiedy biegli do samochodu, personel sklepu obrzucił ich płatkami kwiatów. Nie jechali daleko. Najbliższe dwa dni chcieli spędzić w Bel Air, ledwie dwie ulice dalej, lecz Amanda nie mogła się już doczekać chwili, kiedy zrzuci z siebie ubranie. Był to

jeden z najszcześniejszych dni w jej życiu, ale dosłownie leciała z nóg. Jack objął ją w samochodzie. Uparł się, żeby pojechać do Bel Air swoim czerwonym ferrari, więc samochód ozdobiono balonami i aksamitnymi wstążeczkami,

148

a na drzwiach widniał napis NOWOŻEŃCY wysmarowany kremem do golenia.

- Czuję się jak młodzieniaszek. - Jack promieniał. Przyjęcie bardzo mu się podobało.
- A ja jak stara babcia. Jak bardzo gruba babcia - dodała ze śmiechem. - Odwaliliście z Gladdie kawał dobrej roboty. Przyjęcie było fantastyczne, idealne. Umieram z ciekawości, jak wyszły zdjęcia.

Zamówił do pokoju szampana, piwo imbirowe i kilkanaście kaset wideo. Zaraz po wyjściu chłopca hotelowego pomógł jej się rozebrać i leżała na łóżku w samych rajstopach i staniku. Poruszała się z wielkim trudem, od kilku godzin bolała ją krzyż, ale nie wspomniała o tym Jackowi, nie chcąc psuć mu zabawy. Ciężko westchnęła i złożyła głowę na stercie poduszki.

- O mój Boże... Umarłam i jestem w niebie - szepnęła z uśmiechem.

Spojrzał na nią uszczęśliwiony. Miał wszystko, czego pragnął. Przeszłość minęła.

- Podać ci coś? - spytał, zdejmując krawat.

- Wózek widłowy. Jak będę musiała wyjść do łazienki, za Boga się stąd nie zwlekę.

- Przeniosę cię - zaofiarował się rycersko.

- Dostałbyś przepukliny.

Rzucił garnitur na krzesło i położył się koło niej, pijąc szampana i jedząc truskawki i trufle z nocnego stolika.

- Spróbuj - powiedział, wkładając jej czekoladkę do ust. Westchnęła rozkosznie, tymczasem on zaczął wertować kasety. - Co powiesz na pornola?

Parsknęła śmiechem.

- Chyba nie jestem w stanie.

- No wiesz? - odrzekł rozczarowany. - Przecież to nasza noc poślubna.

- Nie musimy już tego robić, jesteśmy małżeństwem. - Uśmiechnął się do niej i puścił film.

Pornos był tak koszmarny, że śmiali się w głos, mimo to Jackowi zebrało

149

się na amory. Spojrzała na niego posępnie. - Bardzo bym chciała, kochanie, ale nie mam nawet siły się rozebrać.

- Pomogę ci - szepnął z nadzieją, jednak widziała, że wypił za dużo wina, i nie wzięła tego poważnie.

Z trudem zwlekła się z łóżka i po raz setny tego wieczoru poszła do łazienki. Chociaż trochę poleżała, ból krzyża jeszcze się nasilił.

- Chyba wezmę prysznic - rzuciła od drzwi.

- Teraz?

Dochodziła pierwsza w nocy, jednak uznała, że prysznic dobrze jej zrobi. Konała ze zmęczenia. Była wściekła, że czuje się tak parszywie w swoją noc poślubną, ale miała za sobą długi dzień i długi wieczór. I była na nogach od wielu godzin. Okropnie spuchły jej stopy.

Prysznic rzeczywiście ją odświeżył, a kiedy wróciła do sypialni, pornos leciał sobie w najlepsze, a śpiący Jack cicho pochrapywał. Przysiadła na chwilę na łóżku, patrząc na niego i myśląc, jak dziwne jest życie. Jak w różnym czasie łączy w pary różnych ludzi. Jack... Nie wyobrażała sobie, żeby mogła być z kimś innym.

Poruszył się, gdy się koło niego kładła, by chwilę później zgasić światło i wyłączyć telewizor.

Ale jak tylko się położyła, dziecko zaczęło energicznie kopać. To będzie długa noc

-pomyślała. Leżała tak i leżała, ale nie mogła usnąć. Ciągle bolała ją krzyż, a teraz doszedł do tego bardzo dziwny ucisk od środka, jakby maluch napierał główką na dolną część miednicy.

I nagle... Gwałtowny ból w podbrzuszu ożywił dawne wspomnienia. Zaczął się poród. Miała pierwsze skurcze.

Początkowo były łagodne, powolne i regularne. Stwierdziła, że występują co dziesięć minut, ale już o trzeciej nad ranem stały się dwukrotnie częstsze. Nie wiedziała: budzić Jacka czy nie. Byłoby głupio, gdyby ściągnęła go z łóżka za wcześnie. Mimo to usłyszał ją, gdy wróciła z łazienki.

- Wszystko w porządku? - wymamrotał sennie.

- Jack, ja rodzę - szepnęła.

150

Usiadł jak rażony piorunem.

- Teraz?! Tutaj?! Wezwę lekarza. - Natychmiast zapalił światło i oboje zmrużyli oczy.

- Chyba jeszcze za wcześnie. - Ale jak tylko to powiedziała, chwycił ją tak silny ból, że zwinęła się koło niego z zaciśniętymi zębami. Skurcz ustąpił po niecałej minucie.

- Zwariowałaś? Chcesz urodzić tutaj?! - Wskoczył z łóżka, nałożył spodnie, a ona śmiała się z niego, gdy wtem poczuła następny skurcz. Nadchodziły co dwie minuty.

- Nawet nie spakowałam walizki - wysapała. - Chciałam tu spędzić choć jedną noc...

- Przyjedziemy tu, jak urodzisz, przyrzekam. Kiedy tylko zechcesz. Ale teraz rusz się, żebyśmy zdążyli do lekarza, zanim...

- Nie mam co na siebie włożyć.

- Jak to? A w czym tu przyjechałaś?

- Przecież nie mogę jechać do szpitala w ślubnej sukni. Będę głupio wyglądała.

- Nikomu nie powiem, co to jest. Na miłość boską, ubieraj się, Amando... Co ty wyprawiasz?

- Mam skurcz - syknęła przez zęby. Jack chwycił się za brzuch.

- Chryste, ten szampan był zatruty.

- Może ty też rodzisz - wychrypiała, gdy ból ustał. - Zadzwoń do Jan i Louise - dodała, gramoląc się z łóżka. Ledwo mogła ustać.

- Wezwę karetkę.

- Nie chcę karetki. - Znowu chwycił ją skurcz i nie wiedziała: śmiać się czy płakać. - Ty mnie odwieziesz.

- Nie mogę. Nie widzisz, że jestem pijany jak bela?

- Nie, wyglądasz zupełnie normalnie. No dobrze, ja poprowadzę. Tylko zadzwoń do dzieci.

- Nie znam ich numerów. Amando, jeśli w tej chwili nie nałożysz tej przeklętej sukni, natychmiast dzwonię na policję i każę cię aresztować.

- Byłoby miło - odrzekła stłumionym głosem, nakładając

.

151

ślubną suknię i chwytając się za brzuch. Ale kiedy chciała nałożyć pantofle, stwierdziła, że za bardzo spuchły jej stopy.

- Będę musiała iść na bosaka - skonstatowała.

- Jezu Chryste, proszę cię... - Rzucił na łóżko jej walizkę, zaczął w niej grzebać i cudem znalazł tam ranne pantofelki.

- Masz, nakładaj.

- Właściciele sklepów to bardzo dziwni ludzie. Dlaczego nie mogę iść na bosaka?

- Bobyś głupio wyglądała.

Minęła czwarta. Stali już w drzwiach pokoju, lecz następny skurcz był tak silny, że Amanda musiała przytrzymać się futryny. Jack głośno jęknął, objął ją i powoli wyszli przed hotel, gdzie zaparkował samochód. Chociaż wędrowka trwała ledwie cztery minuty, zdawało się, że upłynęły wieki, zanim tam dotarli. Amanda bała się, że urodzi na chodniku.

Usiadła za kierownicą i wyciągnęła do niego rękę, modląc się w duchu, żeby miał przy sobie kluczyki; nie mogła czekać ani chwili. Na szczęście miał je w kieszeni i szybko usiadł w fotelu pasażera. Gdy z piskiem opon wyjechali z parkingu i pomknęli przez Bel Air, podała mu numer telefonu Jan.

- Niech zadzwoni do Louise. Powiedz, żeby przyjechały do szpitala, na porodówkę. Będziemy tam za pięć minut.
 - Pewnie od razu odeślą mnie na oddział geriatryczny.
 - Spokojnie, jakoś sobie poradzisz - odrzekła z uśmiechem. Cudowna noc poślubna, jeszcze cudowniejszy miesiąc miodowy. Mogła urodzić w każdej chwili. Bóle były tak silne, że musiała zjechać do krawężnika, żeby przetrwać kolejny skurcz.
 - Chryste! - wrzasnął. - Co ty wyprawiasz?
 - Mam skurcz, nie chcę rozwalić twojego ferrari. - Powiedziała to jak opętana dziewczynka z „Egzorcysty”, a nie jak świeżo poślubiona małżonka.
- Spojrzał na nią przerażony.
- Cholera jasna! Ty jesteś w fazie pośredniej!
 - Nie mów mi, gdzie jestem, tylko wreszcie zadzwoń do mojej córki!

752

- Tak jest, tak jest, wszystko się zgadza... To jest dokładnie to, o czym mówił ten potwór ze szkoły rodzenia. Uprzedzała mnie, że będziesz zachowywała się jak obca kobieta. To jest faza pośrednia!

Nie wiedziała, czy śmiać się, czy go udusić, ale w końcu zadzwonił do Jan i oznajmił, że jej matka jest w fazie pośredniej.

- To jakiś kawał? - Rozespana Jan nie wiedziała, o co chodzi. Pomyślała, że Jack za dużo wypił, i tyle.
 - Jaki kawał?! - ryknął histerycznie. - Amanda rodzi, jedziemy do szpitala, a ona jest w fazie pośredniej. Już mnie nie poznaje!
- Jan parsknęła śmiechem.
- Jesteś pewien, że to mama? - Jack był w gorszym stanie, niż to przewidywały.
 - Nie wiem, w każdym razie ma na sobie jej ślubną suknię. Masz zadzwonić do Louise. Tylko szybko!
 - Będziemy tam za dziesięć minut. Amanda zajechała przed szpital z piskiem opon, otworzyła drzwi i zirytowana spojrzała na świeżo poślubionego męża.
 - Niech pan zaparkuje. Ja nie mam czasu. Tylko niech pan nie zadrapie karoserii, bo mój mąż pana zabije.

- Bardzo śmieszne, bardzo śmieszne. Nie wiem, kim ona jest, ale przypomina mi moją żonę - rzucił do nocnego stróża, który tylko pokręcił głową i wskazał mu miejsce na parkingu. Pewnie pomyślał, że są naćpani, jak wszyscy w Los Angeles.

Amanda była już w holu i siedziała na wózku. Podała nazwisko swojego lekarza i, jak uczyła się tego w szkole rodzenia, dyszała teraz i sapała. Skurcze były coraz mocniejsze.

- Co ty robisz? - spytał Jack i nagle wszystko sobie przypomniał. - Jezu, zapomniałem stopera. - Nim Amanda zdążyła odpowiedzieć, pielęgniarka wepchnęła wózek do windy. Jack trzymał się go kurczowo i odchodząc od zmysłów, pytał: - Nic ci nie jest? Jak się czujesz?
- Tak jak wyglądam - szepnęła cichutko między skurczami, ale teraz bardziej przypominała siebie niż bohaterkę „Egzorcysty”. To już przynajmniej było coś. ;.v^ < v«

153

,4:

- Wyglądasz paskudnie - powiedział szczerze. - Gorzej niż paskudnie.
- Bo tak się czuję. Jakby rozcinali mnie na pół piłą elektryczną.
- A kiedy będzie to... No wiesz, to z dolną wargą, którą trzeba naciągnąć na głowę.
- Później.
- Pysznie.

Pielęgniarka wwiozła Amandę do pomieszczenia na trzecim piętrze, gdzie przebrali ją w wypłowiałą koszulę. Jackowi wręczono czapkę i coś w rodzaju zielonej piżamy.

- Po co to? - rzucił spanikowany.

- Chce pan być przy porodzie czy nie? - odrzekła bezceremonialnie pielęgniarka i wezwała lekarza dyżurnego, żeby zbadał Amandę.

Lekarz stanął w drzwiach dwie minuty później - Jack jeszcze się przebierał - i oznajmił, że Amanda ma rozwarcie na osiem palców i że palców szybko przybywa. Zanim Jack zdążył wbić się w zieloną piżamę, było ich dziewięć.

- Zróbcie mi znieczulenie zewnątrzoponowe - jęknęła, trzymając się kurczowo prętów łóżka. - Albo dajcie mi morfinę... demerol... cokolwiek...

- Za późno, pani Kingston - odrzekła łagodnie pielęgniarka. - Powinna była pani przyjechać do nas wcześniej, najdalej z siódmką.

- Byłam zajęta. Gnałam do szpitala pieprzonym ferrari mojego męża. - I rozplakała się. To wcale nie było zabawne. Raptem dźwignęła głowę i z furią w oczach spojrzała na lekarza i pielęgniarkę. - Chcecie mi powiedzieć, że gdybym przyjechała pół godziny wcześniej, daliście mi zewnątrz-oponówkę?! Wszystko przez ciebie - jęknęła żałośnie, gdy Jack wyszedł z łazienki, wyglądając jak salowy na kacu.

- Co przeze mnie? Ach to... - Spojrzała na jej rozдутy brzuch. - No, chyba tak. A propos - zwrócił się do lekarza. - To nie jest pani Kingston.

154

- Nie? - Oslupiały położnik sięgnął po kartę przebiegu ciąży. - Tu jest napisane, że...

- To jest pani Watson - przerwał mu Jack, wciąż pijany od szampana, który wypił na przyjęciu.

Amanda zdawała sobie sprawę, że upłyną godziny, może nawet dni, zanim wytrzeźwieje.

- Wszystko jedno, kim jestem. Wezwijcie mojego lekarza. Gdzie on jest?

- Tutaj, Amando - odpowiedział spokojny głos od drzwi.

- To dobrze. Chcę, żeby mnie znieczulili, a oni odmawiają. Lekarze konferowali chwilę.

- Może trochę morfiny?

- Wspaniale. - W niecałe pięć minut podłączyli ją do monitora i wkłuli jej „motylek”. Jackowi zrobiło się niedobrze od samego patrzenia. Siedział w kącie z zamkniętymi oczami, nie wiedząc, dlaczego cały pokój wiruje.

- Dajmy panu Watsonowi kubek czarnej kawy, dobrze? - zaproponował lekarz. Pielęgniarka znacząco uniosła brew.

- Dożylnie?

- Dobry pomysł.

Członkowie personelu medycznego zachichotali. Jack nieco oprzytomniał, Amanda natomiast zwiwała się na kozetce w kolejnym ataku bólu; był łagodniejszy dzięki morfinie.

- Dlaczego tu tak głośno? - mruknął w chwili, gdy do gabinetu weszły Jan i Louise.

Pomaszerowały prosto do matki.

- Nie powinnaś tu przychodzić, Jan - wysapała półprzytomnie Amanda; po morfinie chciało jej się spać.

- Dlaczego, mamó? - Delikatnie dotknęła jej policzka i pogłaskała po włosach. Louise poszła po lód. Kiedy sama rodziła, tego potrzebowała najbardziej.

- Bo nigdy nie zechcesz mieć dzieci. To jest straszne. - I zamknąwszy oczy, jakby po namyśle dodała: - Ale warto próbować. Kocham cię, córeczko - szepnęła. Odpłynęła w niebyt, by ocknąć się, gdy wróciła Louise z lodem.

755

- Ciebie też kocham, Louise - jęknęła, z wdzięcznością przyjmując lód.

Jack wciąż siedział w kącie i żłopał kawę.

O piątej lekarz zbadał ją ponownie i zdecydował, że można ją przewieźć na salę porodową.

Morfina przestała już działać i Amanda skarżyła się na ból.

- Czuję się potwornie... Dlaczego tak potwornie się czuję?

- Bo rodzisz, mamó - odrzekła Louise.

Przy łóżku stanął Jack. Był znacznie trzeźwiejszy.

- Jak sobie radzisz, kochanie? - spytał ze współczuciem.

- Okropnie.

- Nic dziwnego. - Zirytowany spojrzął na pielęgniarkę.

- Na miłość boską, dlaczego jej nie uspicie?

- Ponieważ pańska żona nie czeka na operację mózgu, tylko rodzi dziecko i musi przeć.

- Nie chcę przeć! Nie cierpię przeć. Nie cierpię wszystkiego. Jak ja tego nienawidzę... -

Morfina oszołomiła ją, ale bólu bynajmniej nie złagodziła.

- Niedługo będzie po wszystkim - powiedział Jack i ruszył za łóżkiem do sali porodowej, zastanawiając się, jak się w to wszystko wplątał. Nie chciał tego oglądać, ale nie chciał też zostawiać jej samej. Jan i Louise szły za nim. Już na sam widok sprzętu zgromadzonego w sali porodowej zakręciło mu się w głowie. Przystawiono im stołki, oparcie łóżka podniesiono, tak że Amanda prawie siedziała, jej nogi unieruchomiono w specjalnych strzemionach, a w kącie, pod lampą ciepłą, ustawiono mały plastikowy koszyk dla dziecka. I nagle wszystko stało się dla niego bardzo realne. W tej sali działo się coś wielkiego. Przybyli tu w określonym celu. Bynajmniej nie po to, żeby patrzeć, jak Amanda cierpi.

Ale po pewnym czasie odnieśli wrażenie, że przyszli wyłącznie po to. Parła przez dwie godziny i nic. Dziecko było olbrzymie. Pielęgniarki zaczęły niespokojnie poszep-tywać, lekarz zerknął na zegarek i kiwnął głową.

- Damy jej jeszcze dziesięć minut.

Ale Jack był już czujny i natychmiast to usłyszał. y

756

- Co to znaczy?

- Dziecko przestało się ruszać, Jack - wyjaśnił spokojnie lekarz. - Amanda jest bardzo zmęczona, niewykluczone, że będziemy musieli jej pomóc.

- Pomóc? Jak pomóc? - Ogarniała go coraz większa panika. Domyślił się odpowiedzi, zanim tamten zdążył otworzyć usta. Film szkoleniowy w szkole rodzenia. Cesarskie cięcie.

Rozcinanie na pół piłą elektryczną. Spojrzął na lekarza z nie ukrywanym przerażeniem. - Musicie?

- Zobaczymy. Jeśli nam pomoże...

Amanda przeżywała katusze, płakała i ścisnęła Jacka za rękę. Jan i Louise były zdenerwowane. Ale najgorzej ze wszystkich wyglądał Jack. Minęło pięć minut. Żadnej poprawy. Stali wokół Amandy, czekając na następny skurcz, gdy wtem aparatura, do której ją podłączono, wydała z siebie przenikliwy pisk. Zdawało się, że sala zawibrowała, lekarze i pielęgniarki natychmiast ożyli.

- Co to? Co się stało? - Spanikowany Jack błyskawicznie otrzeźwiał.

- Monitor nadzorujący płód, źle z dzieckiem - rzucił przez ramię lekarz, nie mając czasu na szczegółowsze wyjaśnienia. Zewsząd padały polecenia, anestezjolog mówił coś do Amandy, Amanda płakała.

- Jakie kłopoty? - Jack umierał z niepokoju, ale nikt nie chciał mu nic wyjaśnić.

- Musicie stąd wyjść, wszyscy! - rozkazał głośno lekarz. - Zdążysz z zewnątrzoponówką? - spytał anestezjologa.

- Spróbuję.

Bieganina, hałas, lawina poleceń, Amanda wyciągająca rękę do Jacka i patrząca na niego niczym ranne zwierzę - Jan i Louise już wyszły, ale Jack wiedział, że wyjść nie może. Nie, nie mógł jej tego zrobić.

- Zaliczyłem kurs - zaprotestował. r Chodziłem do szkoły rodzenia, oglądałem film... - Ale nikt go nie słuchał. Nie odrywali oczu od ekranu monitora, bezskutecznie próbując wydrzeć z Amandy jej syna. *«;...»; .: .y

151

fl

Znieczulenie zaczynało już działać. Lekarz prowadzący spojrzał surowo na Jacka.

- Siadaj i mów do niej.

Ustawili na niej podłużny ekran, tak że Jack widział tylko jej twarz, nic więcej. Anestezjolog robił tysiąc rzeczy naraz, to w tę, to w tamtą stronę przesuwano niezliczone tace z instrumentami chirurgicznymi, których Jack próbował nie dostrzegać. Widział tylko jej oczy i przerażenie, jakie się w nich czaiło.

- Wszystko w porządku, dziecino, jestem tu. Wszystko będzie dobrze. Za chwilę go wydadzą... - I cały czas modlił się w duchu, żeby nie było to kłamstwo.

- Nic mu nie jest? Jack, czy dziecko jest zdrowe? - Płakała i mówiła, mówiła i płakała, nie odczuwając już bólu, tylko silne szarpnięcia i pociągnięcia.

Jack nie odrywał od niej wzroku, zapewniając ją o swej miłości.

- Zdrowe, nic mu nie będzie - powtarzał, próbując ziszczyć to marzenie siłą woli, modląc się, żeby dziecko przeżyło. Nie chciał, żeby ją to spotkało. Zbyt wiele przeszła. Ich syn musiał, po prostu musiał przyjść na świat. Lecz operacja wlokła się w nieskończoność. Z jego czoła spływały krople potu, jego łzy mieszały się z jej łzami. Czekali. W sali coś bezustannie tykało. I nagle zapadła martwa cisza. Amanda zapłakała głośniej. Jakby wiedziała, jakby przeczuwała, że za chwilę stanie się coś strasznego, tymczasem on mógł ją tylko całować i mówić, jak bardzo ją kocha. A gdyby dziecko zmarło? Czy byłby w stanie kiedykolwiek jej to wynagrodzić? Wiedział, że nie, bez względu na to, jak bardzo by się starał. Patrzył na nią, nakazując synowi posłuszeństwo, każąc mu żyć, i raptem usłyszeli... cichutkie kwilenie.

Zdziwiona Amanda otworzyła oczy.

- Co z nim? - Nie chciała wiedzieć nic więcej, była zupełnie wyczerpana.

- Wszystko w porządku - spieszenie zapewnił ją lekarz. I Odcięli pępowinę i położyli niemowlę na wadze. Jack

158

zerknął na skalę. Cztery czterdzieści dwa. Niemal cztery i pół kilo. Ciężko walczył, żeby do nich zawitać. Miał wielkie niebieskie oczy i wyraz zdumienia na twarzy, jakby przybył wcześniej, niż zamierzał. I tak było. Urodził się niemal trzy tygodnie przed terminem.

Wytarli go, owinęli w kocyk i położyli przy matce, ale ręce miała wciąż przywiązane i nie mogła go przytulić. Jack pokazał go jej i ze łzami w oczach patrzył, jak Amanda ogląda syna pierwszy raz w życiu, jak muska go policzkiem. Nigdy dotąd nic nie wzruszyło go bardziej niż ta kobieta, którą tak bardzo kochał, i to dziecko, którego nie oczekiwali. Było niczym małe, rodzące się marzenie, niczym wielka nadzieja na przyszłość, niczym specjalna przesyłka z niebios. I nagle, patrząc na nich, Jack odmłodził. Otrzymali czarodziejski dar, dar na przyszłość. Niczym okno wychodzące na słoneczny świat.

- Jest taki piękny - wyszeptała, podnosząc wzrok na Jacka. - Podobny do ciebie.

- Mam nadzieję, że nie - odrzekł, nie zważając na łzy spływające mu po policzkach.

Pocałował ją. - Dziękuję ci. Dziękuję, że go nie oddałaś. Że chciałaś go, gdy ja go odrzuciłem.

- Kocham cię - szepnęła sennie. Była ósma rano. Ich syn kończył pierwsze dziesięć minut życia.

- A ja ciebie - odrzekł, patrząc, jak Amanda zasypia.

Dziecko odniesiono na oddział noworodków. Podczas gdy lekarze wykonywali ostatnie czynności pozabiegowe, Jack siedział przy żonie. Był też przy niej, wciąż śpiącej, gdy z sali pooperacyjnej przewożono ją do separatu.

Jan, Paul, Louise i Jerry czekali na nich przed drzwiami uśmiechnięci, znali już bowiem dobrą nowinę.

- Gratulacje! - Pierwsza odezwała się Louise i tym razem mówiła szczerze.